



UUK

SALMAN RUSHDIE

HARUN I MORZE OPOWIEŚCI



SPIS TREŚCI

	SPIS TREŚCI.	2
1	Mistrz Wodolejstwa	4
2	Kartka pocztowa	12
3	Jezioro Nudne	21
4	Jesli i Alle	30
5	O Gupcach i Chupwalach	39
6	Opowieść szpiega	48
7	Pasma Zmierzchu	57
8	Cieniści Wojownicy	66
9	Czarny statek	75
10	Życzenie Haruna	83
11	Księżniczka Batcheat.	94
12	Sprawka Suma?	104
	To i owo o różnych słowach	114

Zembla, Xanadu, Bergamoty, Zenda
Abrakadabra! Każdy ziścić się sen da.
Fajnie jest bać się przy baśniach, legendach,
Ale gdy to czytasz, ojciec twój zgłębia
Rzeki, morza, noce bez dna.

Dedykacja dla synka Zafara.

Rozdział 1.

Mistrz Wodolejstwa

Było sobie raz w kraju Alifbaj smutne miasto, najsmutniejsze z miast — tak katastrofalnie smutne, że zapomniało nawet własnej nazwy. Stało nad smętnym morzem, w którym całymi stadami pływały ponuryby o tak żalnym smaku, że ludziom po ich zjedzeniu odbijało się melancholią, chociaż niebo było błękitne.

Na północ od smutnego miasta wznosiły się potężne fabryki, w nich zaś (jak niesie wieść) produkowano smutek (tak, tak!), a potem w specjalnych opakowaniach rozsyłano go po całym świecie, który smutku widać nigdy nie miał dość. Czarny dym wylewał się kominami fabryk i jak zła nowina zawisał nad miastem.

W głębi miasta, za starą dzielnicą ruder przypominających złamane serca, mieszkał szczęśliwy młokos imieniem Harun, jedyny syn Raszida Khalify — gawędziarza słynącego w owej nieszczęsnej metropolii z pogody ducha; niekończący się potok jego bujd, bajd i banialuk zyskał mu nie jeden, lecz dwa przydomki. Dla wielbicieli był Raszidem — Oceanem Pomysłów, tak pełnym radosnych opowieści, jak morze pełne jest ponuryb; zazdrośni rywale nazywali go Mistrzem Wodolejstwa. Dla żony Sorai był przez wiele lat najbardziej kochającym mężem, jakiego można sobie wymarzyć, toteż Harun wyrastał w domu, w którym nie wiedziano, co to niedola i zmarszczone brwi, za to często rozbrzmiewał śmiech ojca i słodki głos rozśpiewanej matki.

Potem jednak coś się popsuło. (Może to smutek ciężący nad miastem w końcu się zakradł przez okna).

Pewnego dnia Soraja przerwała piosenkę w pół zdania, jakby ktoś nagle przekręcił wyłącznik, a Harun odgadł, że coś złego wisi w powietrzu. Lecz ani się domyślał, jak wielkie go czeka zmartwienie.

* * *

Raszid Khalifa, zaprzątnięty wymyślaniami i opowiadaniem historyjek, nawet nie zauważył, że Soraja już nie śpiewa, i pewnie przez to pogorszył sprawę. Ale był przecież taki zajęty, wręcz rozchwytywany — on, Ocean Pomysłów, słynny

Mistrz Wodolejstwa. Ciągłe miał próby albo występy i w sumie tyle czasu spędzał na scenie, że w końcu przestał się orientować, co się dzieje pod jego własnym dachem. Objeżdżał miasto i cały kraj, opowiadając rozmaite historie, a tymczasem Soraja siedziała w domu, coraz bardziej chmurna, wzburzona, gotowa zagrznieć.

Harun jeździł z ojcem, gdy tylko mógł, bo ojciec bezsprzecznie był czarodziejem. Potrafił wdrapać się na byle jak skleconą estradkę w ślepym zaułku, w którym tłum obdartych dzieci i bezzębnych dziadków siedział w kucki na gołej ziemi; a gdy już się zdrowo rozpędził, liczne w tym mieście bezpańskie krowy przystawały i strzygły uszami, małpy siedzące na dachach domów jazgotały z aprobatą, a papugi w koronach drzew naśladowały jego głos.

Harun w myślach często nazywał ojca Żonglerem, bo każda jego opowieść składała się z całej masy wątków, którymi Raszid żonglował, aż od ich wirowania słuchaczom kręciło się w głowach, a nigdy się przy tym nie mylił.

Skąd brały się te wszystkie historie? Wyglądało na to, że Raszidowi dość jest rozchylić w uśmiechu mięsiste, czerwone usta i wnet sama z nich wyskakuje nowiuteńka legenda, zaopatrzona w pełen zestaw czarów, wątków miłosnych, księżniczek, niegodziwych stryjów, tłustych ciotek, wąsatych gangsterów w spodniach w żółtą kratę, niebywałych plenerów, tchórzy, bohaterów, potyczek, a wszystko to okraszone jest półtuzinem chwytliwych, łatwo wpadających w ucho melodii. „Kaźda rzecz ma gdzieś swoje źródło — myślał Harun — więc i te jego historyjki nie mogą brać się tak całkiem z powietrza. . . ?”

Lecz ilekroć zadawał ojcu to najważniejsze pytanie, Mistrz Wodolejstwa mrużył oczy (nieco wyłupiaste, co tu kryć), klepał się po obwisłym brzuchu, wtykał sobie w usta kciuk i wydawał śmieszne odgłosy, jakby coś pił: gul-gul-gul. . . Harun nie cierpiał tych przedstawień.

— Nie, serio — nalegał. — Powiedz, skąd je bierzesz?

Raszid zagadkowo ruszał brwiami, a palcami wyczyniał w powietrzu jęzowate gesty.

— Z wielkiego Morza Opowieści — mówił. — Kiedy się napiję ciepłej Wody Opowieści, mam pełno pary.

Haruna okropnie złościła ta odpowiedź.

— No to gdzie trzymasz ten swój ukrop? — spytał chytrze za którymś razem. — Może w termoforach, co? Nigdy jakoś nie widziałem u nas w domu termoforu.

— Czerpię tę wodę z niewidzialnego Kranu, który zainstalował jeden z Wodnych Dżinnów — nie mrugnawszy okiem odparł Raszid. — Żeby mieć takie urządzenie, trzeba wykupić abonament.

— A jak się wykupuje abonament?

— Ooo! — rzekł Mistrz Wodolejstwa. — To Sprawa Przez Swą Zawilóść Niewytłumaczalna.

— Wodnego Dżinna też zresztą nigdy w życiu nie widziałem — powiedział naburmuszony Harun.

Raszid wzruszył ramionami.

— Nigdy nie widziałeś mleczarza, bo za długo sypiasz — odparł. — Ale mleko pijesz bez oporów. Bądź więc łaskaw nie zawracać mi głowy tymi swoimi „ale”, „jeśli”, i ciesz się, że w ogóle mam co opowiadać, a ty masz czego słuchać.

I na tym rozmowa się skończyła. Ale pewnego dnia Harun zadał o jedno pytanie za dużo i wtedy rozpętało się istne piekło.

* * *

Khalifowie mieszkali na parterze w betonowym domku o różowych ścianach, żółtozielonych oknach i niebieskich balkonach z pokrętnymi balustradami; cały ten wystrój kojarzył się Harunowi raczej z tortem niż z budynkiem. Dom wcale nie był wspaniały — w niczym nie przypominał drapaczy chmur, w których mieszkali superbogacze — ale z domami nędzarzy też nie miał nic wspólnego. Nędzarze mieszkali w chatkach skleconych z tekturowych pudeł i płacht plastikowej folii, zamiast zaprawy spojonych rozpaczą. Prócz nich istnieli jeszcze supernędzarze, całkiem bezdomni. Sypiali na chodnikach i na progach sklepów, i nawet za to musieli płacić czynsz miejscowym gangsterom. Harun był więc właściwie szczęściarzem; ale szczęście ma to do siebie, że pewnego dnia się kończy, bez najmniejszego ostrzeżenia. Żyje sobie człowiek pod szczęśliwą gwiazdą, a ta w jednej chwili potrafi się urwać.

* * *

W smutnym mieście, o którym opowiadam, żyły przeważnie liczne rodziny; ale dzieci biedaków chorowały i głodowały, podczas gdy dzieci bogaczy objadały się do przesyty i kłóciły się o pieniądze rodziców. Harun wciąż dopytywał, czemu właśnie on nie ma rodzeństwa; lecz jedyna odpowiedź, jaką udawało mu się wydobyć od Raszida, nie była właściwie odpowiedzią.

— Ścichapkę z ciebie, Harunie Khalifo, ale wiem, że w razie czego staniesz za dwóch albo i czterech.

Co to w ogóle miało znaczyć?

— W pojedynkę wyczerpałeś cały nasz talent do dziecioróbstwa — wyjaśnił kiedyś Raszid. — Wszystko władowaliśmy w ciebie, chociaż starczyłoby na czworo albo i pięcioro dzieciaków. Tak, tak, mój panie. Więc w razie czego staniesz co najmniej za dwóch.

Udzielanie prostych odpowiedzi nie leżało w mocy Raszida Khalify, który nigdy nie chadzał na skróty, jeśli tylko mógł skorzystać z dłuższej i zygakowatej drogi okrężnej. Soraja odpowiedziała prościej.

— Próbowaliśmy — rzekła ze smutkiem. — Ale z dziećmi wcale nie idzie tak łatwo. Pomyśl o tych biednych Senguptach.

Senguptowie mieszkali piętro wyżej. Pan Sengupta pracował jako urzędnik w biurze Korporacji Miejskiej. Był chudy jak patyk i skąpy, a w dodatku nie mówił, tylko jęczał. Jego żona Anita była dla odmiany szczodra i hałaśliwa, a taka przy tym tłusta, że aż rozlana. Nie mieli ani jednego dziecka, toteż Anita Sengupta poświęcała Harunowi więcej uwagi niż chłopiec sobie życzył. Dawała mu słodycze — no i bardzo dobrze; czochrała mu włosy i to już było gorsze; a kiedy go przytulała, otoczony zewsząd kaskadami jej ciała wpadał w popłoch.

Pan Sengupta nie zwracał na Haruna uwagi, ale ciągle zagadywał do Sorai; Harunowi wcale się to nie podobało — zwłaszcza że sąsiad pozwalał sobie krytykować gawędziarza Raszida, ilekroć mu się zdawało, że chłopiec nie słucha.

— Pani daruje, ale ten paniny mąż — zaczynał jęklwym głosem — to w ogóle nie chodzi po ziemi. Skąd on bierze te wszystkie historyjki? Życie to nie bajka ani sklep z zabawkami. Te figle do niczego dobrego nie doprowadzą. Co komu po opowieściach, które nawet nie są prawdziwe?

Harun siedział pod oknem i aż mu uszy rosły. Stwierdził, że nie podoba mu się pan Sengupta, który nie cierpi gawęd i gawędziarzy; nie podoba mu się ani trochę.

Co komu po opowieściach, które nawet nie są prawdziwe? Harunowi wciąż tłukły się po głowie te straszne słowa. Byli jednak ludzie, którzy uważali, że opowieści Raszida mogą się na coś przydać. Zbliżały się wybory, więc odwiedzały go Wielkie Fische z różnych partii politycznych, uśmiechały się jak tłuste koty i błagały, żeby się zgodził opowiadać swoje historyjki tylko na ich wiecach i na niczych więcej. Było rzeczą wiadomą, że ta partia, na której usługi Raszid odda swój czarodziejski język, będzie miała kłopot z głowy. Nikt nigdy nie wierzył ani jednemu słowu polityków, chociaż ze wszystkich sił starali się udawać, że mówią prawdę. (I właśnie po tym poznawano, jak bardzo kłamią). Ale Raszidowi wierzono bez zastrzeżeń, bo zawsze z góry przyznawał, że wszystko, co powie, będzie kompletną nieprawdą, wziętą z głowy, czyli znikąd. Toteż politycy nie mogli się obejść bez jego pomocy, jeśli chcieli zdobywać wyborców. Ustawiali się do niego w kolejce ludzie o twarzach lśniących od potu i fałszywych uśmiechach, taszczyący worki pieniędzy. Raszid mógł wybierać i grymasić.

* * *

W dniu, kiedy wszystko się popsuło, pierwsza ulewa pory deszczowej złapała Haruna w drodze ze szkoły.

Gdy nad smutne miasto nadciągnęły deszcze, życie stało się znośniejsze. O tej porze roku w morzu pojawiały się pyszne pompile, ludzie mogli więc odpocząć

od ponuryb; deszcz splukiwał prawie cały czarny dym ulatujący kominami fabryk smutku i pozostawiał po sobie chłodne i czyste powietrze. Harun Khalifa uwielbiał przemakać do nitki w pierwszych ulewach pory deszczowej, skakał więc po ulicy, zlewany rozkosznie ciepłym prysznicem z nieba, i otwierał usta, żeby krople kapały mu prosto na język. Wrócił do domu mokry i lśniący niczym pompil w morzu.

Pani Anita stała na balkonie i trzęsa się jak galareta; gdyby nie deszcz, Harun może by zauważył, że kobieta płacze. Kiedy wszedł do domu, stwierdził, że gawędziarz Raszid też wygląda, jakby przez dłuższy czas trzymał głowę wystawioną za okno, bo oczy i policzki ma całe mokre, a ubranie suche.

Soraja, matka Haruna, uciekła z panem Senguptą.

Równo o jedenastej posłała Raszida do pokoju chłopca, żeby odnalazł jakieś zawieruszone skarpetki. Zajęty poszukiwaniem (Harun był świetny w gubieniu skarpetek) Raszid usłyszał w kilka sekund później huk zatraskiwanych drzwi domu, a potem ryk ruszającego auta. Wróciwszy do salonu zobaczył, że żony nie ma, a za rogiem znika rozpędzona taksówka. „Musiała to bardzo starannie zaplanować” — pomyślał. Wskazówka wciąż stała na jedenastej. Raszid wziął młotek i potłukł zegar w drobne kawałki. Potem porozbijał wszystkie zegary w całym domu, łącznie z tym, który stał na szafce nocnej Haruna.

Kiedy chłopiec się dowiedział, że matka odeszła, jego pierwsze słowa brzmiały:

— Ale dlaczego od razu musiałeś rozwalić mi zegar?

Soraja zostawiła list pełen wszystkich tych wstrętnych rzeczy, które pan Sengupta wygadywał o Raszidzie:

„Interesują cię tylko przyjemności, a prawdziwy mężczyzna wiedziałby, że życie to poważna sprawa. Masz głowę nabitą zmyśleniami, więc brak w niej miejsca na fakty. Pan Sengupta nie ma ani odrobiny wyobraźni i to mi właśnie odpowiada”.

Był jeszcze dopisek:

„Powiedz Harunowi, że go kocham, ale nic nie poradzę, po prostu inaczej nie mogę”.

Z włosów Haruna kapała na list deszczówka.

— Co zrobić, synku — smętnie rzekł Raszid. — Gawędziarstwo to mój jedyny fach.

Słyszając żalony ton ojca Harun przestał nad sobą panować i wykrzyknął:

— Ale jaki to ma sens? Co komu po tych twoich historyjkach? Żeby chociaż były prawdziwe!

Raszid ukrył twarz w dłoniach i zapłakał.

Harun chciał cofnąć te słowa, chciał wyjąć je ojcu z uszu i połknąć z powrotem, ale to oczywiście było niewykonalne. Dlatego też ogarnęły go wyrzuty

sumienia, kiedy wkrótce potem — w najbardziej zenującej sytuacji, jaką można sobie wyobrazić — stała się Rzecz Nie Do Pomyślenia:

Raszid Khalifa, legendarny Ocean Pomysłów, słynny Mistrz Wodolejstwa, stanął przed tłumnie zgromadzoną publicznością, otworzył usta i stwierdził, że skończył mu się historyjki i nie ma czego opowiadać.

* * *

Po odejściu matki Harun zauważył, że na niczym nie potrafi się skupić przez dłuższy czas — ściśle mówiąc, dłuższy niż jedenaście minut. Raszid na pociechę zabrał go do kina, ale chłopiec dokładnie po jedenastu minutach zaczął myśleć o czym innym, a kiedy film się skończył, nie miał pojęcia, jak wszystko się rozstrzygnęło i musiał pytać ojca, czy ci dobrzy zwyciężyli. Nazajutrz podczas ulicznego meczu hokeja rozgrywanego z kolegami z sąsiedztwa stał na bramce i w ciągu pierwszych jedenastu minut parę razy popisał się fantastyczną obroną, ale potem zaczął przepuszczać najbardziej haniebne szmaty. Dalej było tak samo: jego umysł raz po raz szedł na spacer, a ciało zostawało w tyle. Dochodziło przez to do trudnych sytuacji, bo wiele ciekawych, a czasem i ważnych zdarzeń trwa dłużej niż jedenaście minut: na przykład posiłki i klasówki z matematyki.

Wreszcie nikt inny, tylko Anita Sengupta zdołała rozpoznać problem. Ostatnimi czasy jeszcze częściej wstępowała do sąsiadów z parteru, choćby po to, żeby mężnie oświadczyć:

— Nie chcę słyszeć o żadnej „pani Sengupta”! Od dziś jestem panna Anita!

A potem waliła się pięścią w głowę i zawodziła:

— O! O! Co to będzie!?

Ale kiedy Raszid opowiedział jej, jaki Harun jest rozkojarzony, odparła z przekonaniem:

— Jego matka wyszła z domu dokładnie o jedenastej. Stąd ten cały problem jedenastu minut. Przyczyna tkwi w psychologii chłopca.

Minęło parę chwil, nim Raszid i Harun zrozumieli, że Anita ma na myśli psychologię.

— Z powodu psychologicznego smutku — ciągnęła kobieta — młody człowiek utknął na jedenastce i nie może dobrać do dwunastki.

— Nieprawda — zaoponował Harun, ale w głębi serca obawiał się, że Anita może mieć rację. Czyżby rzeczywiście ugrzązł w czasie jak zepsuty zegar? Może problem pozostanie nierozwiązany, póki Soraja nie wróci, żeby znów puścić w ruch zegary.

* * *

W kilka dni później Raszid Khalifa otrzymał propozycję występu od polityków z Miasta G i z pobliskiej Doliny K w górach M. (Należy wyjaśnić, że w krainie Alifbaj znaczną część nazw geograficznych zastąpiono literami alfabetu. Prowadziło to do wielu nieporozumień, bo zestaw liter jest ograniczony, a liczba miejsc, które potrzebują nazwy, dąży do nieskończoności. Bywało więc i tak, że jedna nazwa musiała służyć kilku różnym miejscom, przez co listy często trafiały pod niewłaściwy adres. Sytuację pogarszało to, że niektóre miejsca — na przykład znane nam już smutne miasto — zupełnie zapomniano, jak się nazywają. Łatwo możecie sobie wyobrazić, co musieli znosić pracownicy poczty państwowej, czasem więc trochę ponosiły ich nerwy).

— Powinniśmy tam pojechać — rzekł Raszid do Haruna, nadržabiając miną. — W Mieście G i w Dolinie K pogoda jeszcze się trzyma, a tu w powietrzu zrobiło się jakoś tak płakawie, że szkoda gadać.

W smutnym mieście rzeczywiście lało, że aż strach: wystarczyło odetchnąć, żeby się narazić na śmierć przez utonięcie. Pani Anita, która właśnie wpadła na chwilę, ze smętną miną przyznała Raszidowi słuszność.

— Plan na medal — powiedziała. — Właśnie, pojedźcie obaj. Zróbcie sobie małe wakacje, a o mnie się nie martwcie. Będę tu siedziała sama samiuteńka.

* * *

— Miasto G to nic szczególnego — rzekł Raszid do Haruna, kiedy pociąg wiozł ich w stronę rzeczonego miasta. — Za to Dolina K! Całkiem inna historia. Są tam złote pola i srebrne góry, a pośrodku doliny jest piękne jezioro. Nawiasem mówiąc, nazywa się Nudne.

— Skoro jest takie piękne, to czemu się nie nazywa Ciekawe? — spytał Harun. Ogromnie się wysilając, żeby wpaść w dobry humor, Raszid spróbował odegrać swój stary numer z jędzowatym przebieraniem palcami.

— Aaa, jezioro Ciekawe! — powiedział najbardziej tajemniczym tonem, na jaki mógł się zdobyć. — Z nim sprawa ma się całkiem inaczej. To Jezioro O Wielu Imionach. Żebyś wiedział, że tak.

Raszid zaczął snuć opowieść, siląc się na pogodny ton. Opowiedział Harunowi o Luksusowej Barce, która oczekiwała ich na falach Jeziora Nudnego, o ruinach zakłętego zamku w srebrnych górach i o ciągnących się aż do brzegu jeziora parkach, urządzonych na rozkaz starożytnych władców; w parkach tych były wodotryski, tarasy i pawilony rozkoszy, wśród których unosiły się duchy pradawnych królów pod postacią dudków. Lecz dokładnie po jedenastu minutach Harun przestał słuchać; Raszid także umilkł i odtąd w milczeniu patrzyli przez okno pociągu na równinę, rozpościerającą przed nimi cały bezmiar swej nudy.

Na Dworcu Kolejowym w Mieście G powitali ich bez cienia uśmiechu dwaj wąsacze ubrani w żółte spodnie w krzykliwe kratę. „Wyglądają mi na drani” — pomyślał Harun, ale zachował to dla siebie. Nieznajomi zawieźli Raszida i Haruna prosto na wiec. Po drodze mijali autobusy ociekające pasażerami, tak jak gąbka ocieka wodą; w końcu znaleźli się w istnym lesie ludzkim, w którym ludzie pączkowali we wszystkie strony niczym liście na drzewach w dżungli. Rosły tam całe krzaki dzieciarni, a wśród nich panie stały rzędami jak kwiaty na olbrzymich klombach. Głęboko zadumany Raszid ze smutkiem kiwał głową, przytakując własnym myśłom.

A potem zdarzyła się Rzecz Nie Do Pomyślenia: Raszid wyszedł na scenę, stanął przed całą tą ludzką dżunglą (Harun zerkał tymczasem zza kulis), ale gdy otworzył usta, a w podekscytowanym tłumie rozległy się piski, nieszczęsnemu gawędziarzowi opadła szczęka: w ustach miał tę samą pustkę, co w sercu.

— Arkarka — zdołał tylko wykrztusić. — Arkarka.

Mistrz Wodolejstwa krakał jak pierwsza lepsza wrona.

* * *

Zamknięto ich w gabinecie dusznym jak łaźnia; obaj wąsacze w żółtych spodniach w krzykliwe kratę wrzeszczeli na Raszida: twierdzili, że wziął łapówkę od ich konkurentów i dawali do zrozumienia, że mogą obciąć mu język oraz parę innych detali. Bliski płaczu Raszid powtarzał, że nie ma pojęcia, czemu go tak nagle zatkało, i obiecywał się poprawić następnym razem.

— W Dolinie K spiszę się bez zarzutu, na medal — przysiągł.

— Lepiej się spisz — krzyknęli wąsacze — bo jak nie, to ci wyrwiemy z gardła ten kłamliwy język.

— A o której odlatuje samolot do K? — wtrącił Harun, próbując załagodzić sytuację. (Wiedział, że linia kolejowa nie dociera do gór). Krzykacze zaczęli krzyczeć jeszcze głośniej.

— Samolot? Samolot? Tatulкови opadły skrzydła, a bachorowi lotów się zachciewa! Wybijcie sobie z głowy samolot. Wsiadajcie w autokar i jedźcie w cholerę.

„Znowu moja wina — pomyślał zgnębiony Harun. — Przeze mnie cała sprawa się zaczęła. *Co komu po opowieściach, które nawet nie są prawdziwe?* Tym pytaniem zламаłem ojcu serce, więc teraz wypada, żebym wszystko odkręcił. Coś trzeba wymyślić”.

Sęk w tym, że nie miał żadnego pomysłu.

Rozdział 2.

Karetka pocztowa

Dwaj krzykacze wepchnęli Raszida i Haruna tylnymi drzwiczkami do starego gruchota o podartych szkarłatnych siedzeniach; chociaż tandetne radio rozkręcone na cały regulator grało filmowe melodyjki, i tak było słychać, jak wścicze przeklinają niesolidność gawędziarzy — póki auto nie stanęło przed zardzewiałą bramą Dworca Autobusowego. Tam zaś Haruna i Raszida wyrzucono z wozu, bez ceremonii i bez słowa pożegnania.

— A zwrot kosztów podróży? — z nadzieją zapytał Raszid, ale krzykacze krzyknęli:

— Znowu chce pieniędzy! Co za tupet! Ależ ten facet ma tupet!

I zaraz ruszyli pędem, aż psy i krowy, a także kobiety niosące na głowach kosze owoców, musiały czym prędzej uciekać im z drogi. Stary gruchot odjeżdżał zygzakami, a z jego okien wciąż lała się głośna muzyka i obelgi.

Raszid nawet nie pogroził krzykaczom pięścią. Harun poszedł za nim w stronę kas. Po drodze minęli piaszczysty dziedziniec o ścianach pokrytych dziwacznymi przestrogami:

JEŚLI PĘDZISZ JAK PIES GOŃCZY
TO NA PEWNO MARNIE SKOŃCZYSZ

albo

KTO Z SZYBKOŚCI SWEJ JEST DUMNY
NA WYŚCIGI MKNIE DO TRUMNY

czy też

STOP! DOKĄD GNASZ, GROZĘ SIEJĄC?
ŻYCIE TO SKARB! WÓZ TO PIENIĄDZ!

— Powinni jeszcze napisać: „zabrania się znieważać pasażerów podróżujących na tylnym siedzeniu” — mruknął Harun. Raszid poszedł kupić bilety.

Przy okienku nie stała kolejka, tylko toczył się turniej zapaśniczy, bo każdy chciał być pierwszy; ponieważ większość podróżnych dźwigała kury, dzieci i inne nieporęczne rekwizyty, powstało kłębowisko, w którym odbywała się wolna amerykanka, a ze środka wylatywały ptasie pióra, zabawki i kapelusze. Od czasu do czasu jakiś człowiek w podartym ubraniu, z obłędem w oku, wrywał się na otwartą przestrzeń, zwycięsko wymachując skrawkiem papieru — czyli biletem! Raszid wziął głęboki oddech i dał nura w sam środek tego młyna.

Tymczasem na dziedzińcu między autobusami to tu, to tam toczyły się obłoki kurzu — miniaturki pustynnych trąb powietrznych. Harun uświadomił sobie, że w każdym takim kłębie pyłu tłoczą się ludzie. Na dworcu było po prostu za dużo pasażerów, a za mało autokarów; nikt zresztą nie wiedział, który autokar odjedzie pierwszy. Dzięki temu kierowcy mogli sobie urządzać złośliwą zabawę: jeden z nich zapalał silnik, ustawiał lusterka i w ogóle tak się zachowywał, jakby miał za chwilę odjechać. Cała grupa pasażerów natychmiast zbierała walizki, śpiwory, papugi i radia tranzystorowe i pędziła w jego stronę. Lecz on z niewinną miną gasił silnik, a równocześnie na drugim końcu dziedzińca inny kierowca przekreślał kluczyk w stacyjce, więc pasażerowie znów zrywali się do biegu.

— Nieładnie — powiedział Harun.

— Zgadza się — zadudnił mu za plecami czyjś głos. — Ale ale ale przyznasz chyba, że można pęknąć ze śmiechu, kiedy się na to patrzy.

Posiadaczem tubalnego głosu okazał się mężczyzna ogromnego wzrostu, z bujną czupryną, która sterczała mu prosto do góry jak papuzi czub. Twarz też miał niezwykle włochatą; Harunowi całe to owłosienie wydało się jakieś pierzaste. „Idiotyzm — pomyślał. — Skąd coś takiego mogło mi przyjść do głowy? Przecież to jawna bzdura”.

W tej samej chwili zderzyły się dwa obłoczki pełne pasażerów; gdy nastąpiła eksplozja parasoli, kierzanek i sandałów plecionych ze sznurka, Harun mimo woli się roześmiał.

— Jesteś gość na medal — zahuczał nieznajomy o pierzastych włosach. — Dostrzegasz śmieszny stronę sytuacji! Każdy wypadek to zdarzenie naprawdę smutne i okrutne, ale ale ale... Trach! Bach! Łubudu! Jakże tu nie zachichotać. — Z tymi słowy olbrzym wstał i uklonił się. — Do usług — rzekł. — Jestem Alle, szofer Superekspresowej Karetki Pocztovej Numer Jeden, kierunku: Dolina K.

Harun uznał, że też powinien się uklonić.

— A ja jestem Harun — powiedział.

I zaraz wpadł na pewien pomysł, dodał więc:

— Jeśli rzeczywiście jest pan na moje usługi, wiem, jak mógłby mi pan pomóc.

— To była tylko figura retoryczna — odparł pan Alle. — Ale ale ale nie cofnę słowa! Figury retoryczne to szczwane stwory. Niektóre kręca, inne są prostolinijne. Ale Alle jest prostolinijny, a nie pokrętny. Czego panicz sobie życzy?

Raszid wiele razy opowiadał Harunowi o tym, jaka piękna droga wiedzie z Miasta G do Doliny K; szlak ten wijąc się niczym wąż mija Przełęcz H i zmierza do Tunelu I (zwanego także Tunelem J). Na poboczach leży śnieg, a w kanionach szybują bajecznie kolorowe ptaki; w miejscu, gdzie droga wyłania się z Tunelu (tak przynajmniej twierdził Raszid), oczom podróżnika ukazuje się najwspanialszy widok świata — panorama Doliny K ze złotymi polami, srebrnymi górami i Jeziorem Nudnym pośrodku; pejzaż ten rozpościera się jak czarodziejski dywan, czekający, aż ktoś zechce wzbić się na nim w niebo.

— Kiedy człowiek patrzy na ten krajobraz, pryskają wszelkie smutki — mawiał Raszid. — A niewidomym własna ślepotą musi się chyba wtedy wydawać tym większym nieszczęściem.

Harun miał więc do pana Allego następującą prośbę: żeby im zarezerwował dwa miejsca na samym przodzie Karetki, i to na całą trasę do Jeziora Nudnego; i niech jeszcze zaręczy, że Karetka przejedzie przez Tunel I (zwany także Tunelem J) przed zachodem słońca, bo inaczej cały pomysł spali na panewce.

— Ale ale ale — zaprotestował pan Alle — jest już późno. . . Lecz widząc, że Harun zaczyna mieć niewyraźną minę, uśmiechnął się od ucha do ucha i klasnął w ręce.

— Ale ale ale co z tego? — zawołał. — Piękny widok! Rozweselić smutnego tatę! Przed zachodem słońca! Żaden problem.

Kiedy Raszid wyszedł chwiejnym krokiem z budynku, w którym mieściły się kasy, stwierdził, że Harun siedzi na schodkach Karetki, zarezerwowawszy najlepsze miejsca, a silnik warczy.

Pozostali pasażerowie, zdyszani od ciągłej bieganiny, spoceni i zakurzeni, patrzyli na Haruna z zazdrością i podziwem. Raszid też był pod wrażeniem.

— Już ci chyba mówiłem, Harunie Khalifo, że ścchapek z ciebie. W razie czego staniesz za dwóch.

— Juhuu! — wrzasnął pan Alle, porywczy jak mało który pracownik poczty. — Brruummmmm!

To powiedziawszy dał gaz do dechy.

Karetka przeleciała jak rakietą przez bramę Dworca Autobusowego, ledwo, ledwo mijając ścianę, na której widniał napis:

JEŚLI LUBISZ PEŁ I ZAMĘT,
LEPIEJ ZARAZ SPISZ TESTAMENT.

Karetka mknęła coraz szybciej; pasażerowie zaczęli pohukiwać, a niektórzy wręcz wyć z podniecenia i grozy. Pan Alle w zawrotnym tempie mijał wioskę za

wioską. Harun spostrzegł, że w każdej wiosce na rynku czeka obok przystanku autobusowego człowiek z worem pełnym listów i robi minę najpierw zdeorientowaną, a potem wściekłą, gdy Karetka mija go z rykiem silnika, nawet nie zwalnając. Chłopiec zauważył w tylnej części Karetki specjalną przegrodę oddzieloną od pasażerów siatką; piętrzył się tam stos worków z listami, identycznych jak te, których pilnowali mężczyźni gniewnie potrząsający pięściami na wioskowych ryneczkach. Najwidoczniej pan Alle zapomniał doręczyć albo odebrać pocztę!

— Czy nie musimy się zatrzymać, żeby zabrać listy? — spytał wreszcie Harun, pochylając się do przodu. W tej samej chwili gawędziarz Raszid zawołał:

— Czy musimy aż tak pędzić?

Pan Alle zdołał jeszcze dodać gazu.

— Czy nie musimy się zatrzymać? — ryknął przez ramię. — Czy musimy pędzić? Jedno wam powiem, łaskawi panowie: mus to śliski wąż i już. Chłopiec twierdzi, że pan Musi Zobaczyć Pejzaż Przed Zachodem Słońca. Może tak, a może nie. Znaleźliby się tacy, co by powiedzieli, że chłopiec Musi Mieć Matkę. Może tak, a może nie. O mnie mawiają, że Alle Musi Pędzić, ale ale ale całkiem możliwe, że moje serce dla pełni szczęścia musi zaznać Zupełnie Innych Podniet. O, mus to naprawdę ptaszka-dziwaczka: pod jego naciskiem ludzie posuwają się do kłamstwa. Wszystkich on gnębi, ale ale ale nie zawsze się do tego przyznają. Hurra! — zawołał, wskazując palcem kierunek.

— Granica wiecznych śniegów! Przed nami lodowce! Krucha nawierzchnia! Wiraże! Lawiny! CAŁA NAPRZÓD!

Postanowił najzwyczajniej w świecie nie odbierać poczty z przystanków, byle tylko dotrzymać słowa danego Harunowi.

— Żaden problem — krzyknął radośnie. — I tak wszyscy wciąż dostają cudze listy w tym kraju, w którym jest aż za wiele miejscowości, a nie dość nazw.

Karetka wjechała w Góry M, ze straszliwym piskiem opon biorąc przerażające wiraże. Pakunki przywiązane do bagażnika na dachu szamotały się niepokojąco. Pasażerowie (którzy wyglądali już teraz identycznie, bo wszyscy ociekali rzadkim błotem z kurzu i własnego potu) zaczęli sarkać.

— Moja torba! — wrzasnęła jakaś kobieta, cała ubłocona. — Ty wściekły bawole! Wariacie bez piątej klepki! Przestań tak pędzić, bo mój bagaż polecą prosto do Królestwa Niebieskiego!

— My sami tam polecimy, pani szanowna — rzekł ostrym tonem jakiś mężczyzna, też cały umazany błockiem. — Więc proszę nam nie zawracać głowy swoimi osobistymi drobiazgami.

Jeszcze inny pomazaniec przerwał mu gniewnie:

— No; no, licz się pan ze słowami! Żonę mi pan znieważa!

Do rozmowy włączyła się druga kobieta:

— No i co z tego? Przecież ona już od godziny wrzeszczy mojemu mężowi prosto w ucho, więc czemu nie miałby zgłosić zastrzeżeń? Patrzcie ją, chudą fleję! Czy to kobieta, czy ubłocony patyk?

— Widzicie, jaki ostry zakręt? — śpiewnie zawołał pan Alle. — Dwa tygodnie temu zdarzyła się tu wielka kraksa. Autokar runął w rozpadlinę, pasażerowie trupy co do jednego, minimum sześćdziesiąt-siedemdziesiąt dusz. Boże! Jakie to smutne! Przystanę, jeśli macie państwo ochotę zrobić zdjęcia.

— Tak, postój, postój! — zaczęli błagać pasażerowie (chcieli, żeby zwolnił pod jakimkolwiek pretekstem), ale pan Alle tylko dodał gazu.

— Za późno! — zajodłował radośnie. — Dawno minęliśmy miejsce katastrofy. Musicie szybciej się decydować, jeśli mam spełniać wasze życzenia.

„Znowu wszystko przeze mnie — pomyślał Harun. — Jeśli Karetka się rozbi-je, a my roztrzaskamy się w drobny mak albo usmażymy w płonącym wraku jak frytki, znów będzie moja wina”.

* * *

Wjechali już na dobre w Góry M; Harun był pewien, że im wyżej się wznoszą, tym bardziej Karetka przyspiesza. Znaleźli się na takiej wysokości, że w kanionach pod nimi widać było chmury, zbocza gór pokrywał grubą warstwą brudny śnieg, a pasażerowie dygotali z zimna. W Karetce rozbrzmiewało jedno wielkie szczekanie zębami. Wszyscy zamilkli ze strachu i z zimna, i nawet pan Alle tak się skoncentrował na prowadzeniu wozu z szaleńczą prędkością, że przestał wykrzykiwać „Juhuu!” i wskazywać miejsca szczególnie makabrycznych kraks.

Harun miał wrażenie, że wszyscy razem dryfują po morzu ciszy, że to właśnie jej fala wznosi ich coraz wyżej, aż ku szczytom gór. Zaszło mu w ustach, język zeszywniał i pokrył się niemiłym nalotem. Raszidowi też mowę odjęło: nie był w stanie nawet zakrakać. „Lada chwila — myślał Harun, świadom, że reszcie pasażerów na pewno przychodzą do głów bardzo podobne myśli — zniknę jak słowo starte gąbką z tablicy: jedno maźnięcie i raz na zawsze będzie po mnie”.

I wtedy zobaczył chmurę.

Karetka pędziła wzdłuż wąskiego kanionu. Dalej droga ostro skręcała w prawo: wydawało się, że teraz już na pewno runą w przepaść. Przydrożne tablice sygnalizowały szczególne niebezpieczeństwo — z surowością, która wykluczała rymy. GOŃ JAK WSZYSCY DIABLI I NIECH CIĘ PORWĄ — głosił jeden z napisów. JEDŹ JAK ZA POGRZEBEM, BO INACZEJ TRAFISZ NA WŁASNY — brzmiał sąsiedni. Wtem gęsta chmura przeświecona migotliwymi, niebywałymi barwami, chmura prosto ze snu, a może z koszmaru, wyskoczyła z kanionu i klapnęła na drogę. Uderzyli w nią, biorąc zakręt; w ciemnościach, które nagle zapadły, Harun usłyszał, że Alle z całej siły naciska na hamulec.

Znów wybuchł zgiełk: wrzaski, pisk opon. „No właśnie” — pomyślał Harun, lecz nagle wychynęli z chmury i znaleźli się gdzieś, gdzie zewsząd otaczały ich gładkie, obłe ściany, a u sklepienia świeciły rzędy żółtych lamp.

— Tunel! — obwieścił pan Alle. — Na drugim końcu Dolina K. Za godzinę zachód słońca. W tunelu spędzimy raptem kilka minut. Za chwilę Widok. Mówię: żaden problem.

* * *

Kiedy wyjechali z Tunelu I, pan Alle zatrzymał Karetkę, żeby wszyscy mogli się napatrzeć do syta, jak nad Doliną K zachodzi słońce, zalewając swym światłem złote pola (w rzeczywistości porośnięte szafranem), srebrne góry (pokryte po prostu lśniącym, nieskazitelnym śniegiem) i Jezioro Nudne (do którego ta nazwa wcale nie pasowała). Raszid Khalifa przytulił Haruna i powiedział:

— Dziękuję ci, synku, że mi załatwiłeś tę przejażdżkę, ale prawdę mówiąc przez chwilę myślałem, że sami jesteśmy załatwieni raz na zawsze, skończeni, finito, *khattam-shud*.

— Khattam-Shud — powtórzył Harun, marszcząc brwi. — Co to była za historia, którą kiedyś opowiadałeś...?

Raszid przemówił takim tonem, jakby sobie przypominał bardzo stary sen.

— Khattam-Shud — rzekł pomału — to Wróg Numer Jeden wszelkich Opowieści i w ogóle Języka. Książę Milczenia i Nienawistnik Mowy. A ponieważ wszystko ma swój kres, ponieważ kończą się sny, opowieści i nawet samo życie też się kiedyś skończy, u kresu zawsze wymieniamy jego imię. „To już koniec”, mówimy. „Już po wszystkim. Khattam-Shud. Kres”.

— Ledwo trochę pobyłeś w tych stronach, a już wracasz do formy — zauważył Harun. — Jakoś nie kraczesz. Pomału ci się przypominają te twoje obłędne historyjki.

Pan Alle zjeżdżał w dolinę wolno, z najwyższą ostrożnością.

— Ale ale ale przecież już nie musimy pędzić, skoro spełniłem obietnicę — wyjaśnił drżącym i ubłoconym pasażerom, a oni zaczęli wściekle łypać na Haruna i Raszida.

Zmierzchało już, kiedy minęli tablicę, na której niegdyś widniał napis WITAJCIE W DOLINIE K, ale ktoś ją pobazgrał koślawymi literami i teraz obwieszczała: WITAJCIE W DOLINIE KOSH-MAR.

— Co to takiego Kosh-mar? — zainteresował się Harun.

— Nagryzmolił to jakiś odszczepieniec — rzekł pan Alle wzruszając ramionami. — Jak się być może przekonacie, nie wszyscy w Dolinie K są szczęśliwi.

— To słowo pochodzi ze starożytnego języka *franj*, którym już się w tych stronach nie mówi — wyjaśnił Raszid. — W dawnych czasach dolina ta, dziś

zwana po prostu K, nosiła inne nazwy. Jedna z nich, jeśli mnie pamięć nie myli, brzmiała „Kache-Mer”, a inna właśnie „Kosh-mar”.

— Czy te nazwy coś znaczą? — spytał Harun.

— Każda nazwa coś znaczy — odparł Raszid. — Niech no pomyślę. Owszem. „Kache-Mer” można przetłumaczyć jako „miejsce, w którym ukryło się morze”, ale „Kosh-mar” to trochę brzydsze słowo.

— No mów — nastawał Harun. — Nie możesz tak zakończyć.

— W dawnym języku — przyznał Raszid — znaczyło „zmora”.

* * *

Było już ciemno, kiedy Karetka zajeżdżała na Dworzec Autobusowy w K. Harun podziękował panu Allemu i pożegnał się z nim.

— Ale ale ale my się jeszcze zobaczymy, bo przecież odwiozę was z powrotem — odparł szofer. — Zatrzymam dla was te najlepsze miejsca, nie ma sprawy. Macie u mnie podwodę. Na pewno nie zawiodę. W drogę! Brrrrrrrrrr! Żaden problem.

Harun się bał, że i tym razem Raszidowi wyjdą na spotkanie jacyś krzykacze, ale K było prowincjonalną miejsciną, a wieść o beznadziejnym popisie gawędziarza w Mieście G przenosiła się z miejsca na miejsce wolniej niż Karetka pana Allego. Powitał ich więc Szef we własnej osobie, Człowiek Numer Jeden w partii rządzącej doliną, a zarazem Kandydat w nadchodzących wyborach, którego sprawę Raszid zgodził się poprzeć swym występem. Szef miał twarz tak lśniąca i gładką, a białą koszulę o sportowym kroju i tegoż koloru spodnie tak wykrochmalone i w ogóle nienagane, że niechlujny wąsik rosnący kępkami nad jego górną wargą wyglądał jak pożyczony: za bardzo był tandetny, żeby mógł pasować do takiego wymuskanego jegomościa.

Wymuskany jegomość powitał Raszida uśmiechem gwiazdora filmowego, ale tak fałszywym, że Harun poczuł się po prostu obrzydliwie.

— Czcigodny panie — powiedział Kandydat. — Wielki to dla nas zaszczyt. Do naszego miasta zawitała legendarna postać.

Harun pomyślał, że jeśli Raszid zrobi w Dolinie K taką samą klapę jak w Mieście G, to wymuskany jegomość od razu inaczej zaśpiewa. Ale Raszidowi pochlebstwo sprawiło wyraźną przyjemność, a chłopiec chwilowo gotów był znieść wszystko, co ojcu poprawiało humor. . .

— Moje nazwisko Lecz — rzekł jegomość.

— To prawie tak jak Pocztylion z Karetki! — wykrzyknął Harun, a wymuskany jegomość o szmatławym wąsiku ze zgrozą wzniosł ręce do góry.

— Wcale nie jak Pocztylion — zaskrzeczał. — Na mękę Mojżesza! Wiesz chociaż, do kogo mówisz? Czy ja wyglądam jak szofer autokaru?

— No, bardzo przepraszam — zaczął Harun, ale pan Lecz już odchodził, zadarłszy nos do góry.

— Czcigodny pan Raszid zechce się udać nad jezioro — zakomenderował, spoglądając przez ramię. — Tragarze zaniósł pański bagaż.

Podczas pięciominutowego spaceru nad Jezioro Nudne chłopiec czuł się mocno nieswojo. Pana Lecza i jego świtę (do której od niedawna należeli też Raszid i Harun) stale otaczało dokładnie stu jeden żołnierzy uzbrojonych po zęby; nie liczni szarzy obywatele, których Harun zauważył na ulicy, mieli wybitnie nieprzyjazne miny. „Coś złego unosi się nad tym miastem” — pomyślał chłopiec. Kto mieszka w smutnym mieście, ten umie poznać niedolę, kiedy ją spotka na swej drodze. Potrafi wyczuć jej woń, gdy nocą rzedną spaliny ciężarówek i inne wyziewy, a w świetle księżyca wszystko wyraźniej widać. Raszid przyjechał do Doliny K, bo pamiętał ją jako najradośniejsze ze znanych sobie miejsc, było jednak jasne, że do niej także trafiło górskimi drogami nieszczęście. „Jaką popularnością może się tu cieszyć ten cały Lecz, jeśli potrzebuje aż takiej obstawy?” — pomyślał Harun. Chciał szepnąć Raszidowi na ucho, że wymuskany jegomość z omszałą wargą może wcale nie zasługuje na poparcie w kampanii wyborczej, ale ciągle kręcili się koło nich żołnierze. A potem orszak stanął nad jeziorem.

Czekała tam łódź w kształcie łabędzia.

— Ofiarujemy dostojnemu panu Raszidowi, co tylko mamy najlepszego — śpiewnie zawołał pan Lecz, nadęty bufon. — Przez dzisiejszą noc będę miał zaszczyt gości pana na najbardziej luksusowej barce, jaka pływa po tym jeziorze. Mam nadzieję, że nie okaże się zbyt skromna dla takiej znakomitości.

Harun uprzytomnił sobie, że pozornie uprzejmy ton gospodarza jest w istocie obelżywy. Czemu Raszid to znosi? Mocno rozdrażniony chłopiec wgramolił się do łodzi w kształcie łabędzia. Załoga w wojskowych mundurach zaczęła wiosłować.

Harun spojrział w toń Jeziora Nudnego. W wodzie widać było całe mnóstwo dziwnych prądów, splatających się w zawiłe wzory. W pewnej chwili łódź minęła coś, co przypominało dywan unoszący się na powierzchni wody.

— Pływający Ogród — objaśnił Raszid. — Z korzeni lotosu splata się kobierzec i można na nim hodować warzywa, choćby i pośrodku jeziora.

W głosie Raszida znów pobrzmiwała melancholijna nuta, więc Harun szepnął:

— Nie bądź taki smutny.

— Smutny? Zmartwiony? — zaskowyczał Dęty Lecz. — Ależ czcigodny pan Raszid nie jest chyba niezadowolony z przyjęcia, jakie mu zgotowałem?

Gawędziarz Raszid nigdy nie umiał zmyślać historyjek o samym sobie, powiedział zatem:

— Nic podobnego, zapewniam pana. To sprawa sercowa.

„Po co mu o tym mówisz?” — pomyślał rozwścieczony Harun, ale Nadętego Lecza wyznanie to wprawiło w szczyry zachwyt.

— Też mi zmartwienie, niebywały panie Raszidzie! — zawołał bez odrobiny taktu. — Odpłynęła w siną dal, ale w morzu są całe mnusta ryb.

„Mnusta ryb?” — pomyślał Harun, ogarnięty furją. Jakie znowu „mnusta”? I dlaczego właśnie ryb? Czyżby jego matka miała być pompilem? Czy koniecznie trzeba ją porównywać do ponuryby albo rekina? Leczowi należy się od Raszida fanga w ten zarozumiały nochal!

Gawędziarz zanurzył dłoń w falach Jeziora Nudnego i patrzył z roztargnieniem, jak prąd omywa mu palce.

— Ach — westchnął. — Długą trzeba odbyć podróż, nim się znajdzie Rajską Rybę.

Jak gdyby w odpowiedzi na te słowa raptem zmieniła się pogoda. Powiał gorący wiatr, a nad powierzchnią wody zaczął sunąć w ich stronę tuman mgły. Przestali cokolwiek widzieć.

„Mniejsza o Rajską Rybę — pomyślał Harun. — Na razie nie mogę znaleźć nawet czubka własnego nosa”.

Rozdział 3.

Jezioro Nudne

Harun już wcześniej wyczuł w nocnym powietrzu zapach niedoli, a ta niespodziewana mgła wręcz cuchnęła smutkiem i ponuractwem. „Szkoda, że nie zostaliśmy w domu — pomyślał. — Nosów spuszczonej na kwintę mamy w naszym mieście pod dostatkiem”.

— Feee! — zabrzmiał w zielonożółtej mgle okrzyk Raszida Khalify. — Kto to tak przykadził? No, przyznać mi się zaraz.

— To mgła — wyjaśnił Harun. — Tuman Nieszczęścia.

Tu jednak natychmiast rozległ się głos Dętego Leczą:

— Łaskawco, chłopak najwidoczniej usiłuje zmyśleniem pokryć to, że sam nasmrodził. Jest jak mieszkańcy tej głupiej doliny, którzy szaleją za wszystkim, co wysane z palca. Czegóż ja nie muszę znosić! Wrogowie najmują tandeciarczy, żeby kładli ludowi w uszy historie stawiające mnie w niekorzystnym świetle, a nieświadomy lud chciwie je chłonie. Właśnie dlatego zwróciłem się do wymownego pana Raszida. Opowie pan radosne, pochwalne historie, a lud uwierzy panu i uszczęśliwiony odda na mnie głosy.

Zaledwie Lecz wymówił te słowa, nad Jeziorem powiał gorący wicher. Mgła się rozpierzchnęła, ale teraz z kolei wiatr palił twarze podróżnych, a tafle wody marszczyły szalone fale.

— To jezioro ani trochę nie jest Nudne — krzyknął Harun. — Jest wręcz Porywcze!

Ledwie chłopiec skończył zdanie, otworzyła mu się klapka w głowie.

— Widocznie trafiliśmy do Kapryśnej Krainy! — zawołał.

Legenda o Kapryśnej Krainie należała do ulubionych gawęd Raszida Khalify. Opowiadał w niej o zaczarowanym kraju, który ciągle się zmieniał wedle humoru mieszkańców. W Kapryśnej Krainie słońce mogło świecić przez całą noc — pod warunkiem, że dostatecznie wiele osób ogarnął pogodny nastrój — i świeciło tak, póki niekończący się skwar nie zaczął ludziom działać na nerwy; wtedy z kolei zapadała noc-złośnica pełna pomruków i niesnasek, której gęstym powietrzem nie sposób było oddychać. Kiedy ludzie wpadali w gniew, ziemia drżała; kiedy mieli

mętnik w głowach i ogarniało ich zwątpienie, Kapryśnej Krainie też wszystko się plątało: kontury budynków, latarni i samochodów rozmywały się jak na obrazie, kiedy puści farba; w takich chwilach trudno było się połapać, gdzie kończy się jedna rzecz, a zaczyna następna. . .

— Zgadłem? — spytał Harun ojca. — Czy to o tej okolicy kiedyś opowiadałeś?

Wszystko się zgadzało: Raszid był smutny, więc łódź o łabędzych kształtach spowił Tuman Nieszczęścia; Dęty Lecz tak się nadymał i podpalał, że naturalną kolejną rzecz sprowadził gorący wiatr!

— Harunie, Kapryśna Kraina to tylko taka sobie bajeczka — odparł Raszid. — A ta tutaj okolica istnieje naprawdę.

Słyszając, że ojciec mówi: „taka sobie bajeczka”, Harun pojął, jak bardzo przygnębiony musi być Mistrz Wodolejstwa, bo tylko głęboka rozpacz mogła mu podsunąć te straszliwe słowa.

Tymczasem Raszid spierał się z Dętym Leczem.

— Nie chce pan chyba, żebym opowiadał same lukrowane historyjki? — oburzał się. — Nie każda dobra gawęda musi zaraz być słodka. Ludzie potrafią się zachwycać najbardziej łzawymi opowieściami, jeśli tylko widzą w nich piękno.

Dęty Lecz wpadł we wściekłość.

— Bzdura, bzdura! — zaskrzeczał. — Warunki umowy są jasne! Będzie pan więc łaskaw wystąpić z pogodnymi legendami. Niepotrzebne mi te pańskie porzebowe sagi! Lepiej bądź pan wesół, bo nie potrząsnę kiesą!

Gorący wicher natychmiast powiał ze zdwojoną mocą, a gdy Raszid umilkł i poddał się przygnębieniu, nad powierzchnią Jeziora pomknęła ku nim przesycona odorem szamba zielonożółta mgła; woda, jeszcze bardziej wzburzona niż dotychczas, chlustała przez burtę łodzi w kształcie łabędzia, która kołysała się niepokojąco, jakby udzieliła jej się furia Lecza (a także, prawdę mówiąc, gniew Haruna, coraz bardziej rozżłoszczonego zachowaniem gospodarza).

Mgła po raz drugi spowiła łódź i Harun znowu przestał cokolwiek widzieć. Słyszał tylko, że załoga wpadła w panikę:

— O! O! Idziemy na dno! — pokrzykiwali umundurowani wioślarze, a wśród ich zawodzeń rozlegały się wściekłe skrzeki Dętego Lecza, który najwidoczniej uznał warunki atmosferyczne za osobistą zniewagę; im zaś więcej było tych skrzeków i skamlań, tym mocniej burzyły się fale, a wiatr przybierał na sile i stawał się coraz górzyszy. We mgle przetaczały się grzmoty i migotały błyskawice, stwarzając niesamowite neonowe efekty.

Harun uznał, że jedyna rada to zastosować w praktyce teorię Kapryśnej Krainy.

— Dobra — krzyknął prosto w tuman mgły. — Słuchajcie. Powiem wam bardzo ważną rzecz. No, przestańcie gadać. Ani słowa. Zapięczętować usta. Ma być cicho jak na cmentarzu. Liczę do trzech: raz, dwa, trzy.

Nowy, władczy ton w jego głosie, będący dla niego samego nie mniejszym zaskoczeniem niż dla pozostałych, sprawił, że bez szemrania posłuchali go wiosłarze, a nawet Lecz. Natychmiast ucichł parzący wiatr, ustały grzmoty i błyskawice. Harun świadomym wysiłkiem woli zapanował nad złością, którą budził w nim Dęty Lecz, a gdy ochłonął, fale od razu się uspokoiły. Wciąż jednak wisiała w powietrzu smrodliwa mgła.

— Proszę cię tylko o jedno — zawołał Harun do ojca. — Zrób dla mnie jedną jedyną rzecz. Pomyśl o najszcześniejszej chwili, jaką pamiętasz. Przypomnij sobie panoramę Doliny K, którą zobaczyliśmy po wyjeździe z Tunelu I. Przypomnij sobie swój ślub. No, proszę cię.

Po paru chwilach zasłona cuchnącej mgły rozdarła się na strzępy niczym stara koszula i rozwiała w chłodzie nocnej bryzy. Na wody Jeziora znów padło światło księżyca.

— A widzisz? — rzekł Harun do ojca. — Jednak nie była to tylko taka sobie bajeczka.

Raszid z zachwytu aż się głośno roześmiał.

— W trudnych momentach dobrze jest mieć pod ręką kogoś takiego jak ty, Harunie Khalifo — powiedział, z namaszczaniem kiwając głową. — Chylę czoło. Daleko zawędrujesz.

— Naiwny pan Raszid — zawołał Dęty Lecz — nie uwierzył chyba w te czary-mary, które chłopak wyczyniał? Zwariowana pogoda sama przyszła i sama poszła. Więcej ani słowa.

Harun zachował dla siebie uczucia, które budził w nim pan Lecz. I tak swoje wiedział: skoro prawdziwy świat jest pełen czarów, to nie ma powodu, żeby światy wyczarowane nie były prawdziwe.

* * *

Barka nazywała się „Noc tysiąc druga”, bo — jak stwierdził chętnie pan Lecz — „nawet w *Baśniach z tysiąca i jednej nocy* nie znalazłby się podobny cud”. Jej okna miały kontury baśniowych ptaków, ryb i zwierząt: był tam Ptak Rok od Sindbada Żeglarza, Wieloryb Co Połyka Ludzi, Smok Zionący Ogniem i tym podobne stwory. Z okien biły potoki światła, więc już z daleka widać było te fantastyczne bestie, jak gdyby pały one w ciemnościach własnym blaskiem.

Harun w ślad za Raszidem i panem Leczem wszedł po drabinie na drewnianą werandę o kunsztownie rzeźbionych balustradach, a z niej do hallu pełnego kryształowych żyrandoli, foteli wielkich jak trony, wyściełanych poduszkami suto haftowanymi brokatem, orzechowych stołów rzeźbionych w kształt drzew o płaskich koronach, w których kryły się maleńkie ptaszki oraz istotki podobne do skrzydlatych dzieci, czyli oczywiście elfy. Wzdłuż ścian stały regały, a na nich rzędy ksiąg

oprawnych w skórę, te jednak w większości okazały się makietami zasłaniającymi już to barek, już to schówek na szczotki. Ale na jednej z półek trzymano prawdziwe książki w niezrozumiałym dla Haruna języku, ilustrowane najdziwniejszymi obrazkami, jakie chłopiec w życiu widział.

— Nasz odczytany pan Raszid — powiedział Lecz — ze względów profesjonalnych na pewno się zainteresuje tą kolekcją. Ma pan tu gwoli przyjemności i nauki pełen zbiór legend znanych jako *Ocean Strug Opowieści*. Jeśli panu kiedyś zabraknie materiału, znajdzie go pan tu pod dostatkiem.

— Zabraknie? Co też pan wygaduje? — dzikim tonem spytał Raszid, którego ogarnął raptowny lęk, że Lecz od dawna wie o straszliwych wydarzeniach w Mieście G. Ale gospodarz poklepał go po ramieniu.

— Pan Raszid taki drażliwy! — rzekł. — To był tylko frywolny żarcik, chmurka, którą zdmuchnie pierwszy lepszy zefirek. Oczywiście z pełnym zaufaniem oczekujemy pańskiego popisu.

Ale Raszid już znowu dostał chandry. Pora była kończyć ten dzień.

Kilku umundurowanych marynarzy zaprowadziło obu przybyszów na pokoje, ociekające jeszcze większym przepychem niż hali. Dokładnie pośrodku sypialni Raszida stał ogromnych rozmiarów malowany paw z drewna. Gdy marynarze zdjęli mu grzbiet, wymownie przy tym gestykułując, wewnątrz ukazało się wygodne łóże. Harunowi przydzielono sąsiedni pokój, a w nim żółwia równie wielkiego jak paw; żółw także okazał się łóżkiem, kiedy załoganci zdjęli mu skorupę. Chłopiec trochę dziwnie się czuł na myśl, że ma spać w żółwiu, którego dopiero co pozbawiono skorupy, ale przypomniał sobie zasady dobrego wychowania i rzekł:

— Dziękuję, bardzo przyjemna sypialnia.

— Bardzo przyjemna? — zahuczał Dęty Lecz, stając w progu. — Nieobyty młokosie, znajdujesz się na pokładzie „Nocy tysiąc drugiej”! „Bardzo przyjemna” to zupełnie chybione określenie! Powiedz przynajmniej, że wszystko jest super-ekstra, wiarygodne i w ogóle fantastyknięte.

Raszid posłał Harunowi spojrzenie mające znaczyć: „Powinniśmy byli wrzucić tego faceta do jeziora, kiedy się nadarzyła okazja”, i przerywając skrzeki Leczą powiedział:

— Jak słusznie zauważył Harun, jest tu bardzo przyjemnie. A teraz pójdziemy spać. Dobranoc.

Dęty Lecz ruszył na sztywnych nogach do łodzi w kształcie łabędzia, wielce urażony.

— Kto ma zły gust — palnął na pożegnanie — nie wie, co heban, co chrust. Jutro przyjdzie kolej na niewdzięcznego pana Raszida. Zobaczymy, czy publiczność uzna, że jest pan „bardzo przyjemny”.

* * *

Harun nie mógł zasnąć. W ulubionej koszuli nocnej (czerwonej w fioletowe łaty) leżał na grzbiecie żółwia, przewracając się z boku na bok, a gdy wreszcie miał zapaść w sen, hałasy dobiegające z sąsiedniego pokoju, który zajmował Raszid, całkiem go rozbudziły; były to jakieś trzaski, dudnienie, jęki, bełkot, a na końcu cichy okrzyk:

— Nic z tego. . . nie dam rady. . . jestem skończony, skończony raz na zawsze!

Harun na palcach podszedł do drzwi między pokojami, bardzo ostrożnie je uchylił i zerknął przez szparkę. Mistrz Wodolejstwa ubrany w zwykłą niebieską koszulę nocną bez choćby jednej fioletowej łaty mrucząc pod nosem spacerował z markotną miną wokół łóżka w kształcie pawia, a klepki w podłodze trzeszczały i pojękiwały.

— Same pochwalne historie! Dobrze sobie — mówił Raszid. — Jestem przecież Oceanem Pomysłów, a nie chłopcem na posyłki, którym można pomiatać! Ale co też ja wygaduję? Wyjdę na scenę i nie wyduszę z siebie ani słowa, najwyżej zakraczę. A wtedy pokraja mnie w plasterki i zrobią ze mną koniec, finito, *khattam-shud!* Lepiej przestać się oszukiwać, tylko dać za wygraną, pójść na emeryturę, unieważnić abonament. Bo czar uleciał, uleciał na zawsze, odkąd ona odeszła.

Tu spojrzął w stronę drzwi łączących pokoje i zawołał na cały głos:

— Kto tam?

Harun musiał się ujawnić.

— To ja — powiedział. — Nie mogłem usnąć. Chyba przez tego żółwia — dodał. — Nie umiem spać w takim dziwnym łóżku.

Raszid z powagą skinął głową.

— Dziwna sprawa, ale mnie też kiepsko idzie z tym pawiem. Żółw bardziej by mi odpowiadał. A tobie jak by się podobał ptak?

— Dużo bardziej — przyznał Harun. — Nie mam nic przeciw ptakom.

Tak więc Harun i Raszid zamienili się sypialniami; i właśnie dlatego pewien Wodny Dżinn, który grubo przed nadejściem świtu zjawił się na „Nocy tysiąc drugiej” i zakradł do Pawiej Komnaty, stanął twarzą w twarz z chłopcem mniej więcej tego samego wzrostu co on sam, i to wcale nie śpiącym.

* * *

Gwoli ścisłości: Harun tylko co zdążył się zdrzemnąć, kiedy zbudziły go trzaski, dudnienie, jęki i bełkot; pomyślał więc, że ojcu równie trudno jest zasnąć na żółwiu, jak przedtem na pawiu. Wtem jednak uświadomił sobie, że hałas nie dobiega z Żółwiej Komnaty, lecz z jego własnej łazienki. Drzwi do niej były otwarte,

a w środku paliło się światło. W świetle tym Harun ujrzał zarys postaci tak zdumiewającej, że ledwo można ją opisać słowami.

Miała ona ogromną cebulę zamiast głowy i ogromne bakłażany zamiast nóg, w jednej ręce trzymała skrzynkę z narzędziami, a w drugiej klucz francuski. Włamywacz!

Harun na palcach ruszył do łazienki. Nieznajomy gadał jak najęty, a właściwie zrzędził pod nosem:

— Zamontuj, wymontuj. Facet tu przyjeżdża, więc muszę zainstalować urządzenie, i to na łeb, na szyję, nikogo nie interesuje, ile mam poza tym roboty. A potem bęc, gość kasuje abonament, no i ciekawe, komu zaraz każą wrócić i wymontować ustrojstwo, natychmiast, na łapu-capu, myślałby kto, że się pali? Gdzież ja wetknąłem to cholerstwo? Czyżby ktoś tu po mnie dłubał? Nikomu już nie można ufać. Dobra, dobra, po kolei. Kurek z gorącą wodą, kurek z zimną, dokładnie w połowie drogi między nimi, ale piętnaście centymetrów wyżej powinien być ten wasz Kran Opowieści. No to gdzie się podział? Kto go zwędził? Oj, co to takiego? Aaa, tu się schowałeś? Myślałeś, że ci się uda, ale dopadłem cię i nie puszcę. Dobra. Pora przerwać dopływ.

Podczas tego niebywałego monologu Harun Khalifa wolniuteńko wyciągał szyję, aż udało mu się połową oka zerknąć zza futryny i zajrzeć do łazienki: zobaczył tam niedużego człowieczka o starożytnym wyglądzie, mniej więcej swojego wzrostu; człowieczek ten miał na głowie ogromny fioletowy turban (czyli domniemaną cebulę), a do tego workowate spodnie od piżamy uszyte z jedwabiu, zwężone w kostkach (czyli rzekome bakłażany). Nosił imponujące wąsiska w całkiem niespotykanym kolorze, był to bowiem jaśniuteńki, najdelikatniejszy błękit.

Harun nigdy w życiu nie widział niebieskich włosów, więc z ciekawości trochę się wychylił do przodu, tu jednak ku jego przerażeniu klepka, na której stał, trzasnęła głośno, wręcz kategorycznie. Sinobrody obrócił się na pięcie, trzy razy zawirował wokół własnej osi i znikł, ale w pośpiechu upuścił klucz francuski. Harun dał susa do łazienki, chwycił narzędzie i przycisnął je do piersi.

Wolno, jak gdyby z najwyższym ociąganiem (choć tego akurat Harun nie mógł być pewien, bo nigdy przedtem nie widział, jak to jest, kiedy ktoś ni stąd, ni zowąd się materializuje) figurka o błękitnym zaroście znów się zjawiała w łazience.

— Bez żartów, co za dużo, to niezdrowo, po zabawie, karty na stół — warknęła zjawa. — Dawaj.

— Nie — odparł Harun.

— Przerzywacz — powiedział przybysz. — Oddaj, zwróć nadawcy, przekaz prawowitemu właścicielowi; rozstań się z nim, wyrzeknij, zrezygnuj.

Harun dopiero teraz zauważył, że narzędzie w jego dłoni niewiele więcej ma wspólnego z kluczem francuskim niż głowa sinobrodego z cebulą: innymi słowy, ogólnym kształtem przypominało klucz, miało jednak konsystencję raczej ciekłą

niż stała i składało się z tysięcy maleńkich żyłek, w których przelewały się płyny rozmaitych barw, a żyłki te spajała jakaś niesamowita, niewidzialna siła. Piękny był to widok.

— Nie dostaniesz go — stanowczo rzekł Harun — póki mi nie powiesz, co tu właściwie robisz. Jesteś włamywaczem? Mam zawołać gliniarzy?

— Nie wolno mi zdradzić celu mojej misji — odparł człowieczek nadąsanym tonem. — Sprawa ściśle tajna, specjalne zadanie, informacja poufna, a już na pewno nie do wiadomości przemądrzałych małolatów w czerwono-fioletowych koszulach nocnych, którzy potrafią gwizdnąć cudze i jeszcze zarzucać innym zło-dziejstwo.

— Doskonale — powiedział Harun. — Wobec tego pójdę obudzić ojca.

— Nie — ostro sprzeciwił się sinobrody. — Tylko bez dorosłych. Wbrew regu-laminowi, surowo wzbronione, mógłbym przez to stracić posadę. Oj, wiedziałem, że zapowiada się potworny dzień.

— Czekam — surowo rzekł Harun.

Niepozorny jegomość wyprężył się i zadarł głowę jak mógł najwyżej.

— Jestem Wodnym Dżinnem. Na imię mi Jesli — powiedział z urazą w głosie. — Przybywam z Oceanu Strug Opowieści.

Harunowi załomotało serce.

— Chcesz mi wmówić, że naprawdę jesteś jednym z tych Dżinnów, o których słyszałem od ojca? — spytał chłopiec.

— Woziwoda Opowieści z Wielkiego Morza Tychże — rzekł przybysz, skła-dając ukłon. — We własnej osobie; ten sam; nikt inny; jam ci jest. Niestety, z przykrością donoszę, że temu panu niepotrzebne już są moje usługi; zarzucił działalność gawędziarską, poddał mecz walkowerem, zwinął interes. Unieważnił abonament. Stąd moja wizyta. Cel: przerwanie dopływu. Proszę zatem zwrócić Narzędzie.

— Wolnego — odparł Harun, który dostał zawrotu głowy, i to nie tylko na wieść, że Wodne Dżinny naprawdę istnieją, a Wielkie Morze Opowieści wcale nie jest „taką sobie bajeczką”, lecz również z powodu odkrycia, że Raszid dał za wygraną, wycofał się, połknął język. — Nie wierzę ci — rzekł do Wodnego Dżinna imieniem Jesli. — W jaki sposób was zawiadomił, że rezygnuje? Byłem przy nim prawie przez bez przerwy.

— Zawiadomił nas tak jak zwykle — powiedział Jesli, wzruszając ramionami. — Za pomocą D/SZ(n)W.

— A co to takiego?

— Przecież to oczywiste — z niecnym uśmiechem odparł Wodny Dżinn — D/SZ(n)W to Działanie Przez Swą Zawiałość Niewytłumaczalne.

Widząc, jak chłopiec jest przejęty, dodał:

— W tym wypadku wykorzystuje się Promienie Myślowe. Łapiemy odpowiednie pasmo i robimy nasłuch myśli twojego ojca. Bardzo nowoczesne rozwiązanie.

— Nowoczesne czy nie — odparował Harun — tym razem źle trafiłeś, strzeliłeś byka, pomyliłeś adresy.

Złapawszy się na tym, że sam zaczyna mówić jak Wodny Dżinn, dla oprzytomnienia potrząsnął głową.

— Ojciec nie zrezygnował, jestem pewien — dodał. — Nie możesz mu odciąć dopływu Wody Opowieści.

— Takie mam rozkazy — stwierdził Jesli. — Z wszelkimi wątpliwościami należy się zwracać do Głównego Koordynatora.

— A co ten Główny Koordynator koordynuje? — spytał Harun.

— Działania Przez Swą Zawilłość Niewytłumaczalne, rzecz jasna. Gmach D/SZ(n)W, Miasto Gup, Kahani. Listy adresować do Suma.

— A kto to taki, ten Sum?

— Chyba nie słuchasz, co do ciebie mówię. W Gmachu D/SZ(n)W w Mieście Gup pracuje wiele zdolnych osób, ale Główny Koordynator jest tylko jeden. Tamci są Jajogłowcami, a on jest Sumem. Chwytasz, w czym rzecz? Zrozumiano?

Harun jakoś wchłonał wszystkie te informacje.

— A w jaki sposób listy tam docierają? — spytał. Wodny Dżinn zachichotał z cicha.

— W ogóle nie docierają — odparł. — Teraz widzisz, jak świetnie to wszystko urządzono.

— Właśnie, że nie widzę — wypalił Harun. — A zresztą nawet jeżeli zakręcisz ten swój kurek z Wodą Opowieści, ojciec i tak będzie umiał dalej opowiadać różne historie.

— Każdy umie opowiadać jakieś historie — powiedział Jesli. — Umieją to na przykład kłamcy, oszuści i szwindlarze. Ale żeby opowiedzieć historię zawierającą tę Szczególną Domieszkę... Ooo, do tego nawet najlepszym gawędziarzom potrzebna jest Woda Opowieści. Bo one wymagają paliwa, dokładnie tak jak samochód; a kto nie ma dostępu do Wody, temu po prostu brak Pary.

— Nic a nic ci nie wierzę — upierał się Harun. — Niby dlaczego miałbym wierzyć, skoro nie widzę w tej łazience żadnych cudów, tylko najzwyklejszą w świecie wannę, sedes, umywalkę i zupełnie zwyczajne krany z napisami „zimna” i „gorąca”?

— Pomacaj tutaj — powiedział Wodny Dżinn, wskazując puste miejsce znajdujące się o piętnaście centymetrów nad umywalką. — Weź Przerzywacz i popukaj, chociaż ci się zdaje, że niczego tu nie ma.

Chłopiec kazał Wodnemu Dżinnowi cofnąć się o spory krok i wykonał polecenie — ale zrobił to nieufnie, bo wietrzył podstęp. Rozległo się wyraźne

„Dzyńńń!”, kiedy Przerzywacz uderzył w jakiś przedmiot nadzwyczaj namacalny i nadzwyczaj niewidzialny.

— Tam dmucha! — zawołał Wodny Dżinn, szeroko się uśmiechając. — Kran Opowieści: *voila*.

— Wciąż nie rozumiem — powiedział Harun, marszcząc czoło. — Gdzie jest ten twój Ocean? I jakim sposobem Woda Opowieści napływa do niewidzialnego Kranu? Jak działa ta wasza hydraulika? — Widząc niecny błysk w oku Jesliego sam odpowiedział na własne pytanie, wzdychając z rezygnacją:

— Wiem, wiem. Dzięki Działaniom Przez Swą Zawziętość Niewytłumaczalnym.

— Strzał w dziesiątkę — odparł Wodny Dżinn. — Za pierwszym podejściem, bez pudła, w samo sedno.

W tym momencie Harun Khalifa podjął decyzję, która miała się okazać najbardziej doniosłym postanowieniem w jego życiu.

— Słuchaj, Jesli — rzekł uprzejmie, lecz stanowczo. — Musisz mnie zabrać do Miasta Gup i skontaktować z Sumem, żebym mógł odkręcić to głupie nieporozumienie w związku z przydziałem Wody Opowieści dla mojego ojca, nim będzie za późno.

Jesli pokręcił głową i rozłożył ręce.

— Wykluczone — powiedział. — Nie da rady, za żadne pieniądze, marzenie ściętej głowy. Miasto Gup leży na Księżycu Kahani, nad brzegiem Oceanu Strug Opowieści, a wstęp do niego jest ściśle ograniczony, najsurowiej wzbroniony, w stu procentach zakazany. Zakaz ten nie dotyczy tylko etatowych pracowników, na przykład mnie. Ale ty? Nie masz szans, choćbyś czekał milion lat; wykluczone, koleżko.

— W takim razie — ze słodyczą w głosie odparł Harun — wrócisz bez tego urzędnika — (tu chłopiec pomachał sinobrodemu przed oczami Przerzywaczem) — i sam zobaczysz, czy Tamci będą zachwyceni.

Nastąpiła długa chwila ciszy.

— Dobra — rzekł wreszcie Wodny Dżinn. — Przyparłeś mnie do muru. Umowa stoi. Zrywamy się, dajemy nogę, w długą. Innymi słowy: skoro mamy ruszać, to ruszajmy. Harunowi dusza uciekła w piętę.

— Tak od razu? — wyjąkał.

— Od razu — przytaknął Jesli. Harun zrobił powolny, głęboki wdech.

— Dobra — powiedział. — Jak już, to już.

Rozdział 4.

Jesli i Alle

— No, to wybierz sobie ptaka — polecił Wodny Dżinn. — Jakiego tylko chcesz.

Zabrzmiało to zagadkowo.

— Nie ma tu przecież żadnych ptaków prócz drewnianego pawia — całkiem roztropnie zauważył Harun. Jesli prychnął z niechęcią.

— To, czego się nie widzi, też można wybrać — rzekł takim tonem, jakby wyjaśniał bardzo głupiemu osobnikowi rzecz najzupełniej oczywistą. — Można wymienić nazwę ptaka, nawet jeśli dany stwór ani nie jest przy tym obecny, ani całkiem standardowy: niech to będzie wrona, przepiórka, koliber, bulbul, majna, papuga, kania. Można nawet wybrać latające stworzenie własnego wymysłu, na przykład skrzydlatego konia, latającego żółwia, fruwającego wieloryba, lotnego węża, aerodynamysz. Nadać istocie miano, przydomek, ksywkę, uratować ją przed anonimowością, wyrwać z Przestrzeni Bezimienności, krótko mówiąc, ustalić jej tożsamość. . . no cóż, to poniekąd to samo, co stworzyć rzeczoną istotę, a w tym wypadku rzeczony ptaka lub Urojony Organizm Latający.

— Tam, skąd pochodzisz, może tak i jest — upierał się Harun. — Ale w tych stronach obowiązują ściślejsze reguły.

— W tych stronach — odparował sinobrody Jesli — marnuję czas przez Złodzieja, który mi ukradł Przerzywacz, a nie dowierza niczemu, czego nie widzi. Ile ty właściwie zdążyłeś w życiu zobaczyć? Co, Złodziejaszku? Widziałeś może Afrykę? Nie? No, to czy ona naprawdę istnieje? A łodzie podwodne? Hę? Grad, piłki do baseballa, pagody? Kopalnie złota? Kangury, Fudzijamę, biegun północny? A czy jesteś pewien, że wszystkie wydarzenia z przeszłości rzeczywiście miały miejsce? I że nadejdzie w ogóle jakaś przyszłość? Kto wierzy własnym oczom, wpadnie w niezłe tarapaty i będzie miał się z pyszna jak śliwka w kompocie.

To powiedziawszy dżinn wepchnął rękę do kieszeni piżamy w kolorze bakłażanu; wyjął ją stamtąd zaciśniętą w pięść.

— No, rzuć sokolim okiem, zapuść żurawia między te okazy.

Wyprostował palce, a Harunowi o mało oczy nie wypadły z orbit.

Wodnemu Dżinnowi łąziły po ręce małeńkie ptaszki; nie tylko łąziły, ale dzio-
bały go, machały skrzydełkami i unosiły się tuż nad dłonią. Oprócz ptaków były
tam latające istoty z baśni rodem: asyryjski lew z głową brodatego mężczyzny
i parą wielkich włochatych skrzydeł wyrastających z boków, skrzydlate małpy,
latające talerze, małeńkie aniołki oraz lewitujące ryby (które widocznie oddycha-
ły suchym powietrzem).

— Wybieraj wedle uznania, wolna wola, jak ci serce dyktuje — nastawał Jesli.
Harunowi wydawało się wprawdzie rzeczą oczywistą, że magiczne stwory są za
małe, aby udźwignąć choćby odgryziony kawałek paznokcia, postanowił jednak
się nie sprzeciwić i wskazał palcem czubatego ptaszka, który patrzył nań z ukosa
byстрыm okiem.

— Czyli stanęło na Dudku — rzekł Wodny Dżinn takim tonem, jakby wybór
chłopca trochę mu zaimponował. — Być może wiesz, Złodzieju Przerzywacza, że
w dawnych legendach właśnie Dudek wśród wielu niebezpieczeństw prowadzi in-
ne ptaki do celu. No, no! Kto wie, młody Złodziejaszku, kim się w końcu okażesz.
Ale nie pora na domysły.

Dżinn pomknął do okna i cisnął małeńkiego Dudka w głęboką noc.

— Po co go wyrzuciłeś? — Harun syknął z cicha, nie chcąc budzić ojca. Jesli
niecznie się uśmiechnął.

— Ot, fanaberia — rzekł niewinnie. — Zachcianka, przelotny kaprys. Na pew-
no nie dlatego wyrzuciłem Dudka, że znam się na tych sprawach lepiej od ciebie.
Ależ skąd.

Harun pobiegł do okna i zobaczył, że Dudek pływa po Jeziorze Nudnym. Ptak
zdążył tymczasem urosnąć do rozmiarów dwuosobowego łóżka; Wodny Dżinn
i chłopiec z łatwością mogli się zmieścić na jego grzbiecie.

— A więc w drogę! — radośnie zawołał Jesli, zdaniem Haruna o wiele za
głośno; skoczył na parapet, stamtąd Dudkowi na grzbiet, a Harun — wciąż tylko
w czerwonej koszuli nocnej z fioletowymi łatami — ledwie się namyśliwszy, czy
to mądry postępek, poszedł za przykładem dżinna, ściskając w lewej ręce Prze-
rywacz. Gdy już się usadowił za plecami Jesliego, Dudek obejrzał się i obrzucił
chłopca spojrzeniem badawczym, ale (taką przynajmniej miał Harun nadzieję)
życzliwym.

Wystartowali i szybko wzbili się w niebo.

Pod wpływem siły odrzutu Harun zapadł się w wygodny dołek wśród gęstych
i cokolwiek włochatych piór na grzbiecie Dudka; pióra zdawały się otulać chłop-
ca, żeby go osłonić podczas długiego lotu. Minęło parę chwil, nim Harun przetra-
wił w pamięci tę masę niezwykłości, które się wydarzyły w tak krótkim czasie.

Już niebawem rozwinęli ogromną prędkość; Ziemię w dole i niebo w górze
widać było niewyraźnie jak na nieostrym filmie, Harun miał więc wrażenie, że
wcale nie lecą, tylko dryfują w tej nieprawdopodobnej zamazanej przestrzeni.
„Kiedy Pocztylion Alle pędził po górach M swoją Karetką Poczтовую, tak samo

mi się zdawało, że dryfuję — przypomniał sobie. — Jak się nad tym chwilę zastanowić, to pióropusz Dudka trochę przypomina nastroszoną czuprynę starego Allego! O ile zaś Alle miał wąsy odrobinę pierzaste, pióra Dudka — a zauważyłem to zaraz po starcie — są wyraźnie włochate”.

Gdy znów zwiększyli tempo, Harun krzyknął Jesliemu do ucha:

— Żaden ptak tak szybko nie lata. Czy to jakaś maszyna?

Dudek uważnie mu się przyjrzał błyszczącym okiem.

— Masz może coś przeciw maszynom? — spytał tubalnym głosem, kubek w kubek takim samym jak głos Pocztyliona. I natychmiast dodał:

— Ale ale ale powierzyłeś mi przecież własne życie. Czy więc nie należy mi się odrobina szacunku? Maszyny też mają poczucie godności. . . nie musi panicz zaraz robić takiej głupiej miny. Nie moja wina, że się z kimś paniczowi kojarzę; przynajmniej ten ktoś jako szofer ma upodobanie do dobrych, szybkich maszyn.

— Czytasz w moich myślach — rzekł Harun z lekkim wyrzutem, bo mu się zrobiło trochę nieprzyjemnie, kiedy stwierdził, że mechaniczny ptak dobrał się przez podsłuch do jego prywatnych rozważań.

— Ale ale ale oczywiście — przytaknął Dudek. — Porozumiewam się z tobą telepatycznie, między innymi dlatego, że, jak widzisz, nie ruszam dziobem. Ze względów aerodynamicznych musi on trwać w stałym położeniu.

— A jak ci się to udaje? — spytał Harun; nieunikniona odpowiedź nadeszła szybko jak nagła myśl:

— Dzięki D/SZ(n)W, czyli Działaniom Przez Swą Zawzięłość Niewytłumaczalnym.

— Poddaję się — oświadczył Harun. — A tak w ogóle, to masz jakieś imię?

— Jakie tylko zechcesz — odrzekł ptak. — Z oczywistych powodów proponuję, żebyś mi mówił „Alle”. Zgodna?

I tak to Harun Khalifa, syn bazarza, wlatywał coraz wyżej w nocne niebo, siedząc na grzbiecie Dudka imieniem Alle, z Wodnym Dżinnem znanym jako Jesli w roli przewodnika. Wzeszło słońce, a po pewnym czasie Harun dostrzegł w oddali jakiś kształt — ciało niebieskie wielkości sporej asteroidy.

— To Kahani, drugi księżyc Ziemi — nie ruszając dziobem oznajmił Dudek Alle.

— Ale ale ale — zająknął się Harun (ku niemałemu rozbawieniu Dudka) — przecież Ziemia ma tylko jeden księżyc? Jakże to możliwe, że do tej pory nie odkryto drugiego?

— Ale ale ale z powodu Szybkości — odparł Dudek Alle. — Z powodu Szybkości, tej Najbardziej Nieodzownej Właściwości! W każdej Nagłej Potrzebie (czy będzie to pożar, kraksa drogowa czy oceaniczna) co przede wszystkim jest niezbędne? Oczywiście Szybkość: wozu strażackiego, karetki, statku ratowniczego. A co cenimy u każdego mózgowca? Czyż nie bystry umysł, czyli Szybkość Myślenia? Także i w sporcie Szybkość (nóg, rąk, oka) jest Sprawą Zasadniczą! A jeśli

ludzie sami nie potrafią czegoś zrobić dość szybko, budują maszyny, żeby zrobiły to prędzej. Szybkość, Szybkość Nad Szybkościami! Gdyby nie Szybkość Światła, wszechświat trwałby w chłodzie i mroku. Ale choć Szybkość niesie z sobą światło, które wszystko wydobywa na jaw, przydaje się też ona do ukrywania tego i owego. Otóż Kahani porusza się tak błyskawicznie, że (dziw nad dziwy!) żaden ziemski przyrząd pomiarowy nie może go wykryć; poza tym jego orbita przesuwana się o jeden stopień na każde okrążenie, więc po trzystu sześćdziesięciu okrążeniach nie ma takiego punktu na powierzchni Ziemi, nad którym by ten księżyc nie przeleciał. Dzięki Zmienności Zachowań maleje Wykrywalność. A swoją drogą za ciągłą zmianą orbity przemawiają ważne powody: cała planeta musi być równomiernie zaopatrywana w Wodę Opowieści. Bum! Brrrrrummm! Jest to możliwe tylko przy Wielkiej Szybkości krążenia. Czy teraz już doceniasz ukryte zalety Maszyn?

— Chcesz powiedzieć, że cały księżyc Kahani ma napęd mechaniczny? — spytał Harun, lecz Alle już się zajął praktyczną stroną wyprawy.

— Księżyc na kursie — zameldował. — Szybkość względna zsynchronizowana. Podchodzimy do wodowania: trzydzieści, dwadzieścia dziewięć, dwadzieścia osiem. . .

Ku podróżnikom mknął roziskrzony bezmiar wód. Jak okiem sięgnąć, powierzchnia księżycy Kahani miała konsystencję cieczy. Cóż to była za woda! Mieniła się wszelkimi kolorami, orgią barw, jakich Harun nie umiałby sobie nawet wyobrazić. Ocean był ciepły: chłopiec wyraźnie widział unoszącą się parę, która migotała w słońcu. Zapało mu dech.

— Ocean Strug Opowieści — oznajmił Wodny Dżinn imieniem Jesli, dumnie jeżąc błękitne wąsy. — I co? Warto było odbyć taką daleką i szybką podróż, żeby go zobaczyć?

— Trzy — nie poruszając dziobem mówił Dudek Alle. — Dwa, jeden, zero.

* * *

Woda, wszędzie woda; ani śladu stałego gruntu. . .

— Szwindel! — zawołał Harun. — Nie ma tu żadnego miasta Gup, chyba że się mylę, i to grubo. A skoro tak, to nie ma i Gmachu D/SZ(n)W, nie ma Suma i w ogóle nie warto było tu przyjeżdżać.

— Wolnego — odparł Wodny Dżinn. — Spoko, nie panikuj, nie pali się. Akurat jest odpowiednia chwila, żeby ci wszystko wytłumaczyć, i jeśli tylko pozwolisz, zaraz to zrobię.

— Ależ myśmy zalecieli Donikąd! — upierał się Harun. — Co ja tu mam twoim zdaniem do roboty?

— Ściśle mówiąc, zalecieliśmy na Daleką Północ księżycy Kahani — powiedział Wodny Dżinn. — Mamy tu szansę pójść na skróty, uniknąć biurokracji, przewracania papierków. Nie ukrywam, że możemy też rozwiązać nasz problemik nie zawiadamiając gupicznych władz o moim drobnym potknięciu... o tym, że straciłem Przerywacz, przez co uległem szantażowi ze strony Osobnika, Który Mi Go Zwędził. Przybyliśmy tu w poszukiwaniu Wody Życzeń.

— Spróbuj znaleźć na powierzchni Oceanu miejsca promieniujące szczególną światłością — wtrącił Dudek Alle. — To Woda Życzeń. Jeśli zrobisz z niej właściwy użytek, spełnią się twoje pragnienia.

— Czyli osobistości z Gup wcale nie muszą się do tego mieszać — ciągnął Jesli. — Kiedy spełni się twoje Życzenie, oddasz mi Przyrząd, wrócisz do łóżeczka i koniec baśni. Zgoda?

— No, niech ci będzie — zgodził się Harun, acz z powątpiewaniem, a trzeba przyznać, że i z lekkim żalem, bo miał wielką ochotę zobaczyć Miasto Gup i dowiedzieć się czegoś więcej o tajemniczych Działaniach Przez Swą Zawilłość Niewytłumaczalnych.

— Dobry zawodnik! — wykrzyknął Jesli z wielką ulgą.

— Równy gość, kryształ wśród ludzi, dusza towarzystwa... No i proszę, oto Woda Życzeń. Ahoj!

Alle ostrożnie powiosłował w stronę jaśniejszej plamy, którą wskazywał ogromnie przejęty Jesli, i zatrzymał się na jej skraju. Od Wody Życzeń biło tak olśniewające światło, że Harun musiał odwrócić wzrok. Wodny Dżinn sięgnął do wewnętrznej kieszeni kamizelki haftowanej złotem i wyciągnął kryształowy flakonik ze złotą zakrętką. Szybko ją zdjął i zanurzył buteleczkę w lśniącej wodzie (której blask był także złocisty); zatkał naczynko i ostrożnie podał je Harunowi.

— Na miejsca, gotowi, raz kozie śmierć — powiedział. — Już ci mówię, co masz robić.

Otóż sekret Wody Życzeń polegał na tym, że im żarliwsze było życzenie, tym łatwiej się spełniało.

— Czyli wszystko zależy od ciebie — rzekł Jesli. — Nie zbijaj bąków, zakasz rękawy, weź się serio do roboty, to i Woda Życzeń serio cię potraktuje. Bęc! Spełni się twoje najskrytsze pragnienie.

Chłopiec siedział okrakiem na grzbiecie Dudka Allego i wpatrywał się w buteleczkę, którą trzymał w ręku. Jeden jedyny łyżeczek, a ojciec dzięki Harunowi odzyska gawędziarską Swadę.

— Do dna! — krzyknął mężnie, zdjął zakrętkę i pociągnął tęgi haust.

Złocisty blask zewsząd go otoczył, a zarazem wypełnił; wszystko zastygło w bezruchu, jakby cały kosmos czekał na rozkazy Haruna. Chłopiec zaczął się koncentrować...

Zupełnie mu to nie wychodziło. Ilekroć próbował się skupić na utraconych przez ojca gawędziarskich mocach i unieważnionym talonie na Wodę Opowieści,

pojawiała się twarz matki, żądając dla siebie wyłącznej uwagi, i Harun pragnął już tylko jej powrotu i tego, żeby wszystko było jak dawniej... wtedy jednak znów ukazywał się ojciec i zaczynał błagać: *zrób to dla mnie, chłopcze, załatw mi tylko ten jeden drobiazg*; potem matka brała górę i Harun sam już nie wiedział, co o tym wszystkim sądzić, czego sobie życzyć... Wtem rozległ się straszliwy brzęk, jakby zerwano naraz tysiiąc i jedną strunę skrzypiec: zgasł złocisty blask, a Harun ocknął się i stwierdził, że wraz z Jeslim i Allem unosi się na falach Morza Opowieści.

— Jedenaście minut — z pogardą rzekł Wodny Dżinn. — Raptem na jedenaście minut potrafi toto się skupić, a potem szlag trafia całą koncentrację. Ka-trach! Ka-łubu-du! Ka-putt!

Harun zwiesił głowę, okropnie zawstydzony.

— Ależ ależ ależ Jesli, jak możesz — powiedział Dudek Alle nie poruszając dziobem. — Dobrze wiesz, że z życzeniami wcale nie idzie tak łatwo. Po prostu, mości Wodny Dżumie, denerwujesz się, że z powodu twojej własnej pomyłki będziemy musieli jednak się udać do Miasta Gup, a tam już ci zmyją głowę i natrą uszu. I dlatego odgrywasz się na chłopcu. Przestań! Przestań, bo się rozgniewam!

(„Zaiste uczuciowa maszyna, wręcz porywca” — pomyślał Harun, choć tak był zasmucony. Maszyny uchodziły za twory nad wyraz racjonalne, ale ten akurat ptak ulegał autentycznym namiętnościom).

Jesli spojrzął na Haruna, któremu twarz oblał rumieniec upokorzenia, i trochę złagodniał.

— Lecimy do Miasta Gup — zgodził się. — Chyba że wolisz oddać Przerywacz i odwołać całą imprezę?

Harun pokręcił głową. Miał okropnie nieszczęśliwą minę.

— Ale ale ale ty się dalej wyżywasz na chłopcu — skarcił dżinna rozsierdzony Dudek Alle nie poruszając dziobem. — Żądam natychmiastowej zmiany taktyki! Proszę niezwłocznie podjąć czynności pocieszycielskie! Niech sobie chłopczyna pociągnie haust jakiejś pogodnej historyjki.

— Nie chcę już pić — rzekł Harun słabym głosem. — W czym mam się znowu zbłąźnić?

* * *

Wodny Dżinn imieniem Jesli wytłumaczył Harunowi, czym właściwie jest Ocean Strug Opowieści, a choć chłopiec czuł się zupełnie przegrany i nie miał już żadnej nadziei, czar Oceanu zaczął na niego działać. Spojrzawszy w toń Harun spostrzegł, że składa się ona z tysiāca tysiācy tysiācy i jednego nurtu, a każdy nurt ma inny kolor; prądy spletały się w płynny arras o tak zawiłym wzorze, że na jego widok aż dech zapierało; były to właśnie, jak powiedział Jesli, Strugi Opowieści: każda oznaczała, a zarazem zawierała jakąś fabułę. W rozmaitych

częściach Oceanu wirowały różne opowiastki — wszystkie historie, jakie kiedykolwiek opowiedziano, i wiele jeszcze nie do końca wymyślonych. Był on więc po prostu największą biblioteką wszechświata. Wątki przechowywane w stanie ciekłym nie traciły zdolności przeobrażania się, przeistaczania w nowe wersje, łączenia z innymi opowieściami, toteż wciąż powstawały całkiem nowe historie; Ocean w przeciwieństwie do zwykłego księgozbioru nie był więc jedynie przechowalnią fabuł. Nie trwał w martwocie, lecz żył.

— Osoba bardzo ostrożna albo nadzwyczaj zręczna może zanurzyć w Oceanie kubek — rzekł Jesli. — O, tak właśnie!

Dżinn wyjął z kolejnej kieszonki w kamizelce złoty kubeczek.

— Może nabrać nim wody — ciągnął — z jednej jedynej, a więc czystej Strugi Opowieści. . . — (co też wykonał) — . . . i poczęstować zgwałconego młodzieńca, żeby czar opowiedzianej historii podniósł biedaka na duchu. No, dalejże; nie wylewaj za kołnierz, gołnij sobie a nie żałuj — zakończył Jesli swą przemowę. — Zaraz się pierwszorzędnie poczujesz, masz to jak w banku.

Harun bez słowa przyjął złoty kubek i wypił.

* * *

Znalazł się wśród krajobrazu, który przypominał olbrzymią szachownicę. Na każdym z czarnych kwadratów stał jakiś potwór: były tam dwujęzyczne węże, lwy szczerzące potrójne rzędy kłów, czterogłowe psy, pięciogłowi królowie demonów i tym podobne istoty. Harun, rzecz by można, widział wszystko oczami młodego bohatera opowieści — trochę tak, jakby siedział w aucie obok kierowcy; nie musiał nic robić, tylko się przyglądał, a tymczasem bohater kolejno rozprawiał się z potworami i sunął po szachownicy w stronę białej wieży stojącej na samym skraju. U szczytu wieży było jedno jedyne okno (jakże by inaczej), z którego wyglądała uwięziona księżniczka (któż by inny). Harun, nic o tym nie wiedząc, odgrywał Historię Księżniczki Wyratowanej Numer S/1001/ZHT/420/41(r)xi; ponieważ księżniczka w tej akurat wersji niedawno obcięła włosy i nie mogła spuścić z okna na sam dół bujnych splotów (w przeciwieństwie do Księżniczki Wyratowanej Numer G/1001/RIM/777/M(w)i, bardziej znanej jako Rapunzel), Harun w roli bohatera miał za zadanie wspiać się po murze, wczepiając się palcami rąk i nóg w szczeliny między kamieniami.

W połowie wysokości zauważył, że jedna jego dłoń porasta sierścią i nabiera nieludzkich kształtów. Po chwili całe ręce tak mu nabrzmiały, że koszula popękała w szwach, i także porosły sierścią, zarazem nieprawdopodobnie się wydłużając; w dodatku stawy wypadały wcale nie tam, gdzie powinny. Spojrzawszy w dół chłopiec stwierdził, że dokładnie to samo dzieje się z jego nogami. Kiedy z boków zaczęły mu wyrastać dodatkowe kończyny, zrozumiał, że nie wie, czemu

zmienia się w takiego samego potwora jak te, które dopiero co pozabijał; księżniczka w oknie chwyciła się za krtań i zawołała słabym głosem:

— O miły mój, w wielkiegoś się przedzierzgnął pajaka!

Harun jako pająk błyskawicznie wspiął się na szczyt wieży, lecz gdy się znalazł na wysokości okna, księżniczka dobyła skądś kuchenny nóż i nuż ciąć go i rąbać po mackach, wykrzykując do taktu:

— Wynocha, pajaku! Wracaj, skądś przyszedł!

Chłopiec coraz słabiej trzymał się muru, a gdy księżniczka całkiem mu odraubała najwyżej wyciągniętą mackę, runął w dół.

* * *

— Zbudź się, ocknij! No, żywo! — wykrzykiwał Jesli, mocno zaniepokojony. Harun otworzył oczy. Zobaczył, że leży jak długi na grzbiecie Dudka Allego. Obok siedział Jesli, ogromnie przejęty, a i rozczarowany niepomiarowo, bo chłopiec ani na chwilę nie rozluźnił palców, w których ścisnął Przerywacz.

— Co się stało? — spytał Jesli. — Zgaduję, że wyratowałeś księżniczkę, a potem zgodnie z instrukcją pokazałeś jej plecy na tle zachodu słońca? Ale skoro tak, to skąd te jęki i stęki? Czemu tak się kręciłeś i wierciłeś? Czyżbyś nie lubił Historii o Ratowaniu Księżniczek?

Kiedy Harun opowiedział, co go spotkało, Jesli i Alle zrobili bardzo poważne miny.

— W pale się nie mieści — rzekł po chwili Wodny Dżinn. — Pierwsze słyszę, przypadek bez precedensu, nigdy jak żyję.

— Właściwie miło mi to słyszeć — odparł Harun — bo już myślałem, że jeśli chcieliście mnie rozweselić, to nie najlepszy wybraliście sposób.

— Zanieczyszczenie środowiska — z powagą oświadczył Jesli. — Nie rozumiesz? Ktoś albo coś paskudzi do Oceanu. No a zapaskudzone historyjki oczywiście się psują... Dudku, za długo byłem w trasie. Skoro aż tu, na Dalekiej Północy, są ślady zanieczyszczeń, to sytuacja w Mieście Gup musi być krytyczna. Szybko, szybko! Cała naprzód! Kto wie, czy nie wybuchła tymczasem wojna.

— Wojna? A z kim? — zaciekawił się Harun.

Jesli i Alle wzdrygnęli się, wyraźnie zatrwożeni.

— Z Krainą Chup, z Ciemną Stroną Kahani — odparł Dudek Alle nie poruszając dziobem. — Wygląda mi to na robotę władcy Chupwałów, który jest zarazem Herezjarchą Sekty Bezabana.

— A kto to taki? — dopytywał Harun. Zaczynał żałować, że nie został w swoim łóżku, zamiast się wdawać w intrygi z Wodnymi Dżinnami, Przerywaczami, gadającymi Dudkami o napędzie mechanicznym i podniebnymi oceanami opowieści.

— Jego imię — szepnął Wodny Dżinn, a gdy wymawiał te słowa, niebo na chwilę pociemniało — brzmi Khattam-Shud.

Hen, na horyzoncie zamigotała rozcapierzona błyskawica. Harun poczuł, że krew stygnie mu w żyłach.

Rozdział 5.

O Gupcach i Chupwalach

Harun wciąż pamiętał, co jego ojciec mówił o Khattam-Shudzie. „Za dużo dziwaczych pomysłów ostatnio się potwierdza” — przemknęła mu myśl. Na co Dudek Alle z miejsca odpowiedział nie ruszając dziobem:

— A cóż by to był za Baśniodajny Księżyc, gdyby się na nim nie roiło od dziwów z baśni, tak jak na naszym Kahanim?

Harun chcąc nie chcąc musiał przyznać, że to rozsądna uwaga.

Pędzili na południe, ku Miastu Gup. Dudek wołał tym razem trzymać się powierzchni wody; sunął po niej jak motorówka, rozbryzgując Strugi na wszystkie strony.

— A czy opowieści się od tego nie mącą? — spytał Harun. — Przez to całe bełtanie na pewno robi się w nich okropny bałagan.

— Żaden problem! — zawołał Dudek Alle. — Każda porządna opowieść bez szkody zniesie małe bicie piany! Brrrrummmmm!

Porzucając ten jałowy temat Harun poruszył ważniejszą sprawę.

— Powiedz mi coś więcej o Khattam-Shudzie — poprosił. Ku jego najwyższemu zdumieniu Jeśli odpowiedział na to pytanie prawie słowo w słowo tak samo jak Raszid Khalifa:

— To Wróg Numer Jeden wszelkich Opowieści i w ogóle Języka. Książę Milczenia i Nienawistnik Mowy. Przynajmniej — tu Wodny Dżinn porzucił ten nieco zbyt patetyczny ton — tak fama głosi. Co się tyczy Krainy Chup i jej mieszkańców, zwanych Chupwalami, musimy głównie poprzestać na plotkach i pogłoskach, bo już od kilku pokoleń nikt z nas nie przekroczył Pasma Zmierzchu i nie zapuścił się w Wiekiustą Noc.

— Wybacz — wtrącił Harun — ale w sprawach tutejszej geografii będę potrzebował paru wyjaśnień.

— Hmmm — sapnął Dudek Alle. — Widzę, że kiepsko u ciebie z wykształceniem.

— Zupełny brak logiki — odparował chłopiec. — Przecież sam się przechwalałeś, że dzięki Szybkości z Ziemi nie widać księżycy Kahani. Nie możesz więc

wymagać, żebyśmy znali jego topografię, główne bogactwa naturalne i tym podobne szczegóły.

Lecz w oku Allego migotały jakieś dziwne błyski. Harun pomyślał, że z maszynami doprawdy trudno się rozmawia. Z ich niewzruszonych min nie sposób wyczytać, kiedy mówią serio, a kiedy kpią.

— Dzięki geniuszowi Jajogłowców z Gmachu D/SZ(n)W — zaczął Alle, zlitowawszy się nad Harunem — udało się zapanować nad obrotami księżycy Kahani. Skutkiem tego Kraina Gup trwa skąpana w Wiecznym Słońcu, a w Państwie Chup zawsze jest środek nocy. Te dwie strefy dzieli Pasma Zmierzchu. Na rozkaz Głównego Koordynatora Gupcy dawno temu zbudowali w nim nienaruszalną (i niewidzialną) Ścianę Mocy. Nazwano ją Ścianą Gadasa, a to na cześć naszego Króla, który oczywiście w żaden sposób nie przyłożył ręki do jej budowy.

— Moment — powiedział Harun, marszcząc brwi. — Skoro Kahani obiega Ziemię, to nawet jeśli krąży z nadzwyczajną prędkością, Ziemia musi go chwilami odgradzać od Słońca. Nie może więc być prawdą, że na jednej połowie księżycy wiecznie trwa dzień; znowu bajki opowiadasz.

— Jasne, że opowiadam bajki — zgodził się Dudek Alle. — Jeśli masz jakieś zastrzeżenia, zwróć się z nimi do Suma. A teraz wybacz, ale muszę patrzeć przed siebie. Ruch na szlaku straszliwie się zagęścił.

* * *

Harunowi cisnęło się na usta całe mnóstwo pytań. Czemu Chupwalowie żyją wśród Wiecznej Nocy? Tam, dokąd słońce nigdy nie zagląda, musi chyba być strasznie zimno? A skoro już o tym mowa, co to znaczy „Bezaban”, albo i „Herezjarcha”? Wyraźnie się czuło, że Miasto Gup jest coraz bliżej, bo na wodzie i na niebie przybywało mechanicznych ptaków, równie niezwykłych jak Dudek Alle: były to ptaki z głowami węży i pawimi ogonami, latające ryby i ptakopsy, czyli psaki. Dosiadali ich Wodni Dżinnowie o wąsach wszelkich możliwych kolorów, ubrani w pizamy bakłażanowego kroju, turbany i haftowane kamizelki, a wszyscy kubek w kubek podobni do Jesliego. „Całe szczęście, że każdy ma wąsy w innym kolorze, bo inaczej nie dałoby się ich odróżnić” — pomyślał Harun.

— Musiało się stać coś bardzo ważnego — zauważył Jesli.

— Wszystkie jednostki wezwano z powrotem do bazy. Gdybym nie stracił swojego Przerzywacza — dodał ostrym tonem — do mnie też by dotarł ten rozkaz, bo Przerzywacz ma wbudowany w rączkę wysoce nowoczesny nadbiornik. Ale tego oczywiście nie wie żaden Złodziejaszek.

— Na szczęście — równie ostro odparł Harun — dzięki temu, że mnie prawie otruleś tą zaświńtuszoną bajdą, sam się połapałeś, jak sprawy się mają. Czyli w sumie nikomu nic się nie stało. Najwyżej mnie.

Jesli nie odpowiedział. Harun też szybko zajął się czym innym, zauważył bowiem, że równo z nimi pomyka po wodzie coś w rodzaju sporej kępy osobliwie gęstego i zdrowego zielska albo warzyw; kępa ta bez widocznego wysiłku dotrzymywała tempa Dudkowi Allemu i nader niepokojąco wymachiwała w powietrzu roślinnymi wiciami, które przypominały pędy fasoli. W samym środku tej ruchomej grządki tkwił pojedynczy kwiat bzu o grubych, mięsistych płatkach. Harun nigdy w życiu nie widział podobnego kwiatu.

— Co to takiego? — spytał, wskazując kępę palcem, chociaż wiedział, że to niegrzecznie.

— Pływający Ogrodnik, rzecz jasna — nie poruszając dziobem odparł Dudek Alle. Brzmiało to jak kompletna bzdura.

— Chciałeś powiedzieć: Pływający Ogród — poprawił Harun ptaka, który w odpowiedzi lekko prychnął.

— Co ty tam wiesz! — sarknął. W tejże chwili szybkobieżna uprawa dosłownie stanęła dęba, wynurzając się w wody, i zaczęła się zasupływać i wykręcać na wszystkie strony, aż w końcu przybrała postać mniej więcej ludzką; kwiat koloru bzu ulokował się w domniemanej „głowie” na miejscu ust, a z pęku łodyg powstało coś na kształt wiejskiego kapelusza. „A więc to naprawdę Pływający Ogrodnik” — pomyślał Harun.

Pływający Ogrodnik pomykał lekkim krokiem po powierzchni wody i wcale nie tonął.

— Jakże miałyby tonąć? — wtrącił Dudek Alle. — Czyż nie byłby wtedy Tonącym Ogrodnikiem? Przecież widzisz, że się unosi na wodzie; biegnie, kroczy, kica. Żaden problem.

Jesli krzyknął coś do Ogrodnika, który natychmiast skinął głową na powitanie.

— Jest z wami jakiś obcy. Bardzo dziwne. Ale cóż. Wasza sprawa — rzekł. Mówił głosem miękkim jak kwiat (zamiast warg miał przecież płatki bzu), ale był trochę szorstki w obejściu.

— Zdawało mi się, że wszyscy Gupcy to gaduły — szepnął Harun do Jesliego. — Tymczasem Ogrodnik jest raczej małomówny.

— Właśnie że gadatliwy — odparł Jesli. — Przynajmniej jak na Ogrodnika.

— Moje uszanowanie — zawołał Harun, sądząc, że skoro jest w tych stronach obcy, pierwszy powinien się przedstawić.

— Coś ty za jeden? — spytał Ogrodnik z właściwą sobie łagodną szorstkością, nie zwalniając ani nie przyspieszając kroku. Chłopiec powiedział, jak ma na imię, a tamten znów krótko skinął głową.

— Mali — rzekł. — Pływający Ogrodnik Pierwszej Klasy.

— Zechce mi pan powiedzieć — jak najuprzejmiej poprosił Harun — czym się zajmuje Pływający Ogrodnik?

— Stałą pielęgnacją — odparł Mali. — Rozsupływaniem poplątanych Strug Opowieści. Prostowaniem, jeśli się zapętła. Pieleniem. Krótko mówiąc, Ogrodnictwem.

— Wyobraź sobie, że Ocean to bujna czupryna — wtrącił Dudek Alle, chcąc, żeby chłopiec łatwiej zrozumiał. — Pomyśl, że zawiera on tyle różnych Strug Opowieści, ile gęsta grzywa ma w sobie miękkich, powiewnych pasemek. Im dłuższe i gęściejsze włosy, tym łatwiej się zasupłują i plączą. Powiedzmy, że Pływający Ogrodnicy to fryzjerzy Morza Opowieści. Szczotkują, czyszczą, myją, robią trwałą. Teraz już wiesz.

— Jakie to zanieczyszczenie? — spytał Jesli Ogrodnika. — Kiedy się pojawiło? Czy jest groźne?

Mali kolejno odpowiedział na te pytania:

— Zabójcze. Natura dotąd nie ustalona. Rozprzestrzenia się od niedawna, ale błyskawicznie. Groźne? Nawet bardzo. Pewne gatunki opowieści latami będą się oczyszczać.

— Jakie gatunki? — wyrwało się Harunowi.

— Niektóre popularne romanse zamieniły się w długie listy sprawunków. Tak samo bajki dla dzieci. Wybuchła na przykład epidemia anegdot o gadających helikopterach.

Mali zamilkł. Wszyscy razem pędzili do Miasta Gup. Po kilku minutach Harun znów usłyszał nieznanne głosy, przemawiające jak gdyby chórem — wiele głosów naraz, idealnie zgranych; słyhać w nich było bulgot piany i bąbelków powietrza. Po jakimś czasie chłopiec domyślił się, że dźwięki te rozlegają się pod powierzchnią Oceanu. Spojrzał w wodę i zobaczył dwa straszliwe potwory: płynęły łeb w łeb z rozpędzonym Dudkiem, tak blisko powierzchni, że prawie ślizgały się na bryzgach fal, które Alle wzniecał swym pędem.

Ich kształt zbliżony do trójkąta i opalizujące barwy podpowiedziały Harunowi, że należą one do którejś odmiany Rajskich Ryb, choć dorównywały rozmiarami największym rekinom, a każda miała dosłownie dziesiątki otworów gębowych rozmieszczonych po całym ciele. Paszcze te bez przerwy pracowały: wysały Strugi Opowieści i wydmuchiwaly je z powrotem, a przerywały to zajęcie jedynie po to, żeby czasem coś powiedzieć. W takich razach, jak zauważył Harun, każda paszcza przemawiała własnym głosem, ale wszystkie tworzyły idealnie zgrany chór.

— Prędeż! Prędeż! Chore Morze! — zabulgotała jedna ryba.

— Trzeba leczyć! Ratuj, kto może! — dodała druga. Dudek Alle również i tym razem był łaskaw oświecić Haruna.

— To Ryby Mnuste — powiedział. — Zawdzięczają tę nazwę szczegółowi, który niewątpliwie zaobserwowałeś, mianowicie temu, że mają mnóstwo ust, czyli paszcz.

„Czyli Dęty Lecz mówił prawdę — z najwyższym zdumieniem pomyślał Harun — że w morzu jest "mnusto" ryb; a ja rzeczywiście daleko zawędrowałem, zgodnie z przepowiednią ojca, i w dodatku się przekonałem, że Ryba Mnusta może też być Rajska”.

— Mnuste zawsze pływają parami — dodał Alle nie poruszając dziobem. — Przez całe życie dochowują wierności partnerom. A żeby pokazać, jak idealny jest ich związek, mówią zawsze do rymu, nigdy inaczej.

Ta akurat para Mnustych zdaniem Haruna wyglądała nie całkiem zdrowo. Oczy miały zaognione, a z licznych paszcz raz po raz wydobywały się bryzgi śliny i kaszel.

— Niezbyt się na tym znam — zawołał chłopiec — ale czy wy się aby dobrze czujecie?

Wnet zabrzmiały odpowiedzi, przerywane bulgotliwym kaszlem:

— Pełno paskudztw w wodzie morskiej!

— Męczy nas kaszel, męczą nas torsje!

— Na imię mi Bagha, a on jest Goopy!

— Że Ocean chory, widzi każdy głupi!

— Oczy nam łzawią! Dostałyśmy chrypki!

— Nikt by już nie odgadł, żeśmy miłe rybki!

— Jak słusznie się domyśliłeś, wszyscy Gupcy po prostu uwielbiają gadać — rzekł Jesli na stronie do Haruna. — Milczenie uchodzi za niegrzeczność. Właśnie dlatego Mnuste przepraszają, że są mniej miłe niż zwykle.

— Jak dla mnie, to całkiem nieźle sobie radzą w rozmowie — odparł Harun.

— W normalnej sytuacji każda paszcza mówi co innego — wyjaśnił Jesli. — To bardzo wzbogaca konwersację. Dla Mnustych taka rozmowa jak dzisiejsza to właściwie milczenie.

— A znów Pływający Ogrodnik po kilku krótkich zdaniach czuje, że się rozgadał — westchnął Harun. — Chyba nigdy się nie połapię w tutejszych obyczajach. Jakie zadanie mają te ryby?

Jesli wytłumaczył mu, że Ryby Mnuste to tak zwane „głodomorskie artystki”:

— Kiedy są głodne, wszystkimi paszczami połykają Strugi Opowieści, a potem w ich wnętrzościach dzieją się istne cuda; kawałek jednego wątku łączy się z drobnym niuansem innej historyjki, no i bęc: zanim ryby wyplują, co połknęły, ze starych opowieści powstają nowe. Nic nie bierze się z niczego, Złodziejaszku; żadna opowieść nie wypływa znikąd; nowe rodzą się ze starych i tylko świeże kombinacje nadają im urok nowości. Obdarzone artystycznym temperamentem Ryby Mnuste tworzą w swoich układach trawiennych nowe opowieści, wyobrazasz więc sobie, jakie muszą być teraz schorowane! Skoro całe mnóstwo spaskudzonych sag przechodzi przez ich jelita, z przodu do tyłu, z góry na dół, z lewa w prawo i z powrotem, nic dziwnego, że wcale się nie czują jak ryby w wodzie!

Mnuste wynurzyły się, żeby wyrzeźbić kolejny kuplet:

— Ledwo zipie nasze Morze!

— W Starej Strefie jest najgorzej!

Słyszając te słowa Wodny Dżinn tak się klepnął w czoło, że mu o mało nie spadł turban.

— Co? Co? — dopytywał Harun, więc Jesli, pogrążony w jeszcze głębszej zadumie niż dotychczas, wyjaśnił mu z ociąganiem, że prawie nikt już nie odwiedza Starej Strefy, położonej w okolicy Bieguna Południowego. Nie ma wielkiego zapotrzebowania na krążące po tamtejszych wodach pradawne opowieści.

— Wiesz, jacy są ludzie: wciąż im się chce czegoś nowego. A o stare legendy nikt nie dba.

Starą Strefę przestano więc eksploatować; panowało jednak przekonanie, że wszystkie Strugi Opowieści wyłoniły się dawno temu z jednego z prądów, które płyną na północ przez cały Ocean, a tryskają z Krynicy, czyli Źródła Opowieści mieszczącego się według legendy nieopodal Południowego Bieguna księżycy Kahani.

— A jeśli samo Źródło jest zatrute, to co się stanie z Oceanem, co się stanie z nami wszystkimi? — nieomal jęknął Jesli. — Zbyt długo je zaniedbywaliśmy, a teraz przyszło nam za to zapłacić.

— Trzymać się kapeluszy! — przerwał mu Dudek Alle. — Za chwilę ostre hamowanie. Przed nami Miasto Gup. Zrobiliśmy kurs w rekordowym czasie! Brrrrrrrrrrmmmm! Żaden problem.

„Zdumiewające, do czego człowiek potrafi się przyzwyczaić, i jak szybko — pomyślał Harun. — Nowy świat, nowi przyjaciele: dopiero co tu przybyłem, a już nic mnie nawet specjalnie nie dziwi”.

* * *

W Mieście Gup panowało wielkie poruszenie. Stolicę Gupców przecinały wyczone we wszelkich możliwych kierunkach kanały, miasto zbudowano bowiem na tysiącu i jednej wysepce Archipelagu położonego u wybrzeży Kontynentu; w kanałach tych tłoczyły się statki i łodzie najrozmaitszych kształtów i rozmiarów, na nich zaś kłębiły się tłumy obywateli Krainy Gup. Choć reprezentowali oni taką samą różnorodność typów jak ich flota, wszyscy mieli stroskane miny. Dudek Alle, którego z jednej strony eskortował Mali, a z drugiej Goopy i Bagha, sunął (teraz już wolniej) wśród pływającej ciżby, zmierzając wraz z nią w stronę Laguny.

Laguna, czyli przestwór wielobarwnych wód niezwyklej urody, leżała między Archipelagiem, na którym stały domy większości Gupców (misternie rzeźbione w drewnie, kryte dachami ze srebrnej i złotej blachy falistej), a Kontynentem, gdzie ogromny, symetrycznie rozplanowany park schodził tarasami w dół aż nad

sam brzeg. W parku zwanym Ogrodem Rozkoszy było mnóstwo wodotrysków, altan i prastarych drzew o rozłożystych koronach, a wokół niego stały trzy najważniejsze gmachy miasta Gup, przypominające tercet tortów ozdobionych zawiłymi ornamentami z kremu: Gupałac Króla Gadasa z ogromnym balkonem wychodzącym na ogród; z prawej Parlament Krainy Gup, zwany Maglem, ponieważ debaty toczyły się w nim tygodniami, miesiącami, a czasem i latami, Gupcy lubowali się bowiem w sztuce konwersacji; wreszcie z lewej wznosił się majestatyczny Gmach D/SZ(n)W — wielgachna budowla, z której bez przerwy dobiegał terkot i brzęk, bo wewnątrz ukryto tysiąc i jedną Maszynę Przez Swą Zawiłość Nieopisywalną; Maszyny te kierowały Działaniami Przez Swą Zawiłość Niewytłumaczalnymi.

Dudek Alle podwiózł Jesliego i Haruna do schodów, które kończyły się tuż nad wodą. Chłopiec i Wodny Dżinn wyszli na brzeg i wmieszali się w tłum zgromadzony w Ogrodzie Rozkoszy; ci Gupcy, którzy lepiej czuli się w wodzie (Pływający Ogrodnicy, Ryby Mnuste, mechaniczne ptaki), dalej unosili się na falach Laguny. W Ogrodzie Rozkoszy Harun dostrzegł wielu Gupców niezwykle chudych, ubranych w idealnie prostokątne stroje pokryte napisami.

— Są to — wyjaśnił Jesli — słynni Stronnicy z Krainy Gup, czyli wojsko. Zwykle armie składają się z plutonów, pułków i tak dalej, ale nasi Stronnicy ugrupowani są w Rozdziały i Tomy. Każdym Tomem dowodzi Stronnik Przedni, zwany także Tytułowym; tam na górze stoi głównodowodzący „Biblioteką” (bo tak u nas nazywa się wojsko), sam Generał Kitab.

Generał stał na balkonie Gupałacu; pomału zbierali się tam miejscy dostojnicy. Łatwo było rozpoznać Generała Kitaba — ogorzałego starca w prostokątnym mundurze ze skóry tłoczonej złotem przez znakomitych rzemieślników, jaką Harun widywał czasem na okładkach starych, cennych ksiąg. Stojący tuż obok pulchny jegomość — Główny Mówca, czyli Marszałek Magla — bez przerwy gadał do sąsiadów; dalej stał wąty pan o siwych włosach; na głowie miał lekką koronę ze złota, a na twarzy tragiczny wyraz. Był to zapewne sam Król Gadas. Dwie ostatnie postaci Harun rozpoznał z nieco większym trudem: obok wielce wzburzonego młodzieńca z zuchowato-głupkowatą miną („To Książę Bolo, narzeczony jedynej córki Krok Gadasa, Księżniczki Batcheat” — szepnął Jesli do Haruna) stał łysy osobnik o niezwykle gładkiej i lśniącej głowie, któremu nad górną wargą wyrastał żaloszny wąsik, podobny do kawałka zdechłej myszy.

— Przypomina mi Dętego Lecza — szepnął Harun Jesliemu na ucho. — Mniejsza z tym. I tak go nie znasz. Ale co to za facet?

Chociaż zadał to pytanie szeptem, usłyszano je w tłumie. Wiele osób odwróciło się, żeby popatrzeć na obcego przybysza, którego niewiedza była równie nadzwyczajna, jak nocna koszula w fioletowe łaty niecodzienna; Harun zauważył wśród tłumy sporo mężczyzn i kobiet o głowach nie mniej gładkich, lśniących i bezwłosych niż czerep osobnika stojącego na balkonie. Ludzie ci mieli na sobie białe kitle laborantów, byli więc zapewne wspomnianymi już Jajogłowcami

z Gmachu D/SZ(n)W — geniuszami wykonującymi za pomocą Maszyn Przez Swą Zawilość Nieopisywalnych (M/SZ(n)O) Działania Przez Swą Zawilość Nie-wytłumaczalne.

— Czy to wy jesteście...? — zaczął chłopiec, tamci jednak przerwali mu, bo jako Jajogłowcy w lot chwyтали każdą myśl.

— To my jestešmy Jajogłowcy — przytaknęli, kiwając głowami, po czym z minami, które zdawały się mówić: „nie do wiary, że tego nie wiesz”, wskazali palcami stojącego na balkonie osobnika o lśniącym ciemieniu i powiedzieli:

— A to jest Sum.

— To ma być Sum? — wyrwało się zdumionemu Harunowi. — Przecież ani trochę nie przypomina Suma! Czemu go tak nazywacie?

— Z powodu gęstych, bujnych, istic sumiastych wąsów — odparł jeden z Jajogłowych, a drugi dodał z podziwem:

— Popatrz! Prawda, że ma fantastyczne wąsiska? Takie włochate, a zarazem jedwabiste.

— Ale... — zaczął Harun, lecz urwał, bo Jesli dał mu tęgiego kuksańca między żebra. „Kiedy nie ma się ani jednego włoska, tak jak Jajogłowcy — pomyślał chłopiec — to pewnie nawet ta zdechła mysz nad górną wargą Suma wydaje się najwspanialszym wąsem świata”.

Król Gadas uniósł dłoń; w tłumie zapadła cisza (rzadkie zjawisko w Mieście Gup).

Król usiłował coś powiedzieć, ale odebrało mu mowę, więc cofnął się o krok, ze smutkiem kręcąc głową. Księżę Bolo wybuchnął gwałtowną tyradą.

— Porwali ją! — krzyknął głupkowato-zuchowato. — Moją Batcheat, moją Księżniczkę. Słudzy Herezjarchy wykradli ją kilka godzin temu. Łotry nieokrzesane, podstępni tchórze, pacholki i psy! Zapłacą za to, Bóg mi świadkiem.

Generał Kitab przejął pałeczkę.

— Pioruńska historia, a niechże to! — zaklął. — Miejsce pobytu Księżniczki pozostaje nieznane, ale najpewniej uwiężą ją w Cytadeli, w Lodowym Zamku Khattam-Shuda w Mieście Chup, w samym sercu Wiekuistej Nocy. Do stu tysięcy beczek kartaczy! Kiepska sprawa. Hmmm hmmm hmmm, hę hę hę.

— Pchnęliśmy posłów do Khattam-Shuda, do samego Herezjarchy — podjął opowieść Główny Mówca z Magla.

— Poselstwo dotyczyło zarówno jadu wpuszczanego do Oceanu Strug Opowieści, jak i uprowadzenia Księżniczki Batcheat. Zażądaliśmy, żeby Herezjarcha przestał zatruwać Morze i w ciągu siedmiu godzin uwolnił porwaną. Żądań tych nie spełniono. Muszę zatem powiadomić zgromadzonych, że Krainy Gup i Chup znajdują się w stanie wojny.

— Najwyższy pośpiech jest sprawą zasadniczą — oznajmił tłumowi Sum. — Jady rozprzestrzeniają się w takim tempie, że unicestwią cały Ocean, jeśli nie podejmie się odpowiednich kroków, aby zgłębić problem.

— Ratujmy Ocean! — zawołał tłum.

— Ratujmy Batcheat! — krzyknął Książę Bolo. Na chwilę zbiło to z tropu zgromadzonych; wnet jednak w swej dobroci powtórzyli okrzyk, zmieniając go nieco:

— Za Batcheat i za Ocean!

Książę Bolo uznał widocznie, że takie hasło jest do przyjęcia.

Wodny Dżinn imieniem Jesli zrobił najbardziej ujmującą ze swoich min.

— No cóż, mamy wojnę, młody Złodziejaszku — rzekł z udawanym żalem. — Nikt w Gmachu D/SZ(n)W nie znajdzie teraz czasu, żeby się zająć twoją drobną prośbą. Czyli równie dobrze możesz mi zwrócić Przerywacz. Ale znaj moją wielkoduszność: załatwię ci darmowy przejazd do domu, ani grosza cię to nie będzie kosztowało! Możesz sobie wyobrazić uczciwszą propozycję?

Harun z całej siły ścisnął w dłoni Przerywacz i krnąbrnie wydał dolną wargę.

— Nie będzie rozmowy z Sumem, nie będzie i Przerywacza — oświadczył. — Koniec, kropka.

Jesli na pozór przyjął to z filozoficznym spokojem.

— Poczęstuj się czekoladą — powiedział, wyjmując z którejs z licznych kieszeni kamizelki olbrzymi baton, jeden z takich, jakie Harun lubił najbardziej. Chłopiec uświadomił sobie, że wprost umiera z głodu, i z wdzięcznością przyjął poczęstunek.

— Nie wiedziałem, że na Kahani też robicie takie batony — rzekł.

— Bo i nie robimy — odparł Jesli. — Na naszym księżycu wytwarza się jedynie żywność najbardziej podstawowego typu. Po przysmaki i różne przewrotne luksusy musimy latać na Ziemię.

— A więc stąd biorą się Niezidentyfikowane Obiekty Latające? — zdumiał się Harun. — Przylatują po prostu po smakołyki?

Na pałacowym balkonie wybuchło drobne zamieszanie. Książę Bolo i Generał Kitab weszli na chwilę do pałacu, a po powrocie oświadczyli, że gdy patrole wojsk Krainy Gup w poszukiwaniu śladów Księżniczki Batcheat zapuściły się na pogranicze Pasma Zmierzchu, aresztowały obcego przybysza — wielce podejrzanego osobnika, który nie umiał w zadowalający sposób dowieść swej tożsamości ani wytłumaczyć, co właściwie porabia w Paśmie.

— Sam przesłucham szpiega, na waszych oczach! — krzyknął Książę Bolo, a Generał Kitab nie protestował, choć pomysł ten wprawił go w lekkie zażenowanie. Czterech Stronników wprowadziło na balkon mężczyznę ubranego w niebieską koszulę nocną; miał on ręce związane z tyłu, na głowie zaś worek.

Kiedy odsłonięto twarz nieznanego, Harunowi szczęka opadła, a napoczęta czekolada wysunęła się z dłoni.

Na pałacowym balkonie stał dygocząc między Księciem Bólem a Generałem Kitabem ojciec Haruna, gawędziarz Raszid Khalifa, nieszczęsny Mistrz Wodolejstwa.

Rozdział 6.

Opowieść szpiega

Gdy ujęto Ziemianina, po Ogrodzie Rozkoszy przeszedł szmer grozy, a kiedy rzekomy szpieg przedstawił się jako „zwykły bazarz, a w dodatku wieloletni abonent tutejszej Sieci Strug Fabularnych”, powszechne oburzenie tym bardziej wzrosło. Harun zaczął dość obcesowo torować sobie drogę wśród tłumu. Wiele par oczu utkwiło podejrzliwe spojrzenia w drugim Ziemianinie, także ubranym w koszulę nocną, który przepychał się, szturchał przypadkowych sąsiadów i w ogóle był zdrowo pobudzony. Chłopiec wspiał się na siedem kolejnych tarasów Ogrodu Rozkoszy, zmierzając w stronę pałacowego balkonu; po drodze słyszał, jak Gupcy pomrukują:

— I to nasz własny abonent!

— Jak ten zdrajca śmiał przejść na stronę Chupwalów?

— Biedna Księżniczka Batcheat! Co ona zawiniła? Najwyżej tyle, że była fatalną śpiewaczką. Od jej głosu pękały bębunki w uszach.

— Mona Lisa też z niej nie jest, ale to żadne usprawiedliwienie.

— Fakt, że Ziemianom nie można ufać.

Harun, w którym z minuty na minutę rosła wściekłość, coraz bardziej obcesowo przepychał się przez tłum. Wodny Dżinn imieniem Jesli deptał mu po piętach, wołając:

— Czekał no, co nagle, to po diable, pali się, czy jak?

Lecz Harun nie miał zamiaru się zatrzymać.

— Co właściwie Gupcy robią szpiegom? — wrzasnął ze złością na Jesliego. — Pewnie im wrywacie jeden paznokieć po drugim, póki się nie przyznają. Każecie im ginąć śmiercią powolną i bolesną, czy też zabijacie ich natychmiast, na krześle elektrycznym o napięciu miliona woltów?

Na twarzy Wodnego Dżinna (i wszystkich innych Gupców, którzy usłyszeli tę tyradę) odmalowało się najwyższe przerażenie i uraza.

— Skąd u ciebie taka krwiożerczość? — zawołał Jesli. — Absurd, zgroza, pierwsze słyszę.

— No to co im robicie? — dopytywał Harun.

— Nie wiem — wydyszał Jesli, usiłując nadażyć za chłopcem, który parł jak do szturmu. — Jeszcze nigdy nie złapaliśmy szpiega. Może należałoby go skrzyżczyć. Albo postawić do kąta. Mógłby też napisać tysiąc razy „Nie będę więcej szpiegował”. Zresztą nie wiem, może to zbyt surowe kary?

Harun nie odpowiedział, bo znaleźli się wreszcie pod samym balkonem, krzyknął za to na całe gardło:

— Tato! Skąd się tu wzięłeś?

Gupcy jak jeden mąż spojrzeli na niego ze zdumieniem, a Raszyd Khalifa (który wciąż drżał z zimna) zdziwił się nie mniej od nich.

— Ojej — powiedział, kręcąc głową. — Przecież to nasz młody Harun. Nie ma chyba na świecie chłopca, którego mniej bym się tu spodziewał.

— To nie żaden szpieg — zawołał Harun. — To mój ojciec. Jest całkiem w porządku, tylko stracił Swadę.

— Słusznie — ponuro rzekł Raszyd, szczękając zębami. — Mów, komu popadnie, rozgadaj na cały świat.

* * *

Książę Bolo kazał jednemu ze swych Stronników zaprowadzić Haruna i Jesliego do królewskich apartamentów w samym sercu pałacu. Stronnik, na oko niewiele starszy od Haruna, przedstawił się jako Papla. Potem się okazało, że w Krainie Gup jest to popularne imię nie tylko dla chłopców, ale i dla dziewcząt. Papla miał na sobie przepisaną regulaminem Stronników bluzę w kształcie prostokąta, z której Harun odczytał fragment opowieści zatytułowanej *Książę Bolo i Złote Runo*. „Dziwne — pomyślał. — Wydawało mi się, że kto inny jest bohaterem tej historii”.

Krocząc wśród płataniny korytarzy królewskiego Gupałacu Harun zauważył wielu Stronników ubranych w mundury zapisane historyjkami jakby znajomymi, ale nie całkiem. Pewien Stronnik miał na sobie *Cudowną lampę Księcia Bola*, a inny — *Księcia Bola i czterdziestu, rozbójników*. Pojawił się też *Bolo Żeglarz*, *Bolo i Julia*, *Bolo w Krainie Czarów*. Wszystko to było ogromnie zagadkowe, ale gdy Harun zapytał Papłę, skąd się wzięły opowieści wypisane na mundurach, Stronnik odparł:

— Nie czas teraz rozmawiać o modzie. Dostojnicy Miasta Gup czekają, żeby przesłuchać twojego ojca i ciebie.

Harun miał jednak wrażenie, że Stronnik mówi to z zakłopotaniem, bo i rzeczywiście Papla wyraźnie się zarumienił. „No cóż, wszystko w odpowiednim czasie” — powiedział sobie chłopiec.

W Sali Tronowej gawędziarz Raszyd właśnie opowiadał swoją historię Księciu Bolowi, Generałowi Kitabowi, Sumowi i Mówcy (Król Gadas udał się na spoczy-

nek, bo ze zmartwienia źle się poczuł). Owinięty kocem, moczył nogi w misce z gorącą wodą, nad którą unosiła się para.

— Niewątpliwie zastanawiacie się panowie, skąd wzięłem się w Mieście Gup — zaczął, popijając zupę z czarki. — Otóż dokonałem tego dzięki pewnym zabiegom dietetycznym.

Harun zrobił niedowierzającą minę, ale tamci słuchali z uwagą.

— Ponieważ często cierpię na bezsenność — ciągnął Raszid — przekonałem się, że niektóre pokarmy odpowiednio przyrządzone nie tylko sprowadzają sen, ale i przenoszą śpiącego, dokądkolwiek zechce. Zjawisko to zwane jest Uniesieniem. Posiadłszy odpowiednie umiejętności śpiący może na własne życzenie obudzić się tam, dokąd zaniósł go sen; rzecz by można, zbudzić się we śnie. Chciałem wybrać się w podróż do Gup, ale trochę pomyliłem współrzędne i zbudziłem się w Paśmie Zmierzchu, ubrany tylko w ten niestosowny strój. Nie waham się wyznać, że zmarzłem prawie na śmierć.

— A co to za pokarmy? — spytał Sum, wielce zaciekawiony. Raszid na tyle już wrócił do formy, że uniósł brwi, robiąc swoją ulubioną tajemniczą minę, i rzekł:

— Aaa, musicie mi panowie przyznać prawo do paru drobnych sekretów. Powiedzmy, że rajskie jabłuszka, ogony komet i pierścienie Saturna popite odrobiną zupy nic sprzed stworzenia świata. Nawiasem mówiąc, ta wasza zupa jest wyśmienita — dodał całkiem innym tonem.

„Jeżeli uwierzą w tę bujdę, uwierzą we wszystko” — pomyślał Harun. — „Zaraz się wściekną i wezmą go na ostre przesłuchanie”. Ale stało się tylko tyle, że Księżę Bolo ryknął głupkowato-zuchowatym śmiechem i grzmotnął Raszida Khalifę w plecy, aż gawędziarz parsknął potokiem zupy.

— Obok żądy przygód nie brak ci i dowcipu — rzekł. — Dzielnie się waść spisujesz. Podobasz mi się.

Z tymi słowy klepnął się po udzie.

„Ależ łatwowierni ci Gupcy — pomyślał chłopiec. — A jacy łagodni. Jeśli mógł przecież próbować mi wyrwać Przerzywacz, ale palcem nie kiwnął — nawet wtedy, kiedy leżałem nieprzytomny. Skoro prawdziwemu szpiegowi kazaliby najwyżej napisać coś za karę tysiąc jeden razy, to są naprawdę pokojowo usposobieni. Ale jeżeli będą musieli pójść na wojnę, to co wtedy? Beznadziejna historia, przegrana sprawa. . .” Tu chłopiec przerwał zaczęty wątek myśli, był bowiem o krok od tego, żeby dodać: „Khattam-shud”.

— W Paśmie Zmierzchu — mówił tymczasem Raszid Khalifa — widziałem złe rzeczy, a słyszałem jeszcze gorsze. Wojsko Chupwalów rozbiło tam obóz. Czarne namioty spowite fanatycznym milczeniem! Pogłoski, które do was dotarły, są zgodne z prawdą: Kraina Chup dostała się we władanie „Tajemnicy Bezabana”, Sekty Głuchoty i Niemoty. Wyznawcy tego kultu składają śluby dożywotniego milczenia, aby dowieść swej pobożności. Tak właśnie sprawy się ma-

ją. Podstuchałem to, przekradając się chyłkiem między namiotami Chupwalów. Za dawnych czasów Herezjarcha Khattam-Shud w swych kazaniach gromił tylko opowieści, mrzonki i sny; teraz jednak przybrał surowszy ton i stał się przeciwnikiem wszelkiej Mowy. W Mieście Chup pozamykano szkoły, sądy i teatry, bo wobec Ustawy o Milczeniu nie mogły dalej działać. Podobno zaciekli wyznawcy Tajemnicy wprawiają się w trans, a potem pieczętują sobie usta. Umierają więc pomału z głodu i pragnienia, samych siebie przeznaczając na ofiarę w imię miłości Bezabana. . .

— Ale kim albo czym właściwie jest ten Bezaban? — wyrwało się Harunowi.
— Może wszyscy to wiecie, ale ja nie mam pojęcia.

— Bezaban to ogromny posąg — odrzekł Raszid. — Kolos wyrzeźbiony z czarnego lodu. Stoi w samym sercu warownego pałacu Khattam-Shuda, Cytadeli Miasta Chup. Podobno nie ma języka, ale uśmiecha się złowrogo, obnażając zęby wielkie jak domy.

— Chyba niepotrzebnie spytałem — stwierdził Harun.

— W mrokach Pasma Zmierzchu przemykali żołnierze Chupwalów — podjął Raszid przerwana opowieść. — Spośród wirujących fałd ich długich szat migały mętnym blaskiem okrutne klingi sztyletów. Ale wy, panowie, sami znacie przecież wszystkie opowieści o Krainie Chup! Jest to kraina cieni, ksiąg zamykanych na kłódki i wrywanych języków; kraina spisków i zatrutych pierścieni. Niby czemu miałbym czekać na skraju tego straszego obozowiska? Siny z zimna, ruszyłem boso ku światłu widocznemu na horyzoncie. Dotarłem w końcu do Muru Gadasa, Muru Mocy. Otóż wiedzcie, panowie, że stan jego pozostawia wiele do życzenia. Przez liczne dziury łatwo jest się przedostać. Chupwalowie już o tym wiedzą — widziałem ich po tej stronie! Na moich oczach porwali Księżniczkę Batcheat!

— Cóż waść rzeczesz?! — zakrzyknął Bolo i zerwawszy się na równe nogi stanął w zuchowato-głupkowatej pozie. — Czemuś tak długo zwlekał z tą nowiną? Wielkie nieba! Mów dalej. Na litość, mów dalej.

(Ilekróć Bolo wpadał w ten ton, pozostali Dostojnicy robili cokolwiek zażenowane miny i spoglądali gdzieś w bok).

— Właśnie zdążyłem w stronę Oceanu, przedzierając się przez kolczaste chaszczce — podjął Raszid przerwany wątek — kiedy przyплыnęła łódź w kształcie łabędzia, cała ze srebra i złota. Siedziała w niej młoda niewiasta o niezwykle długich włosach, w złotej koronie. Śpiewała, ale za przeproszeniem waszmościów tak brzydkiego śpiewu w życiu nie słyszałem. W dodatku jej zęby i nos. . .

— Dosyć już tego opisu — przerwał Główny Mówca z Magla. — Wykapana Batcheat.

— Batcheat, Batcheat! — lamentował Bolo. — Czy nigdy już nie usłyszę twego słodkiego głosu, nie ujrzę delikatnej twarzyczki?

— Co ona tam robiła? — spytał Sum. — To niebezpieczna okolica.

W tym miejscu Wodny Dżinn imieniem Jesli odchrząknął.

— Panowie — rzekł. — Być może nie wiecie, że młodzi ludzie z Krainy Gup wyprawiają się do Pasma Zmierzchu co jakiś czas, czyli niekiedy, czyli prawdę powiedziawszy dość często. Ponieważ całe ich życie upływa w promieniach słońca, pragną spojrzeć w gwiazdy, zobaczyć na niebie lśniąca Ziemię i Drugi Księżyc. Uchodzi to wśród nich za dowód odwagi. Zawsze zresztą liczyli na to, że ochroni ich Mur Gadasa. Ciemność, panowie, ma swoje powaby: atmosfera tajemnicy i niezwykłości sprzyja romansom. . .

— Romansom? — zawołał Książę Bolo, dobywając miecza. — Plugawy Dżinnie! Mam cię wziąć na sztych? Śmiesz twierdzić, że moja Batcheat szukała tam. . . miłości?

— Nie, nie! — zawołał przerażony Jesli. — Przepraszam po tysiącuroć, cofam wszystko co do słowa, naprawdę, bez urazy.

— O to może książę być spokojny — czym prędzej zapewnił Raszid Bola, który bardzo wolno wsunął miecz z powrotem do pochwy. — Księżniczce towarzyszyły tylko dworki, nikt więcej. Wszystkie razem chichotały i dowcipkowały, jak to podejda pod sam Mur Gadasa i go dotkną. „Chcę się przekonać, jaka jest naprawdę ta słynna a niewidzialna konstrukcja”, powiedziała księżniczka. „Skoro ludzkie oko jej nie ujrzy, to może chociaż palec namaca albo język posmakuje”. W tej samej chwili Chupwalowie, którzy całym zagonem wychynęli ani chybi z dziury w Murze, a teraz nie zauważeni przez Batcheat ani przeze mnie obserwowali księżniczkę spośród ciemnych chaszczyc, porwali damy, a choć wierzgały nogami i piszczały przeraźliwie, unieśli je do namiotów plemienia Chup.

— A cóż z ciebie za mąż — zadrwił grubiańsko Książę Bolo — żeś pozostał w ukryciu i nie uczyniłeś nic, aby uchronić je przed takim losem?

Sum, Mówca i Generał przyjęli to pytanie z wyraźną przykrością, a Harun ze złości aż spąsował na twarzy.

— Ten cały książę. . . jak on śmie — szepnął do Jeslego. — Gdyby nie miał miecza, to bym mu. . . to bym. . .

— Wiem, wiem — szeptem odparł Wodny Dżinn. — Książęta miewają takie napady. Ale nic się nie przejmuj. Właściwie nie dopuszczamy go tu do żadnych ważnych spraw.

— A co by książę wolał? — z wielką godnością odrzekł Raszid. — Czy byłoby lepiej, gdybym tak jak stałem, bezbronny, w nocnej koszuli, na wpół żywy z zimna, wzorem różnych romantycznych durni wyskoczył z kryjówki i dał się pojmać albo i zabić? Kto by was wtedy zawiadomił? Kto by wam wskazał drogę do obozu Chupwalów? Nikt waszej książęcej mości nie broni zostać bohaterem, ale niektórzy nad bohaterstwo przedkładają zdrowy rozsądek.

— Bolo, powinieneś przeprosić — szepnął Mówca, a Bolo stroszył się i marszczył, ale w końcu przeprosił.

— Za ostro się wyraziłem — powiedział. — Zaiste, jesteśmy właściwie wdzięczni za wieści.

— Jeszcze jedno — rzekł Raszid. — Gdy żołnierze Chupwalów wlekli wprowadzoną księżniczkę, powiedzieli coś strasznego.

— Co mianowicie? — krzyknął Bolo, skacząc tam i sam. — Jeśli jej ubliżyli...

— „Wkrótce odbędzie się Wielkie Święto Bezabana”, powiedział jeden z nich. „Może byśmy z tej okazji złożyli w ofierze naszemu bóstwu gupacką księżniczkę? Zapięczujemy jej usta i będzie się odtąd nazywała Khamosh, czyli Niema Księżniczka”. Tu wszyscy parsknęli śmiechem.

W Sali Tronowej zapadła cisza. Pierwszy, rzecz jasna, odezwał się Bolo.

— Nie ma chwili do stracenia! Zwołać wojska, zwołać wszystkich Stronników, każdy Rozdział, każdy Tom! Na wojnę, na wojnę! Za Batcheat, jedyną Batcheat!

— Za Batcheat i za Ocean — przypomniał mu Sum.

— Tak, tak — z urazą rzekł Książę Bolo. — Za Ocean też; naturalnie, oczywiście, proszę bardzo.

— Jeśli chcecie — powiedział gawędziarz Raszid — zaprowadzę was do namiotów plemienia Chup.

— Bravo! — zawołał Bolo i znów grzmotnął go w plecy. — Niesłusznie cię posadziłem; jesteś waść niezrównany.

— Jeżeli się z nimi wybierasz — rzekł Harun do ojca — to nie myśl, że ci się uda mnie tu zostawić.

* * *

W krainie Gup dzień trwał co prawda bez końca i Harun miał dziwne wrażenie, jakby czas stał w miejscu, wreszcie jednak sobie uświadomił, że jest u kresu sił. Z wolna opadały mu powieki, a on nic nie mógł na to poradzić; jego ciałem targnęło ziewnięcie tak monumentalne, że zauważyli je wszyscy obecni w dostojnej Sali Tronowej. Raszid Khalifa poprosił o nocleg dla Haruna i chłopcu pomimo zajadłych protestów („Wcale nie jestem śpiący, naprawdę, ani trochę”) kazano iść spać. Stronnikowi zwanemu Papłą polecono zaprowadzić go do sypialni.

Papła powiódł Haruna korytarzami, schodami w górę, schodami w dół, znowu korytarzami, przez wiele par drzwi, z dziedzińców na dziedzińce, z balkonów na balkony i jeszcze raz korytarzami. Po drodze Stronnik (któremu słowa same cisnęły się na usta) wygłosił tyradę przeciw Księżniczce Batcheat.

— Głupia dziewczucha — powiedział. — Gdyby tak moja narzeczona zbikowała na punkcie gwiazd i wybrała się do Pasma Zmierzchu, żeby się w nie wgapiać maślanymi oczami, a co gorsza macać ten głupi Mur i przez to wpadałyby w ręce porywaczy, rany boskie! Chybabym nie rozpętał wojny, żeby ją odbić. Baba z wozu, powiedziałbym, zwłaszcza że ma taki nochal, no i te jej zębiska, ale

po co się nad tym rozwodzić, ha! Nawet nie wspomniałem, jak ona śpiewa, coś okropnego, po prostu sobie nie wyobrażasz, a my zamiast pozwolić, żeby szlag ją trafił, ruszymy jej na ratunek i pewnie wszyscy zginiemy, bo kiepsko widzimy po ciemku...

— Czy już niedaleko do mojej sypialni? — zapytał Harun. — Bo nie wiem, ile jeszcze wytrzymam.

— No a te mundury! Przecież się nimi interesowałeś — ciągnął Papla; nie odpowiedziawszy na pytanie Haruna, szybko prowadził go przez kolejne sale, kręconymi schodami w dół, a potem znów korytarzami. — Jak ci się zdaje, kto je wymyślił? Oczywiście Batcheat, nikt inny, tylko ona. Postanowiła „wziąć w swoje ręce sprawę garderoby Stronników Dworu Królewskiego” i zrobiła z nas chodzące listy miłosne. To był jej pierwszy pomysł. Najpierw przez sto lat musieliśmy nosić różne „buzi-buzi”, „cmok-cmoki” i tym podobne teksty, po prostu nas mdliło, aż tu nagle zmieniła zdanie i kazała najwspanialsze baśnie z całego świata napisać od nowa, tak żeby ten jej Bolo został głównym bohaterem. No i teraz zamiast Aladyna, Ali Baby i Sindbada wszędzie jest Bolo, Bolo i jeszcze raz Bolo, masz pojęcie, na mieście ludzie śmieją nam się w nos, nie mówiąc już o tym, co wygadują za naszymi plecami.

W tej chwili Papla zatrzymał się przed niesłychanie imponującymi wrotami i oznajmił z triumfalnym uśmiechem:

— Oto twoja sypialnia.

Lecz wrota raptem się otwarły i strażnicy chwycili obu chłopców za uszy, kładąc im zmykać, nim zostaną wrzuceni do najgłębszego lochu w całym Gupałacu, stoją bowiem u wrót sypialni samego Króla Gadasa.

— Czyli zabłądziliśmy? — spytał Harun.

— Pałac ma owszem, skomplikowaną architekturę, a myśmy rzeczywiście troszeczkę pobłądzili — przyznał Papla. — Ale co z tego, skoro tak fajnie nam się gada?

Harun był już kompletnie wyczerpany, a słowa te doprowadziły go do takiej rozpaczki, że zamierzył się na Paplę, zupełnie go tym zaskakując, i zrzucił Stronnikowi z głowy aksamitny beret w kolorze bordo... właściwie nie Stronnikowi, a Stroniczce, bo gdy beret dotknął ziemi, na ramiona Papli spłynęła kaskada lśniących kruczoczarnych włosów.

— Po coś to zrobił? — zawyła Stroniczka. — Wszystko popsujesz.

— To ty jesteś dziewczyna — stwierdził Harun, choć i bez tego sprawa była raczej oczywista.

— Ćśśśś! — syknęła Papla, z powrotem utykając włosy pod beretem. — Chcesz, żeby mnie wylali, czy co?

Wciągnęła Haruna do niewielkiej alkowy i zasunęła kotarę.

— Myślisz, że dziewczynie łatwo jest zdobyć taką posadę? — spytała. — Nie wiesz, że dziewczyny muszą dzień w dzień robić ludzi w balona, jeżeli chcą

w życiu do czegoś dojść? Tobie pewnie wszystko podano na tacy. Widać jesteś w czepku urodzony. Ale niektórzy muszą się na tym świecie zdrowo uszarpać.

— Nie masz prawa być Stronnikiem, bo jesteś dziewczyną? — sennie spytał Harun.

— A ty pewnie zawsze robisz tylko to, co ci każą — odparowała Papła. — Pewnie nigdy nic nie zostawiasz na talerzu, nawet kalafiora. Pewnie. . .

— Ale przynajmniej poradziłbym sobie z tak prostym zadaniem jak to, żeby zaprowadzić człowieka do sypialni przerwał jej Harun, a ona uśmiechnęła się przewrotnie.

— Pewnie zawsze kładziesz się spać, jak tylko ci każą — powiedziała. — I wcale nie masz ochoty wyjść na dach pałacu tajnym tunelem, który właśnie tutaj się zaczyna.

Gdy nacisnęła guzik ukryty w misternie rzeźbionym kasetonie, boazeria zdobiąca wklęsłe ściany alkowy rozsunała się, odsłaniając schody, i oboje wspięli się na płaski dach; Harun usiadł, olśniony nieustającym, rzecz jasna, blaskiem słońca, i ujrzał pejzaż Krainy Gup: Ogród Rozkoszy, w którym czyniono przygotowania do wojny, Lagunę wraz z gromadzącą się na niej flotyllą mechanicznego ptactwa i bezkres zagrożonego Oceanu Strug Opowieści. Nagle do niego dotarło, że chociaż pada ze zmęczenia, jeszcze nigdy nie czuł w sobie takiej pełni życia. W tej samej chwili Papła bez słowa wyjęła z kieszeni trzy miękkie kulki ze złocistego jedwabiu, podrzuciła je do góry, żeby zapłonęły w słońcu, i zaczęła nimi żonglować.

Żonglowała za plecami, nad udem, pod udem, z zamkniętymi oczami, na leżąco, aż Harun zaniemówił z podziwu; co pewien czas podrzucała wszystkie kulki wysoko w górę, sięgała do kieszeni po następne złote kłębuszki i żonglowała dziewięcioma, dziesięcioma, jedenastoma. Ilekroć Harun pomyślał: „To się nie może udać, zaraz którąś upuści”, dodawała do swej wirującej galaktyki kolejne jedwabiste słońca.

Ta jej żonglerka zaczęła chłopcu przypominać najwspanialsze popisy ojca, Raszida Khalify, znanego jako Mistrz Wodolejstwa.

— Opowiadanie historyjek zawsze mi się kojarzyło z żonglerką — powiedział, kiedy wreszcie odzyskał mowę. — Łapie się kilka opowieści i puszcza w powietrze, obraca się nimi i żongluje, a jeśli ktoś jest w tym dobry, to mu się żadna nie wymknie. Więc może żonglerka to też rodzaj gawędziarstwa.

Papła wzruszyła ramionami, złapała kolejno wszystkie złote kulki i poutykała je po kieszeniach.

— Nic o tym nie wiem — odparła. — Chciałam ci tylko uświadomić, z kim masz do czynienia.

* * *

Po wielu godzinach Harun zbudził się w pokoju o zasłoniętych oknach (kiedy poprosili o pomoc jeszcze jednego Stronnika i wreszcie znaleźli właściwą sypialnię, chłopiec zasnął w pięć sekund po tym, jak Papla zaciągnęła ciężkie kotary i powiedziała dobranoc).

Ktoś siedział mu na piersi; ktoś trzymał go oburącz za gardło i mocno ścisnął. Okazało się, że to Papla.

— Pobudka — szepnęła z groźbą w głosie. — A jeżeli mnie wydasz, to kiedy następnym razem zaśniesz, złapię cię za gardło i będę ścisnąć do oporu. Bądź sobie grzecznym chłopczykiem, ale ja umiem się zachować jak bardzo niegrzeczna dziewczynka.

— Nikomu nie powiem, obiecuję — stęknął Harun, a Papla rozluźniła chwyt i szeroko się uśmiechnęła.

— Równy z ciebie kumpel, Harunie Khalifo — powiedziała. — A teraz wstawaj, żebym cię nie musiała wyciągać za włosy. Czas zacząć służbę. W Ogrodzie Rozkoszy wojsko szykuje się do wymarszu.

Rozdział 7.

Pasmo Zmierzchu

„Zaraz się znowu wplączę w jakąś bajkę o Księżniczce Wyratowanej — pomyślał rozespany Harun i ziewnął. — Ciekawe, czy i w tej coś się pomąci”. Niedługo trwał w niepewności.

— Aha — rzekła Papla zdawkowym tonem. — Na wyraźną prośbę pewnego Dżinna Wodnego pozwoliłam sobie wyjąć ci spod poduszki Przerzywacz, który wzięłeś jak swój.

Przerażony Harun zaczął gorączkowo grzebać w pościeli, ale Przerywacz istotnie znikł, a wraz z nim znikła szansa, że uda się załatwić audiencję u Suma i przywrócić Raszidowi abonament Wodoleja. . .

— Myślałem, że się przyjaźnimy — powiedział oskarżycielskim tonem.

Papla wzruszyła ramionami.

— Twój plan tak czy owak jest już nie na czasie — odparła. — Jeśli dokładnie mi go streścić; ale szanowny ojczulek zjawił się tu we własnej osobie, więc sam może rozwiązać swój problem.

— Nic nie rozumiesz — powiedział Harun. — Chciałem mu pomóc.

Z Ogrodu Rozkoszy dobiegły dźwięki fanfar. Harun wyskoczył z łóżka i podbiegł do okna. Na dole trwała wielka krzątanina: przetasowania Stronników. Setki, jeśli nie tysiące niebывale chudych postaci biegały po Ogrodzie bez ładu i składu, a ich prostokątne mundury rzeczywiście szeleściły niczym tasowane karty, ale dużo głośniej; Stronnicy spierali się, w jakiej mają stanąć kolejności.

— Ja pierwszy! — wołał jeden.

— Nie bądź śmieszny — odpowiadał inny. — Pleciesz bez sensu, przecież to jasne, że stoisz za mną. . .

Harun zauważył, że każdy Stronnik ma swój numer, ustalenie kolejności powinno więc być drobnostką. Powiedział o tym Papli, która odrzekła:

— W rzeczywistości nic nie jest takie proste, jak się wydaje, panie szanowny. Wiele numerów się powtarza, trzeba więc sprawdzać, do którego Rozdziału należy dany Stronnik, do którego Tomu i tak dalej. Poza tym w umundurowaniu często zdarzają się błędy, a wtedy Stronnicy noszą w ogóle nie te numery, co powinni.

Widząc, jak popychają się i sprzeczą, wygrażają pięściami i z czystych wygłupów podstawiają sobie nogi, Harun rzekł:

— Coś niezbyt zdyscyplinowane to wojsko.

— Nie sądz książki po okładce — warknęła Papla i lekko acz widocznie wyprowadzona z równowagi oświadczyła, że nie może dłużej czekać na Haruna, bo i tak jest spóźniona; no i oczywiście chłopiec musiał za nią pędzić, wciąż ubrany tylko w czerwoną koszulę nocną z fioletowymi łatami, i nawet nie umył zębów, nie uczesał się ani nie zdążył wytknąć Papli kilku błędów w rozumowaniu. Biegnąc za nią korytarzami, po schodach w górę i w dół, przez galerie i dziedzińce, a potem znowu korytarzami, w pewnej chwili wysapał:

— Po pierwsze wbrew temu, co powiedziałaś, wcale nie „sądziłem książki po okładce”, bo przecież cała przede mną przedefilowała, a po drugie tego, co tu się dzieje, w żaden sposób nie można nazwać „rzeczywistością”.

— Doprawdy? — odparowała Papla. — No właśnie, tym facetom z miasta smutasów zawsze się wydaje, że wszędzie musi być nędznie i szaro jak w wiadrze z pomyjami, bo inaczej to nie jest rzeczywistość.

— Zrobiłabyś coś dla mnie? — wysapał Harun. — Mogłabyś kogoś spytać o drogę?

* * *

Zanim dotarli do Ogrodu, Wojsko Gupców, zwane też Biblioteką, zakończyło operację Kartkowania i Katalogowania, którą Harun obserwował z okna swej sypialni — czyli stanęło w szyku.

— No to na razie — powiedziała zdyszana Papla i pomknęła ku Królewskim Stronnikom, którzy stali w równych szeregach niedaleko miejsca, gdzie Książę Bolo zuchowato-głupkowato harcował i pomykał na mechanicznym koniu latającym. Stronnicy mieli na głowach aksamitne berety koloru bordo.

Harun bez trudu wypatrzył Raszida. Domyślił się, że ojciec też zasnął, bo jest potargany i ma na sobie tylko niebieską koszulę nocną, dosyć wymiętą i brudną.

W małym pawilonie pełnym grających wodotrysków niebieskobrody Dżinn Wodny zwany Jeslim stał u boku Raszida Khalify i radośnie machał Harunowi ręką, w której trzymał Przerywacz.

Harun ruszył pełną parą i dotarł do nich w samą porę, żeby usłyszeć, jak Jesli mówi:

— ... wielki zaszczyt cię poznać, zwłaszcza że już nie trzeba cię tytułować Ojcem Złodziejaszka.

Zdumiony Raszid zmarszczył brwi, ale Harun podbiegł do niego i spieszenie rzekł:

— Później ci wytłumaczę.

To powiedziawszy rzucił Jesliemu spojrzenie, które nawet dżinnowi odebrało mowę. Żeby zmienić temat, Harun dodał:

— Tato, może miałbyś ochotę poznać resztę moich nowych przyjaciół, tych ciekawszych?

* * *

— Za Batcheat i Ocean!

Wojska Gupców gotowe były do wymarszu. Stronnicy czekali już na skrzydlatych Fregatach i Czajkach, które kołysały się na falach Laguny; Pływający Ogrodnicy też trwali w gotowości, podobnie jak Ryby Mnuste; Dżinnowie Wodni dosiedli rozmaitych maszyn latających i niecierpliwie muskali sobie wąsy. Raszid Khalifa wspiął się na grzbiet Dudka Allego i zajął miejsce za Jeslim i Harunem. Mali, Goopy i Bagha trzymali się blisko nich. Harun przedstawił ojcu całą tę trójkę, po czym zabrzmiał gromki okrzyk i wyprawa ruszyła.

— Ale głupio się ubraliśmy! — jęknął Raszid. — Wystarczy parę godzin, żebyśmy w tych koszulach zmarzli na kość.

— Całe szczęście — odparł Wodny Dżum — że wziąłem na drogę zapas Laminacji. Poproście ładnie i podziękujcie z góry, to może wam pożyczę.

— Prosimy ładnie i z góry dziękujemy — czym prędzej rzekł Harun.

Laminacje okazały się cienkimi, przeźroczystymi ubiorami, które lśniły jak skrzydła ważek. Harun i Raszid włożyli na swoje nocne koszule długie tuniki z tej dziwnej tkaniny i wciągnęli obcisłe spodnie z tegoż materiału. O dziwo Laminacje tak ciasno przylegały do koszul i nóg, że stały się wręcz niewidzialne. Harun dostrzegł tylko, że rzuca słaby blask, którego przedtem nie było.

— Teraz już nie zmarzniecie — uspokoił ich Jesli. Wypłynęli tymczasem z Laguny i miasto Gup niknęło w oddali; Dudek Alle nie pozostawał w tyle za resztą mechanicznego ptactwa, które mknęło co siłą, bryzgając wodą na wszystkie strony.

„Ależ ten świat się zmienia — zdumiewał się Harun. — Jeszcze w zeszłym tygodniu byłem chłopcem, który nigdy w życiu nie widział śniegu, teraz zaś pędzę w stronę lodowego pustkowia, dokąd nigdy nie zagląda słońce, a przed zimnem chroni mnie tylko nocna koszula i jakaś dziwna przeźroczysta błonka. Z deszczu pod rynnę”.

— Śmiechu warte — stwierdził Dudek Alle, który czytał w myślach Haruna. — Powiedz lepiej: z lodówki do zamrażarki.

— Nie do wiary! — zawołał Raszid Khalifa. — Mówi, chociaż nie rusza dziobem.

* * *

Flota wojenna Gupców przepłynęła spory kawał drogi. Do świadomości Haruna stopniowo docierał dźwięk, który początkowo przypominał ciche brzęczenie, aby wznieść się do monotonnego pomruku i wreszcie przeistoczyć w gromowy ryk. Minęło nieco czasu, nim chłopiec się zorientował, że to po prostu Gupcy toczą coraz gorętsze rozmowy i debaty. Dźwięk niesie się po wodzie, przypomniał sobie znaną zasadę, ale ta kaskada dźwięków, którą teraz słyszał, poniosłaby się nawet po suchej i jałowej pustyni. Wodne Dżinny, Pływający Ogrodnicy, Ryby Mnuste i Stronnicy głośno omawiali wszelkie za i przeciw powziętej strategii.

Goopy i Bagha wypowiadały się na ten temat równie otwarcie jak inne Ryby Mnuste. Ich bulgotliwe okrzyki niezadowolenia stawały się tym głośniejsze, im bardziej flota zbliżała się do Pasma Zmierzchu i leżącej za nim Krainy Chup:

- Odbić Batcheat! Też mi pomysł!
- Wszak Ocean zagrożony!
- Morze trzeba wpierw ratować!
- Z niego to czerpiemy słowa!
- Mniejsza o królewską córkę!
- Sprawdźmy, skąd trucizna ciurcze!

Harun był lekko zbulwersowany.

— Moim zdaniem to głos buntu — rzekł. Jesli, Goopy, Bagha i Mali bardzo się zaciekawili.

— Co to takiego „buntu”? — spytał Jesli.

— Jakaś roślina? — dodał Mali.

— Nie rozumiecie — usiłował im wytłumaczyć Harun. — „Buntu” to dopełniacz.

— Bzdura — orzekł Wodny Dżinn. — Dopełniacze nie mają głosu.

— Czemu nie? — ku własnemu zaskoczeniu odparł Harun (wokół niego tyle dyskutowano, że w końcu okazało się to zaraźliwe). — Skoro mówią nawet Ryby, to czemu nie Dopełniacze? Albo cokolwiek innego?

Tamci umilkli i zasępiłi się na chwilę, a potem najzwyczajniej w świecie zmienili temat, wracając do aktualnej kwestii: czy należy przede wszystkim ratować Księżniczkę Batcheat, czy też Ocean? Ale Raszid Khalifa puścił do Haruna perskie oko, więc chłopiec poczuł się trochę mniej zdruzgotany.

Od strony Fregat i Czajek niosły się po wodzie odgłosy zażartej kłótni:

— Ja tam uważam, że cała ta wyprawa śladem Batcheat to czerpanie wody durszlakiem.

— Zwłaszcza że sama Batcheat z tymi swoimi pryszczami przypomina durszlak.

— Jak waść śmiesz tak się wyrażać o naszej ukochanej Księżniczce, o przepięknej narzeczonej zacnego Księcia Bola!

— Batcheat ma być przepiękna? Zdążyłeś już zapomnieć ten jej głos, ten jej nochal, te zębiska... ?

— Dobrze już, dobrze. Nie trzeba tego aż tak roztrząsać.

Harun zauważył, że sam Generał Kitab przemyka wśród ptasiej floty na skrzydlatym koniu mechanicznym, podobnym do rumaka, na którym jechał Bolo, i przysłuchuje się kilku dyskusjom równocześnie. Stronnicy oraz inni obywatele Państwa Gup cieszyli się najwidoczniej taką swobodą, że stary Generał bez mruknięcia okiem znosił obelżywe, buntownicze tyrady. Harunowi wręcz się zdawało, że dowódca sam często prowokuje dysputy, a potem z entuzjazmem i rozkoszą się do nich włącza, prezentując już to jeden pogląd, już to (dla czystej rozrywki) zdanie całkiem przeciwne.

— To mi dopiero armia! — zdumiał się chłopiec. — Gdyby na Ziemi żołnierze tak się zachowywali, w okamgnieniu oddano by ich pod sąd wojskowy.

— Ale ale ale po co przyznawać obywatelom Wolność Słowa — zakrzyknął Dudek Alle — jeśli potem zabrania im się z niej korzystać? A czyż Moc Słowa nie jest najpotężniejszą z wszystkich Mocy? Trzeba jej dać jak najszersze pole do popisu, prawda?

— W każdym razie dzisiaj ta Moc popisuje się na całego — stwierdził Harun. — Wy, Gupcy, nie umielibyście chyba dochować sekretu, choćby miało wam to ocalić życie.

— Ale za to umiemy dla ocalenia życia wyjawiać sekrety — odparł Jesli. — Ja sam znam całe mnóstwo sekretów, bardzo pikantnych i interesujących.

— Ja też — nie ruszając dziobem zgłosił się Dudek Alle. — To co, zaczynamy?

— Nie — odrzekł Harun kategorycznym tonem. — Nie zaczynamy.

Raszid był tak rozweselony, że ledwo panował nad sobą.

— Psiakość, mój mały Harunie Khalifo — rzekł, parszkając śmiechem. — Przeszabawni są ci twoi nowi przyjaciele.

W takim to pogodnym nastroju flota wojenna Gupców sunęła naprzód; wszyscy uczestnicy wyprawy z wielkim zajęciem analizowali najtajniejsze strategie Generała Kitaba (ten bowiem oczywiście sam je radośnie wyjawiał każdemu, komu tylko przyszła ochota spytać). Wszystkie plany rachowano, brano pod lupę, uzasadniano, rozbierano na czynniki pierwsze, rozważano, przeżuвано, chwalo-no, bagatelizowano, a nawet, po wlokących się bez końca awanturach, uzgadnia-no. Raszid Khalifa podobnie jak Harun zaczynał już mieć wątpliwości, czy mądrze jest aż tak rozpuszczać języki, a kiedy się ośmielił o tym napomknąć, Jesli, Alle, Mali, Goopy i Bagha natychmiast jęli się spierać również i o to, z tą samą energią i namietnością.

Jedynie Książę Bolo zachowywał wyniosłe milczenie, frunąc na swym mechanicznym rumaku. Wiódł wojsko Krainy Gup nie odzywając się ani słowem,

nie patrząc w lewo ani w prawo, tylko prosto w daleki horyzont. Nie dotyczyły go żadne spory: to, że Batcheat jest najważniejsza, było poza wszelką dyskusją.

— Jakim cudem — głośno zdumiał się Harun — ten Bolo jest tak pewny swego zdania, chociaż reszta armii godzinami zastanawia się nad każdym szczegółem?

Pływający Ogrodnik imieniem Mali, który kroczył po wodzie tuż obok Haruna, odpowiedział mu kwiecistym głosem dobywającym się spomiędzy mięsistych warg z płatków bzu.

— Dzięki Miłości — rzekł. — On wszystko robi z Miłości. Bo Miłość to rzecz cudowna i rycerska. A czasem strasznie głupia.

* * *

Ściemniało się — zwolna, potem szybciej. Wkraczali w Pasma Zmierzchu!

Patrząc w dal — tam gdzie ciemność gęstniała niby chmura, nim z niej padnie grom — Harun poczuł, że opuszcza go odwaga. „Jakie szanse ma to nasze niedorzeczne wojsko — pomyślał z rozpaczą — w świecie, w którym wroga nawet nie widać?” Im bardziej się zbliżali do wybrzeży Krainy Chup, tym straszniejsza stawała się myśl o spotkaniu z armią Chupwałów. Harun nabrał przekonania, że cała ta wyprawa to po prostu zbiorowe samobójstwo: poniosą klęskę, zginie Batcheat, zginie nieodwracalnie zatruty Ocean, przepadną raz na zawsze wszystkie opowieści. Niebo tymczasem pociemniało i przybrało lekko fioletowy odcień, tworząc odpowiednie tło dla fatalistycznego nastroju chłopca.

— Ale ale ale nie bierz tego tak serio — dobroduszenie wtrącił Dudek Alle. — Widocznie dostałeś Sercienia, jak prawie każdy, kto po raz pierwszy widzi Pasma Zmierzchu i rozciągającą się za nim Ciemność. Mnie to oczywiście nie grozi, bo nie mam Serca. Nawiasem mówiąc, między innymi dlatego dobrze jest być maszyną. Ale ale ale nic się nie przejmuj. Zaaklimatyzujesz się. Przejdzie ci.

— Pomówmy o czymś weselszym — wtrącił Raszyd Khalifa. — Te Laminacje rzeczywiście działają. Ani trochę nie marzną.

* * *

Goopy i Bagha coraz bardziej kaszały i bulgotały. Ukazało się wybrzeże Krainy Chup, zaiste ponury widok: takiej masy plugastwa jak w tamtejszych wodach Harun nie widział dotąd w Oceanie. Zatrute Nurty Opowieści zmatowiały i zszarzały, a przecież właśnie barwom zawdzięczały swe najważniejsze cechy: żywość, lekkość i potoczystość. Zniknięcie kolorów wyrządziło zatem straszliwe szkody. Co gorsza, Ocean w tych okolicach wyraźnie ostygł. Nad jego falami już się nie

unosila ta miękka, subtelna mgielka, która każdemu, kto nią odetchnął, zsyłała najbardziej fantastyczne rojenia; woda była chłodna, a w dodatku jakby lepka.

Widocznie trucizna chłodziła wody Oceanu.

Goopy i Bagha wpadły w panikę i zaczęły wykrzykiwać:

— Jak tak dalej pójdzie (apsik, hmm, hmm), to zginiemy wszyscy!

— Taflę Oceanu (hmm, hmm, apsik) pokryje lód szklisty!

Pora była wyjść na brzeg Krainy Chup.

Na mrocznym wybrzeżu nie śpiewał ani jeden ptak. Nie wiał wiatr. Nie rozbrzmiewał niczyj głos. Stopy bezszelestnie sunęły po żwirze, jakby były owinięte jakimś dźwiękochłonnym materiałem. W dusznym powietrzu wisiał odór stęchliżny. Kolczaste krzewy rosły kępami wokół bezlistnych, widmowych drzew, których biała kora przywodziła na myśl chorobliwą cerę. Tłumnie przemykające cienie wydawały się żywe. Nikt jednak nie zaatakował Gupców, kiedy wylądowali: na plaży pokrytej żwirem nie doszło do choćby najmniejszej utarczki. W krzakach nie kryli się łucznicy. Wszędzie panował bezruch i chłód, jak gdyby cisza i ciemność postanowiły grać na zwłokę.

— Im głębiej nas zwabia w mrok, tym bardziej wzrosną ich szanse — rzekł Raszid bezbarwnym tonem. — A dobrze wiedzą, że prędzej czy później nadciągniemy, bo przecież mają Batcheat.

„Podobno Miłość wszystko zwycięża — pomyślał Harun. — Ale tym razem wygląda na to, że zamiast zwyciężyć zrobi z nas matolów... albo miazgę”.

Utworzono przyczółek i rozbito namioty: wojsko Gupców po raz pierwszy rozłożyło się obozem. Generał Kitab i Książę Bolo kazali Papli sprowadzić Raszida Khalifę. Harun — zachwycony, że znów widzi Stronniczkę — poszedł wraz z ojcem.

— Gawędziarzu! — zawołał Bolo najbardziej zuchowato jak potrafił. — Czas, żebyś nas zaprowadził do obozu Chupwałów. Wielkich dokonamy czynów! Co rychlej trzeba oswobodzić Batcheat!

Harun i Papla, a z nimi Generał, Książę Bolo i Mistrz Wodolejstwa ruszyli na zwiad, przekradając się przez kolczaste krzewy; Raszid niebawem przystanął i bez słowa wskazał ręką przed siebie.

Wszyscy ujrzeni niewielką polankę, a na skraju bezlistnego zagajnika mężczyzną, który wyglądał prawie jak cień, w rękę zaś trzymał miecz o klindze ciemnej niby noc. Był sam, ale nieustannie obracał się, skakał i wierzgał nogami, tnąc mieczem na prawo i lewo, jakby walczył z niewidzialnym przeciwnikiem. Kiedy podeszli bliżej, Harun spostrzegł, że nieznajomy rzeczywiście walczy — z własnym cieniem, a ten oddaje ciosy nie mniej zaciekle, uważnie i umiejętnie.

— Patrzcie — szepnął chłopiec. — Ruchy człowieka nie zgadzają się z ruchami cienia.

Raszid uciszył go spojrzeniem, ale Harun miał rację: cień obdarzony był własną wolą. Robił zwody i uniki, rozciągał się jak cienie, które padają w ostatnich

promieniach zachodzącego słońca, a potem zwierzał w sobie i upodabniał do cienia w samo południe, gdy słońce świeci prosto z góry. Jego miecz na przemian wydłużał się i kurczył, a cała sylwetka nieustannie wyginała, co chwila zmieniając kształt. „Jaką można mieć nadzieję, że się pokona takiego przeciwnika?” — zdumiał się Harun.

Cień połączony był z wojownikiem stopami, ale nic poza tym nie ograniczało jego swobody — jak gdyby żyjąc w krainie mroku, będąc cieniem ukrytym wśród cieni, zyskał moc, o jakiej nawet się nie śni ceniom ze świata, w którym jest widno i zwyczajnie. Wyglądał przerażająco.

Wojownik też sprawiał niepospolite wrażenie. Długie, gęste włosy związane w koński ogon sięgały mu do pasa. Twarz miał pomalowaną na zielono, usta szkarłatne, brwi i oczy mocno zaznaczone czarną, kreską, a na policzkach białe linie. Na udach i ramionach nosił grube skórzane ochraniacze, toteż wydawał się jeszcze potężniejszy niż w rzeczywistości. Harun nigdy nie widział, żeby ktoś był tak sprawny fizycznie i tak znakomicie się fechtował. Choćby cień wyczyniał nie wiadomo jakie sztuczki, wojownik zawsze dotrzymywał mu pola. Gdy tak walczyli oparci o siebie stopami, chłopiec dostrzegł w ich walce piękny, pełen gracji taniec — wykonywany w zupełnym milczeniu, przy muzyce, która grała w głowach samych tancerzy.

Wtem chłopiec podchwycił spojrzenie wojownika i poczuł w sercu zimny kolec. Cóż to były za straszne oczy!

Miały czarne plamy zamiast białek, tęczówki szare jak zmierzch i mleczno-białe źrenice. „Nic dziwnego, że Chupwalowie wolą ciemność — zrozumiał nagle Harun. — W słońcu ślepną jak nietoperze, bo oczy mają ustawione na opak, jak negatyw”.

Obserwując bojowy taniec Cienistego Wojownika chłopiec rozmyślał o tym, w jaką dziwną wplątał się przygodę. „Ileż przeciwieństw ściera się w tej wojnie — zdumiewał się. — Gup to światło, a Chup to ciemność. Gup to ciepło, a Chup — mroźny chłód. Gup to zgiełk i gadulstwo, a Kraina Chup jest cicha jak cień. Gupcy kochają Ocean, a Chupwalowie usiłują go zatruć. Gupcy kochają Opowieści i Mowę, a Chupwalowie ich nienawidzą”. Była to więc wojna między Miłością (do Oceanu lub do Batcheat) i Śmiercią (bo Herezjarcha Khattam-Shud chciał zgładzić Ocean i Księżniczkę).

„Ale to nie takie proste” — pomyślał Harun. Taniec Cienistego Wojownika uzmysłowił mu, że cisza też nie jest pozbawiona wdzięku i piękna (tak jak mowa może być nieskładna i brzydka); że Czyny bywają równie szlachetne jak Słowa, a istoty żyjące w mroku okazują się nie mniej urodziwe od dzieci światła. „Gdyby Gupcy i Chupwalowie nie pałali do siebie taką nienawiścią” — myślał dalej — „to może nawet wydaliby się sobie nawzajem dość interesujący. Podobno przeciwieństwa się przyciągają”.

W tejże chwili Cienisty Wojownik zamarł w bezruchu; zwrócił spojrzenie dziwnych oczu na krzak, za którym kryła się grupka Gupców, i wysłał ku nim swój cień, ten zaś wyciągnął się, sunąc po ziemi, a potem wznosił nad głowami przybyszy, trzymając w ręku straszliwie wydłużony miecz. Cienisty Wojownik schował własną broń do pochwy (co jednak nie miało żadnego wpływu na ruchy Cienia) i wolnym krokiem podszedł do kryjówki naszych bohaterów. Jego dłonie poruszały się we wściekłej pantomimie, przypominającej taniec gniewu lub nienawiści. Ruchy dłoni stawały się coraz szybsze, coraz bardziej wymowne, aż wreszcie wojownik opuścił je bezwładnie, jakby z obrzydzeniem, i (o zgrozo!) sam przemówił.

Rozdział 8.

Cieniści Wojownicy

Cienistemu Wojownikowi tak trudno było wydać jakikolwiek dźwięk, że twarz, która sama przez się sprawiała uderzające wrażenie (miał bądź co bądź zieloną skórę, szkarłatne wargi, białe paski na policzkach), wykrzywiały mu straszliwe grymasy.

— Go-go-gol — gulgotał. — Kaf-kaf-ka — kasał.

— He? Co to ma znaczyć? Co mówi ten jegomość? — głośno zapytał Książę Bolo. — Nic a nic nie rozumiem.

— Ale z niego pozer, słowo daję — syknęła Papla Harunowi prosto do ucha. — Ten cały Bolo tak się nadyma i stawia, bo myśli, że nie zauważymy, jak się boi. Ze strachu za chwilę zgubi spodnie.

Harun zdziwił się, czemu Papla pozostaje na służbie u księcia, skoro ma o nim tak niskie mniemanie, ale się nie odezwał, bo po pierwsze nie chciał, żeby jego samego ubodła jakimś lekceważącym słowem, a po drugie bardzo już ją polubił, mogła więc sobie myśleć, co jej się żywnie podobało. Milczał jednak głównie dlatego, że nad całą grupką chylił się olbrzymi Cień z wielkim mieczem, a w odległości paru metrów pochrząkiwał i prychał Wojownik; krótko mówiąc, nie była to pora na pogawędkę.

— Wieść niesie, że mieszkańcy krainy Chup stosując się do zakazów Herezjarchy ostatnio prawie zaniemówili, nic więc dziwnego, że Wojownikowi głos chwilowo odmówił posłuszeństwa — wyjaśnił Raszid Khalifa księciu, nie zrobiło to jednak na nim najmniejszego wrażenia.

— I co z tego — rzekł Bolo. — Naprawdę nie rozumiem, czemu ludzie nie mówią jak należy.

Cienisty Wojownik wcale na niego nie zważał, tylko znów zaczął gwałtownie gestykulować, wyraźnie zwracając się tym sposobem do Raszida; w końcu zdołał też wychrypieć kilka słów.

— Mord — powiedział. — Znak zabijania.

— A więc mordować zamierza! — wykrzyknął Bolo, kładąc dłoń na rękojeści miecza. — No cóż, nie wszystko pójdzie po jego myśli. Ręczę za to.

— Bolo — rzekł Generał Kitab. — Niech mnie kule biją, będziesz wreszcie cicho? Do kroćset! Wojownik usiłuje coś nam powiedzieć.

Cienisty Wojownik gestykulował z rosnącym wzburzeniem, nieledwie z rozpaczą: splatał palce na rozmaite sposoby, ustawiał dłonie pod coraz to innym kątem i wskazywał różne części swego ciała, powtarzając ochryple:

— Mord. Mord. Znak zabijania.

Raszid Khalifa puknął się w czoło.

— Mam! — zawołał. — Ależ ze mnie dureń. Przecież on od początku całkiem płynnie się wyraża.

— Śmiechu warte — wtrącił Księżę Bolo. — To stękanie ma być płynną mową?

— Chodzi mi o jego gesty — cierpliwie odparł Raszid, chociaż Bolo znów palnął bzdurę. — On mówi Językiem Gestów. A kiedy się odezwał, nie powiedział „mord”, tylko Mudra. To jego imię. Chciał się po prostu przedstawić! Mudra. Znam Abhinaja. Tak brzmiały jego słowa. Abhinaja to nazwa najstarszego Języka Gestów. Akurat przypadkiem ja też znam ten kod.

Mudra i jego Cień zaczęli gwałtownie kiwać głowami. Cień także schował miecz do pochwy i jął przemawiać Językiem Gestów równie szybko jak sam Wojownik, aż Raszid musiał im przerwać.

— Stop! — zawołał. — Błagam, nie obaj naraz. I pomału. Dawno nie rozmawiałem na migi, a wy za szybko gestykulujecie jak na moje możliwości.

Przez chwilę „słuchał” gestów Mudry i jego Cienia, po czym z uśmiechem rzekł do generała i księcia:

— Możemy być spokojni. Mudra ma przyjazne zamiary. Jest to zresztą bardzo szczęśliwy zbieg okoliczności, żeśmy go spotkali, bo stoi przed nami nie kto inny, tylko Pierwszy Wojownik Krainy Chup. W oczach większości Chupwałów ustępuje on władzę jedynie samemu Herezjarsze Khattam-Shudowi.

— Skoro jest prawą ręką Khattam-Shuda — wykrzyknął Księżę Bolo — to rzeczywiście nam się poszczęściło. Zakujmy go w kajdany i powiedzmy Herezjarsze, że uwolnimy więźnia, jeśli zwróci nam Batcheat całą i zdrową, pod żadnym innym warunkiem.

— A jak twoim zdaniem mielibyśmy go pojmać? — łagodnie spytał Generał Kitab. — On chyba wcale na to nie ma ochoty, nie sądzisz? He, he, he.

— Proszę was, posłuchajcie — nalegał Raszid. — Mudra nie stoi już po stronie Herezjarchy. Wzbudziło w nim wstręt coraz większe okrucieństwo i fanatyzm sekty Bezabana, tego lodowego bożka pozbawionego języka, zerwał więc z Khattam-Shudem. Przybył na to pustkowie tonące w wiecznym zmierzchu, żeby obmyślić kolejne posunięcie. Jeśli chcecie, przetłumaczę wam, co mówi w języku Abhinaja.

Generał Kitab skinął głową i Mudra znów „przemówił”. Harun zauważył, że Język Gestów nie polega jedynie na ruchach rąk. Ustawienie stóp też miało swo-

ją wymowę, podobnie jak ruchy oczu. Co więcej, Mudra w niesłychanym stopniu panował nad każdym z osobna mięśniami twarzy, pomalowanej zieloną farbą. Potrafił wprawić niektóre jej części w przedziwne drżenie i falowanie, co także stanowiło element jego „mowy”, czyli języka Abhinaja.

— Nie sądźcie, że wszyscy Chupwałowie posłuszni są Khattam-Shudowi i wielbią Bezabana — oznajmił Mudra swym bezgłośnym tańcem, który Raszid objaśniał pozostałym. — Większość jest po prostu zastraszona czarnoksięską mocą Herezjarchy. Gdyby jednak został obalony, mieszkańcy krainy Chup w przeważającej części poszliby za mną, a choć mój Cień i ja jesteśmy wojownikami, opowiadamy się za pokojem.

Teraz z kolei „przemówił” Cień.

— Trzeba wam wiedzieć, że w Krainie Chup Cienie mają tę samą rangę, co ludzie — zaczął (Raszid objaśniał z kolei jego gesty). — Jak wiecie, Chupwałowie żyją w ciemnościach, a w nich cień nie musi mieć stale tego samego kształtu. Niektóre Cienie, tak jak na przykład ja, z czasem uczą się zmieniać postać na własne życzenie. Pomyślcie, ile stąd korzyści! Jeśli Cieniowi nie odpowiada strój albo fryzura osoby, z którą jest połączony, może wybrać własny styl! U Chupwałów Cień może się poruszać z wdziękiem tancerza, choćby jego właściciel był ostatnim łamagą. Rozumiecie? Co więcej, w Krainie Chup niejedynym Cieniem jest silniejszą indywidualnością niż Osoba, Jaźń czy też Substancja, z którą współistnieje! Często więc Cień prowadzi, a Osoba, Jaźń bądź Substancja podąża jego śladem. Nieraz oczywiście wybuchają kłótnie między Cieniem a Substancją, Jaźnią bądź Osobą; zdarza się, że każde ciągnie w swoją stronę — jakże często bywałem świadkiem takich scen! — ale równie częstym zjawiskiem jest prawdziwe partnerstwo i wzajemny szacunek. Kto zawrze pokój z Chupwałami, jednocześnie zawiera go więc z ich Cieniami. A Herezjarcha Khattam-Shud wśród Cieni także wyrządził straszliwe szkody.

Tu znów zaczął opowiadać Cienisty Wojownik. Coraz szybciej gestykulował; mięśnie jego twarzy drgały i falowały w sposób zdradzający najwyższe podniecenie, a nogi zgrabnie poruszały się w szybkim tańcu. Raszid musiał nieźle się starać, żeby za nim nadążyć.

— Khattam-Shud mocą czarnej magii dokonał przerażających czynów — wyznał Mudra. — Wniknął w taką otchłań Mrocznej Sztuki, że sam stał się Cienisty: zmienny i ciemny, bardziej podobny do Cienia niż do Osoby. A w miarę jak Herezjarcha Cieniał, jego Cień coraz bardziej się Uosabiał. Dziś już nie sposób rozpoznać, który Khattam-Shud jest Cieniem, a który namacalnym Jestestwem, Herezjarcha dokonał bowiem czegoś, o czym żadnemu Chupwali nawet się nie śniło: rozstał się z własnym Cieniem! Porusza się w ciemnościach pozbawiony Cienia, ten zaś chadza własnymi drogami. Herezjarcha Khattam-Shud może przebywać w dwóch miejscach naraz!

W tym momencie Papła, która wpatrywała się w Cienistego Wojownika z wyrazem nieomal uwielbienia, jeśli nie wręcz ubóstwienia, wykrzyknęła:

— Trudno o gorszą wiadomość! Zwyciężyć go choćby raz było prawie niepodobieństwem, a ty nam mówisz, że mamy mu zadać dwukrotną porażkę?

— Najdokładniej — odpowiedział Cień Mudry, ponuro gestykułując. — W dodatku ten nowy, dwoisty Khattam-Shud, człekocień i cienioczek, zaszkodził przyjaźni między Chupwałami a ich Cieniami. Wielu Ceniom przestało się podobać to, że podeszwy ich stóp są połączone ze stopami Chupwałów. Mnożą się niesnaski.

— Smutny to czas — gestami podsumował Mudra — kiedy Chupwała nie może ufać nawet własnemu Cieniowi.

Zapadła cisza; Generał Kitab i Księżę Bolo w milczeniu przeżuwali „słowa” Mudry i jego Cienia. Po chwili Księżę Bolo rzekł porywczo:

— Czemu mielibyśmy wierzyć temu stworowi? Sam się przyznał, że zdradził swego pana. Czy już tak nisko upadliśmy, że musimy wchodzić w konszachty ze zdrajcami? A może wszystko, co nam tu naopowiadał, to jego kolejna zdrada — jakowyś chytry plan czy pułapka?

Harun już wcześniej zauważył, że Generał Kitab sprawia zwykle wrażenie najłagodniejszego z ludzi, a nic nie jest mu milsze niż porządna utarczka słowna. Tym jednak razem starzec poróżowił na twarzy i jakby się trochę nadał.

— Niech mnie kule biją, wasza wysokość — rzekł wreszcie. — Ja tu dowodzę. Zechciej łaskawie trzymać język za zębami, bo zaraz cię wyślę z powrotem do Miasta Gup i kto inny będzie musiał oswobodzić twoją Batcheat. A to by ci się wcale a wcale nie podobało. Niech mnie usieką, jeżeli się mylę.

Papła wysłuchiwała tej reprimendy z zachwyconą miną. Bolo miał w oczach mord, ale zmilczał.

I dobrze zrobił, bo Cień Mudry wysłuchawszy jego gwałtownych słów jął się szaleńczo przeistaczać: urósł do olbrzymich rozmiarów, zaczął się drapać, jakby go wszystko swędziało, przybrał postać smoka zionącego ogniem, a potem inne kształty — gryfa, bazyliuszka, mantykory, trolla. Lecz gdy Cień okazywał tak wielkie wzburzenie, Mudra cofnął się o parę kroków, oparł o pień złamanego drzewa i zaczął udawać okropne znużenie: oglądał sobie paznokcie, ziewał i kręcił młynka palcami. „Ten Wojownik i jego Cień to razem niezły skład — pomyślał Harun. — Grają tak skonstrastowane role, że nikt nie wie, co naprawdę czują; może to oczywiście być coś jeszcze innego — coś, czego żaden z nich nie okazuje”.

Generał Kitab podszedł do Mudry z miną wyrażającą ogromny, wręcz przesadny szacunek.

— Tam do licha! Pomożesz nam, Mudro? W Ciemnościach Krainy Chup niełatwo damy sobie radę. Przydałby nam się ktoś taki jak ty, Potężny Wojownik i w ogóle. Co ty na to?

Książę Bolo z nadąsaną miną stał na skraju polany, a Mudra przechadzał się i namyślał. Po chwili zaczął gestykulować. Raszid przekładał jego „słowa” na zwykły język.

— Tak, pomogę wam — oświadczył Cienisty Wojownik. — Pomogę wam, bo Herezjarchę koniecznie trzeba pokonać. Musicie jednak podjąć decyzję.

— Zakład, że zgadłam, co to za decyzja — syknęła Papla Harunowi do ucha. — Ta sama, którą należało podjąć, zanim w ogóle wyruszyliśmy: kogo najpierw ratujemy? Batcheat czy Ocean? A skoro już o tym mowa — dodała, trochę się rumieniąc — prawda, że jest niesamowity? Ekstra, bomba, pełen odjazd? Mam na myśli Mudrę.

— Wiem, kogo masz na myśli — odparł Harun, czując przy tym lekkie ukłucie zazdrości. — Owszem, ujdzie.

— Ujdzie? — syknęła Papla. — Tylko ujdzie? Jak śmiesz. . .

Urwała jednak, bo Raszid znów zaczął tłumaczyć „słowa” Mudry:

— Jak już powiedziałem, istnieje dwóch Khattam-Shudów. Jeden przebywa w Cytadeli Chup, gdzie uwięził Księżniczkę Batcheat i zamierza zapieczętować jej usta podczas Święta Bezabana. Drugi, jak zapewne wiecie, zaszył się w Starej Strefie i knuje zagładę Oceanu Strug Opowieści.

Książę Bolo z Krainy Gup zawołał z bezgranicznym uporem:

— Mów co chcesz, Mości Generale, ale Istocie Ludzkiej trzeba dać pierwszeństwo przed Oceanem, choćby obojgu zagrażało nie wiedzieć jakie niebezpieczeństwo! Przede wszystkim musimy oswobodzić Batcheat, moją ukochaną, moją jedyną. Ratujmy jej wiśniowe wargi przed pieczęcią Herezjarchy, ratujmy je nie zwlekając! Co z was za ludzie? Czyż w waszych żyłach płynie woda? Powiedz, Generale, powiedz, Mości Mudro: mężczyźni z was, czy. . . czy. . . Cienie?

— Dość już tych obelg pod adresem Cieni — oświadczył Cień Mudry, gestykulując ze spokojem i dostojeństwem. (Bolo nie zwrócił na to uwagi).

— Dobrze — zgodził się Generał Kitab. — Niech i tak będzie, do pioruna. Ale musimy wysłać kogoś, kto zbada sytuację w Starej Strefie. Tylko kogo? Niech no pomyśle. . . Hmm hmm hmmm. . .

Harun odchrząknął i oznajmił:

— Ja pójdę.

Wszystkie spojrzenia zwróciły się ku chłopcu, który poczuł się dosyć głupio w koszuli nocnej w fioletowe łaty.

— Hmm? Coś powiedział? — spytał Książę Bolo rozdrażnionym tonem.

— Myśleliście, że Khattam-Shud wysłał mojego ojca na przeszeptegi — rzekł Harun. — Otóż jeśli Książę i Generał tak sobie życzą, sam pójdę szpiegować w ich imieniu Khattam-Shuda albo jego Cień. . . w każdym razie tego z nich, który siedzi w Starej Strefie na dnie Oceanu i truje.

— A niech mnie usieką! Czemuż to zgłaszasz się na ochotnika, żeby spełnić tak niebezpieczną misję? — zainteresował się Generał Kitab. „Dobre pytanie —

pomyślał Harun. — Muszę być chyba skończonym durniem”. A głośno powiedział:

— Bo to jest tak, Panie Generale. Przez całe życie słuchałem historyjek o cudownym Morzu Opowieści, o Wodnych Dzinnach i o całej reszcie; ale zacząłem wierzyć w to wszystko dopiero wtedy, kiedy parę nocy temu we własnej łazience spotkałem Jeslego. No i wreszcie wylądowałem na księżycu Kahani i zobaczyłem na własne oczy, jak piękne są Strugi Opowieści, mieniające się kolorami, których nawet nie umiem nazwać, jak piękni są Pływający Ogrodnicy, Ryby Mnuste i w ogóle cały Ocean. Ale wtedy się okazało, że nie wiadomo, czy się nie spóźniłem, bo cały Ocean w każdej chwili może umrzeć, jeżeli jakoś temu nie zaradziemy. I jeszcze się okazało, że mi się to wcale a wcale nie podoba, szanowny panie. Ani trochę nie podoba mi się ten pomysł, że dobre baśnie z całego świata zmieniają się w jedno wielkie trucie albo w ogóle wyginą. Całkiem niedawno uwierzyłem w Ocean, ale może nie jest za późno, żebym mu się jakoś przysłużył.

„No tak — pomyślał. — Nieźle się urządziłeś: teraz to już wyszedłeś na kompletnego idiotę”. Ale Papla gapiła się na niego prawie tak samo jak przedtem na Mudrę i sprawiało mu to niewątpliwą przyjemność. Potem zobaczył minę ojca i pomyślał: „Och, tylko nie to. Wiem, co zaraz powie. . .”

— Ścichapek z ciebie, młody Harunie Khalifo — rzekł Raszid.

— Mniejsza o to — z wściekłością wymamrotał Harun. — Zapomnijcie, że się w ogóle odezwałem.

Książę Bolo podszedł do chłopca i huknął go w plecy, aż Harunowi dech zaparło.

— Wykluczone! — krzyknął Bolo. — Mielibyśmy zapomnieć, że się odezwałeś? Młodzieńcze, słowa twe nigdy nie pójną w zapomnienie! Pozwól, że spytam, Generale: czyż ten młodzian nie wydaje się wprost stworzony do takiego zadania? Jest bowiem tak jak i ja niewolnikiem Miłości.

Przy tych słowach Harun zrobił unik przed spojrzeniem Papli i zarumienił się.

— Zaiste! — ciągnął Książę Bolo, przechadzając się zamaszystym krokiem i zuchowato-głupkowato wywijając rękami. — Tak jak mnie moja namiętność, moja Amour wiezie ku Batcheat, zawsze ku Batcheat, tak przeznaczeniem tego chłopca jest ocalić to, co ukochał, czyli Ocean Opowieści.

— Dobrze — ustąpił w końcu Generał Kitab. — Młody Harunie, będziesz naszym szpiegiem. A niech to dunder świśnie! Doigrałeś się. Dobierz sobie towarzyszy, i w drogę.

Generał powiedział to szorstko, jakby surowością maskował niepokój. „To już koniec — pomyślał Harun. — Za późno, żeby się cofnąć”.

— Miej oczy otwarte! Skradaj się w mroku! Rozglądaj się uważnie, samemu nie będąc widzianym! — dramatycznym tonem wykrzyknął Bolo. — Odtąd ty też na swój sposób będziesz Cienistym Wojownikiem.

* * *

Aby dotrzeć do Starej Strefy, należało ruszyć na południe przez Pasma Zmierzchu, trzymając się wybrzeży Krainy Chup, pozostawić za sobą spowity mrokiem i ciszą kontynent i wypłynąć na wody Południowego Oceanu Kahani, rozciągającego się we wszystkich kierunkach. Harun i Wodny Dżinn imieniem Jesli wybrali się w tę podróż niespełna godzinę po tym, jak chłopiec zgłosił się na ochotnika. Do towarzystwa dobrali sobie Ryby Mnuste (czyli Goopy'ego i Baghę), które bulgocząc podążały ich śladem, i Pływającego Ogrodnika zwanego Malim, co miał sękatę członki, usta z płatków bzu, a na głowie kapelusz z korzeni. Mali szedł po wodzie u boku Dudka. (Harun chciał zabrać Papłę, ale ogarnięty nagłą nieśmiałością zrezygnował, zwłaszcza że Papla wyraźnie wołała zostać z Mudrą. Raszid musiał asystować Generałowi i Księżciu, bo tylko on rozumiał Język Gestów Cienistego Wojownika).

W kilka godzin przemknęli przez Pasma Zmierzchu i znaleźli się pod Biegunem Południowym, gdzie Ocean stracił jeszcze więcej barw, a temperatura wody znów spadła.

— Widać gołym okiem: jesteśmy na tropie!

— Przedtem było wstrętne, teraz wręcz okropnie!

Goopy i Bagha wzniosły te okrzyki kaszląc i plując.

Mali sunął po wodzie, nie dając poznać, że mu cokolwiek dolega.

— Nie bolą cię stopy od tej zatrutej wody? — spytał Harun. Mali pokręcił głową.

— Takie drobiazgi w ogóle mnie nie biorą — powiedział. — Odrobina jadu? Fraszka. Odrobina kwasu? Furda. Ogrodnik to stary wyga. Mnie takie coś nie zatrzyma.

I ku zdumieniu Haruna zaśpiewał chropawym głosem krótką pioseneczkę:

Można wstrzymać oddech,
Taniec fal po morskim dnie
Albo wiatrem gnany obłok,
Lecz nic nie zatrzyma mnie.

— Nasze zadanie polega właśnie na tym, żeby kogoś powstrzymać — przypomniał mu Harun, siląc się na ton przywódcy. — A tym kimś jest Khattam-Shud.

— Jeżeli w pobliżu Bieguna Południowego rzeczywiście tryska Krynica, czyli Źródło Opowieści — rzekł Jesli — to Herezjarcha na pewno tam właśnie się czai.

— Skoro tak, ruszajmy do Bieguna Południowego — zgodził się Harun.

Wkrótce potem zdarzyła się pierwsza katastrofa. Goopy i Bagha wyznały pojękując żałośnie, że nie mogą już dalej płynąć.

— Ach, jak straszno wśród żrących fal!

— Zawiodłyśmy was! Tak nam żal!

— Krztusimy się i dławimy!

— Całkiem nam się płaczą rymy!

Wody Oceanu gęstniały z każdą przebytą milą — gęstniały i stygły; w wielu Strugach Opowieści z wolna kłębiła się jakaś ciemna substancja podobna do masy. „Kimkolwiek jest sprawca tych zniszczeń, musi być niedaleko” — pomyślał Harun. A Rybom Mnustym polecił ze smutkiem:

— Zostańcie tu i miejcie oczy szeroko otwarte. Dalej popłyniemy bez was.

„Oczywiście nawet w razie niebezpieczeństwa nie zdołają nas ostrzec” — uświadomił sobie po chwili. Ale Mnuste miały tak zgnębione miny, że zachował tę myśl dla siebie.

Światło dnia mocno już osłabło (znaleźli się tymczasem na samym skraju Pasma Zmierzchu, bardzo blisko półkuli Wiekuistych Ciemności). Wciąż mknęli w stronę Bieguna; gdy Harun ujrzał wyrastający z Oceanu wysoki las, kołysany lekkim wiatrem, zdumiał się tym bardziej, że obraz ten ukazał mu się w półmroku.

— Czyżby ziemia? — spytał. — W tej okolicy nie ma chyba stałego lądu?

— Zanedbane wody i tyle — z obrzydzeniem rzekł Mali. — Zarośnięte. Zachwaszczone. Zapuszczone. Nie ma kto pielnić. Wstyd i hańba. Wystarczyłby mi rok, żeby wszystko tu wyglądało jak nowe.

Pływający Ogrodnik niezwykle się jak na siebie rozgadał. Był wyraźnie wzburzony.

— Nie możemy czekać aż rok — odparł Harun. — Ale nie chcę przelatywać nad tym gąszczem. Mógłby nas ktoś zauważyć, a zresztą i tak nie dalibyśmy rady cię zabrać.

— O mnie się nie martwcie — powiedział Mali. — A latanie też wybijcie sobie z głowy. Sam utworzę drogę.

Pomknął przed siebie z nadzwyczajną prędkością i zniknął w pływającej gęstwinie. Po chwili ogromne kępy roślin zaczęły wzlatywać w powietrze; widocznie Mali wziął się do roboty. Przy okazji wypłoszył z dżungli chwastów zamieszkujące ją stwory: olbrzymie ćmy-albinoski, wielkie szare ptaki, a właściwie ptasie szkielety, długie białawe robale o łbach w kształcie łopaty. „W Starej Strefie nawet zwierzyna jest Stara — pomyślał Harun. — Czy napotkamy dinozaury? No, może nie całkiem dinozaury, ale te, co żyły w wodzie. . . no, jak im tam. . . ichtiozaury”. Na myśl o tym, że z wody mógłby się wyłonić pysk ichtiozaura, chłopiec poczuł strach, a zarazem podniecenie. „Ale przecież te zwierzaki nie jedzą mięsa. To znaczy nic jadły — powiedział sobie na pociechę. — Przynajmniej tak mi się zdaje”.

Mali wrócił sunąc po wodzie i złożył sprawozdanie.

— Trzeba jeszcze tylko odrobinę przepielić i wytepić trochę szkodników. Raz-dwa wyszykuję kanał.

To powiedziawszy zniknął w gąszczu.

Kiedy kanał był już gotowy, Harun kazał Allemu weń wpłynąć. Mali przepadł jak kamień w wodę.

— Gdzie się podziałeś? — zawołał chłopiec. — Nie pora bawić się w chowanego.

Odpowiedziała mu cisza.

Kanał był wąski; na powierzchni wody wciąż jeszcze unosiły się korzenie i łodygi zielsk. Gdy podróżni zapuścili się w najgłębszy matecznik dżungli chwastów, nastąpiła druga katastrofa. Harun usłyszał cichuteńki syk, a w chwilę później zobaczył, że leci ku nim coś ogromnego, coś jakby gigantyczna siatka upleciona z nici mroku. Spadła na nich i szczelnie ich omotała.

— To Sieć Nocy — usłużnie odpowiedział Dudek Alle. — Legendarna broń Chupwalów. Nie warto stawiać oporu; im bardziej się bronisz, tym mocniej cię więzi. Z żalem zawiadamiam, że jesteśmy ugotowani.

Przez Sieć Nocy dobiegały jakieś dźwięki: syki, zadowolone chichotki. W jej głąb zaglądały oczy podobne do oczu Mudry, z czarnymi plamami zamiast białek, patrzyły jednak bynajmniej nie życzliwie. Gdzież był Mali?

— A więc zdążyliśmy już trafić do niewoli — rzekł Harun nadąsanym tonem. — Wyszedłem na bohatera, nie ma co.

Rozdział 9.

Czarny statek

Z wolna wleczono ich wraz z Siecią w gęstwinę. Prześladowcy, których cienie kształty Harun zaczynał rozróżniać, w miarę jak jego wzrok oswajał się z ciemnością, ciągnęli Sieć na niewidzialnych, ale potężnych superpowrozach. „Co nas czeka?” — zastanawiał się chłopiec. Lecz wyobraźnia go zawodziła. Oczyma duszy widział tylko ogromną czarną dziurę, która zionęła przed nim jak złowroga paszcza i stopniowo go wsysała.

— Tośmy się urządzili, wpadliśmy jak śliwka w kompot, jednym słowem, ładny gips — żalonym tonem zauważył Jesli.

Dudek Alle był równie niepokieszony.

— Jedziemy prosto do Khattam-Shuda, związani kokardką jak prezencik! — jęknął nie ruszając dziobem. — A jak wpadniemy mu w łapy, to już po nas; klops, finito, kaputt! Podobno Khattam-Shud siedzi w samym jądrze ciemności, na dnie czarnej dziury, i pożera światło, pożera je na surowo gołymi rękami i nie pozwala, żeby wymknął się choćby jeden promyk. Słowa też zjada. I jeszcze umie się pojawiać w dwóch miejscach naraz. Nikt mu nie ujdzie. Biada nam! O, dniu nieszczęsnym! Ojoj!

— Dobrani z was towarzysze, nie ma co — rzekł Harun najbardziej niefrasobliwie, jak potrafił. — Z ciebie też niezła maszyna — dodał, zwracając się do Dudka Allego. — Połykasz każdą niesamowitą historyjkę, jaką usłyszysz. Nawet te, które wycytujesz z cudzych myśli. No bo na przykład ta czarna, dziura: właśnie o niej myślałem, a ty mi ją zwędziłeś i zaraz najadłeś się strachu. Naprawdę, Dudku, weź się w garść i w ogóle podciągnij.

— Jak mam się podciągnąć albo i wyciągnąć — nie ruszając dziobem jał lamentować Dudek Alle — skoro to właśnie Chupwalowie ciągną mnie, gdzie im się żywnie podoba?

— Spójrzcie w dół — wtrącił Jesli. — Patrzcie, co się dzieje z Oceanem.

Ocean w tej okolicy pełen był gęstego, ciemnego jadu. Barwy Strug Opowieści tak zmętniały, że Harun nie potrafił już ich rozróżnić. Lepki chłód ciągnął

od wody, która bliska była zamarznięcia. „Zimna jak śmierć” — pomyślał nagle Harun. Jeśli wpadł w ostateczną rozpacz.

— To wszystko nasza wina — szlochał. — Jesteśmy przecież Strażnikami Oceanu, aleśmy go nie ustrzegli. Patrzcie, jak wygląda, no sami spojrzcie! Patrzcie, jak wyglądają najstarsze z ludzkich opowieści. Pozwoliliśmy im zapleśnieć, poniechaliśmy ich na długo przedtem, nim zatruto Ocean. Straciliśmy wszelką styczność z tym, co było naszym początkiem, z własnymi korzeniami, ze Źródłem, z Krynicą. Niechodliwe nudziarstwo, mówiliśmy. Podaż większa niż popyt. No i sami widzicie! Ani barw, ani życia, ani nic. Wszędzie tylko zniszczenie!

„Jakże ten widok wstrząsnąłby Malim” — pomyślał Harun; bo rzeczywiście chyba właśnie Mali byłby najbardziej wstrząśnięty. Ale Pływający Ogrodnik wciąż nie dawał znaku życia. „Pewnie tak jak my leży omotany jakąś Siecią Nocy — domyślił się Harun. — Ileż bym dał, żeby ten stary sękacz znów sunął po wodzie równo z nami, przemawiając szorstko i z rzadka, ale miękko, kwiecistym głosem”.

Zatruta woda omywała boki Dudka Allego. Wtem chlusnęła wyżej, bo Sieć Nocy raptownie zatrzymano. Jeśli i Harun odruchowo poderwali nogi, żeby je uchronić przed bryzgami jadowitej cieczy; Wodnemu Dżumowi zsunął się z lewej stopy pięknie haftowany pantofelek z zadartym noskiem i wpadł do Oceanu; rozległ się syk-bzyk, bulgot-gulgot i zatruta woda w mgnieniu oka zżarła zgubę aż po zadarty nosek. Harun patrzył na to z podziwem i zgrozą.

— W tych stronach jad jest stężony jak silny kwas — powiedział. — Dudku, musisz być zrobiony z wyjątkowo odpornych materiałów. A ty, Jeśli, masz szczęście, że sam nie wpadłeś do wody.

— Z czego tu się cieszyć — ponuro rzekł Dudek Alle, jak zwykle nie ruszając dziobem. — Kto wie, co nas jeszcze czeka?

— Piękne dzięki — odparł Harun. — Znów mnie podniosłeś na duchu.

W rzeczywistości jednak bardzo się niepokoił o Malego. Przecież Pływający Ogrodnik stąpał po powierzchni tej stężonej trucizny. Co prawda twardy był z niego stwór, ale czy aż tak twardy, żeby wytrzymać zetknięcie z płynem o mocy potężnego kwasu? Harun wyobraził sobie potworną scenę: Mali z wolna tonął w falach Oceanu, a po chwili rozległ się syk-bzyk, bulgot-gulgot... Chłopiec jakoś się jednak otrząsnął. Nie była to pora na czarne myśli.

Z jeńców ściągnięto Sieć Nocy i Harun ujrzał, że znajdują się na czymś w rodzaju rozległej polany w dżungli chwastów. Nieopodal widniało coś, co wyglądało jak ściana nocy. „Tu pewnie zaczyna się Wiekuista Ciemność — pomyślał Harun. — Widocznie dotarliśmy na sam jej skraj”.

Na powierzchni Oceanu dryfowały resztki korzeni i łądyg, spalone i nadżarte przez jadowity kwas. Po Malim wciąż nie było śladu. Harun obawiał się najgorszego.

Dudka Allego otoczył oddział trzynastu Chupwalów, którzy natychmiast wymierzili w Jeslego i Haruna groźny oręż. Wszyscy mieli dziwnie opaczne oczy: źrenice białe, a nie czarne, tęczówki bladoszare, a nie kolorowe, i plamy czerni zamiast białek. Harun znał już ten rodzaj oczu, bo takie same miał Mudra, lecz ci akurat Chupwalowie wydawali się jaskrawym przeciwieństwem Cienistego Wojownika: sprawiali wrażenie cherlawych, zasmarkanych i w ogóle śliskich typków. Ubrani byli w czarne opończe z kapturami, ozdobione specjalnym herbem osobistej gwardii Herezjarchy Khattam-Shuda, czyli Godłem Zapieczętowanych Ust. „Wyglądają jak zgraja urzędników wybierających się na bal maskowy — pomyślał Harun. — Ale nie należy ich lekceważyć; niewątpliwie są groźni”.

Chupwalowie skupili się wokół Dudka Allego i zaczęli przyglądać się chłopcu z irytującą ciekawością. Dosiadali rosnących zwierząt karej maści. Wierzchowce te wyglądem przypominały konie morskie i wydawały się równie zdumione obecnością małego Ziemianina jak sami jeźdźcy.

— Gwoli ścisłości — oznajmił Dudek Alle — te konie to także maszyny. Ale czarny koń, jak wiadomo, jest nieobliczalny i nie należy mu ufać.

Harun nie słuchał.

Właśnie zauważył, że ściana nocy, którą dotychczas uważał za początek Wiekuistej Ciemności, to w istocie gigantyczny statek, olbrzymi jak arka, zakotwiczony na polanie w dżungli chwastów. „Więc to tam nas zawłoką — pojął nagle, czując, że serce w nim zamiera. — To na pewno statek flagowy Herezjarchy Khattam-Shuda”. Ale gdy otworzył usta, żeby podzielić się z Jeslim tym spostrzeżeniem, okazało się, że ze strachu zaschło mu w gardle, a z ust wydobywa się tylko dziwaczne krakanie:

— Arka — wychrypiął chłopiec, wskazując palcem statek. — Arkarka.

* * *

Trapy z poręczami biegły ukośnie w dół od burty Czarnego Statku. Chupwalowie doprowadzili do jednego z nich trójkę więźniów. Harun i Jesli musieli się pożegnać z Dudkiem Allem i rozpocząć długą wspinaczkę po trapie. W połowie drogi Harun usłyszał żalony okrzyk. Obejrzał się za siebie i zobaczył, że Dudek gwałtownie przed czymś się wzbrania, nie ruszając dziobem.

— Ale ale ale nie możecie mi go zabrać... nie, nie macie prawa... przecież to mój mózg! — wołał mechaniczny ptak.

Dwaj zakapturzeni Chupwalowie siedzieli mu na grzbiecie i odkręcali czubek głowy. Wyjęli ze środka metalową skrzyneczkę o lekkim połysku, sycząc z zadowolenia. Dudka zostawili na pastwę losu, a przedtem rozłączyli mu obwody, pozbawili go komórek pamięci i panelu dowodzenia. Wyglądał jak zepsuta zabawka. „Ach, Dudku! — pomyślał Harun. — Nie powinienem był drwić z tego,

że jesteś tylko maszyną. Tak mi przykro! Nigdy nie było na świecie lepszej ani dzielniejszej maszyny. Dopilnuję, żebyś odzyskał mózg. Zobaczysz”. Wiedział jednak, że jest to czcza obietnica, bo przecież sam był w opałach.

On i Jesli dalej pieli się po trapie. Wtem Dżinn, który szedł z tyłu, potknął się i o mało nie spadł. Chwycił chłopca za rękę — pewnie po to, żeby złapać równowagę. Harun poczuł, że tamten wciska mu między palce jakiś twardy przedmiocik. Zacisnął dłoń.

— Drobiażdżek na wszelki wypadek — szepnął Jesli. — Zawdzięczamy go Gmachowi D/SZ(n)W. Może ci się przyda.

Z przodu i z tyłu szli Chupwalowie.

— Co to takiego? — spytał Harun najciszej jak mógł.

— Odgryzasz koniuszek — wyszeptał Jesli — i na dwie minuty tryska potężny strumień światła. Takie urządzonko z oczywistych powodów nosi nazwę Gryżarki. Schowaj je pod językiem.

— A ty? — szeptem spytał chłopiec. — Masz drugie dla siebie?

Ale odpowiedzi nie było, więc Harun zrozumiał, że Wodny Dżinn oddał mu swoją jedyną Gryżarkę.

— Nie mogę jej przyjąć, to by było niesprawiedliwe — szepnął, lecz jeden z Chupwalów tak groźnie na niego syknął, że chłopiec zamilkł. On i Jesli pieli się więc dalej, zastanawiając się, jaki los gotuje im Herezjarcha.

Gdy mijali rząd iluminatorów, Harun wydał cichy okrzyk zdumienia, bo z otworów w burcie lała się ciemność, która pałała w ogólnym półmroku, tak jak pała światło padające wieczorem z okna. A więc Chupwalowie wynaleźli sztuczny mrok, który służył im podobnie jak innym ludziom sztuczne światło! Harun wyobraził sobie, że wewnątrz Czarnego Statku są żarówki i świetlówki — a raczej „mrokówki” — i z nich to wydobywa się ta niezwykła ciemność, żeby Chupwalowie o opacznych oczach, które ślepną w słońcu, lepiej widzieli (choć Harun niczego by w tych warunkach nie zobaczył). „Więc ciemność można włączać i wyłączać na zawołanie — zdumiał się chłopiec. — To dopiero wynalazek, słowo daję”.

Wreszcie dotarli na pokład.

Harun dopiero wtedy sobie uświadomił, jak niebywale wielki jest statek. W półmroku pokład zdawał się ciągnąć w nieskończoność; przynajmniej Harun nie sięgał wzrokiem ani do dziobu, ani do rufy.

— Musi być długi na kilometr, albo i więcej! — zawołał. Jeśli rzeczywiście tak było, to wszereż statek mierzył co najmniej pół kilometra.

— Ogrom, kolos, monstrum — ponuro przytaknął Jesli.

Na pokładzie ustawiono w szachownicę całe mnóstwo olbrzymich czarnych pojemników czy też kotłów, obsługiwanych przez brygady Chupwalów. Z każdego naczynia wybiegały liczne rury i przewody, a do jego ścian umocowane były drabinki. Przy wszystkich pojemnikach stały nieduże dźwigi, a z ich złowrogo

zaostrzonych haków zwisały wiadra. „Pewnie to właśnie w tych kotłach trzymają truciznę” — trafnie domyślił się Harun. Kotły rzeczywiście aż po brzegi wypełnione były jadami, od których ginął Ocean Opowieści — jadami w najbardziej stężonej, najczystszej postaci. „Ten statek to fabryka trucizny — pomyślał chłopiec i aż się wzdrygnął — znacznie gorszej niż ta, którą produkują nasze fabryki smutku”.

Potężny dźwig wznosił się nad statkiem niczym wysoki gmach. Zwisały z niego masywne łańcuchy, a ich końce mknęły w wodzie. Widocznie pod powierzchnią Oceanu wisało na nich coś niezwykle dużego i ciężkiego. Harun nie miał pojęcia, co by to mogło być.

Kiedy wspiął się po trapie, przede wszystkim uderzyło go to, że całe otoczenie jest „cieniste”. Choć statek był monstrualnie wielki, rozmiary i liczba kotłów przerażające, a w górze majaczył gigantyczny dźwig, Harunowi wciąż się wydawało, że jest to prowizorka, zjawisko niezupełnie trwałe i przekonujące, jak gdyby jakiś potężny czarnoksiężnik zbudował z cieni statek wraz z wszelkimi akcesoriami, nadając ceniom dotykalność, o jaką chłopiec nigdy ich nie podejrzewał. „Ale zbyt cienka to sprawa, żeby dało się ją ująć w słowach — powiedział sobie. — Statek-widmo? Łajba z cieni? Nie daj się zwariować”. Wrażenie było jednak przemożne i ani na chwilę go nie opuszczało. Popatrz, jak wyglądają krawędzie przedmiotów — mówił mu głos wewnętrzny. — Krawędzie kotłów z jadem, dźwigu i w ogóle wszystkiego na statku. Czy nie są trochę, powiedzmy, mętne? Przecież dokładnie tak samo wyglądają cienie; nawet jeśli mają ostre kontury, to w porównaniu z przedmiotami rzeczywistymi zawsze wydają się odrobinę rozmyte.

Co się tyczy Chupwalów, którzy wszyscy bez wyjątku należeli do Związku Zapieczętowanych Ust, to Harun nie mógł się oswoić z tym, jak strasznie pospolicie wyglądają ci najbardziej oddani słudzy Herezjarchy i jak monotonna przydzielono im pracę. Setki postaci odzianych w opończe Zapieczętowanych Ust krzątało się wokół bezmyślnych, nudnych robótek przy kotłach i dźwigach: Chupwalowie odczytywali dane z liczników, dokręcali śruby, włączali i wyłączali mieszadła, szorowali pokład. Trudno było sobie wyobrazić gorsze nudziarstwo; a jednak — wciąż od nowa musiał sobie uświadamiać Harun — te śliskie, cherlawe, zasmarowane, zakapturzone urzędasy uwijały się tak dlatego, że za cel stawiały sobie ni mniej, ni więcej, tylko zniszczenie Oceanu Strug Opowieści!

— Jakie to dziwne — rzekł Harun do Wodnego Dżinna — że największa potworność może sprawiać wrażenie czegoś tak normalnego i, co tu kryć, nudnego.

— On mówi, że to normalne — westchnął Jesli. — Chłopak ma szmergla, hopla, świra.

Prześladowcy popchnęli ich w stronę wielkiego luku i sprowadzili w dół po trapie, u podnóża którego mieściły się czarne wrota ozdobione znakiem Khattam-Shuda — symbolem Zapieczętowanych Ust. Wszystko to działo się w zupełnej

ciszy, zakłócałej tylko niesamowitym sykiem zastępującym Chupwalom mowę; kiedy jeńcy znaleźli się o metr od czarnych drzwi, zatrzymano ich i chwycono za ręce. Wrota się otwały. „Stało się” — pomyślał Harun.

Zza drzwi wyszedł wąty, cherlawy urzędasek, tak samo nędzny i śliski jak pozostali; tak samo, ale i nie tak samo, bo na jego widok Chupwalowie zaczęli się kłaniać i na wyścigi szurać nogami; owym mizernym indywiduum był bowiem nie kto inny, tylko osławiony Herezjarcha Bezabana, Khattam-Shud, Wielkie Straszydło we własnej osobie!

„Więc to on? To ma być on? — pomyślał Harun, lekko zawiedziony. — Ten nędzny facecik? Co za rozczarowanie”.

Tu jednak nastąpiła kolejna niespodzianka: Herezjarcha przemówił. Nie syczał jak jego pachołcy, nie chrypiał ani nie bulgotał jak Cienisty Wojownik, lecz mówił wyraźnie, choć stale na jednej nucie, tak monotownie, że nikt by nie zapamiętał tego głosu, gdyby nie należał on do potężnej i groźnej Osobistości.

— Szpiedzy — rzekł Khattam-Shud płaskim tonem. — Cóż za nudny melodramat. Wodny Dżinn z miasta Gup i nieco rzadszy okaz: młody osobnik, który przybywa od „tych z dołu”, jeśli się nie mylę.

— A więc na tym polega ta wasza milcząca heca — ze sporą dozą odwagi powiedział Jesli. — Właściwie to całkiem typowe, normalka, zwykła rzecz: Wielka Biurwa robi akurat to, czego innym zabrania. Zwolennicy pieczętują sobie wargi, a ona gada jak najęta.

Khattam-Shud udał, że nie słyszy. Harun wpatrywał się w niego, a zwłaszcza w kontur jego sylwetki, i w końcu się upewnił, że postać Herezjarchy ma tak samo mętny, niewyraźny zarys jak wszystko, co dotychczas widział na pokładzie Czarnego Statku, który słusznie wydał mu się cienisty. „To oczywiście — zadecydował. — Stoję przed Cieniem Herezjarchy, z którym Khattam-Shud nauczył się rozłączać. Przysłał tutaj swój Cień, a sam został w Cytadeli Chup”. Zapewne tam właśnie zmierzały w owej chwili wojska Gupców, a z nimi Raszid, ojciec Haruna.

Jeśli chłopiec trafnie się domyślił, że ma przed sobą uczyłowieczony cień, a nie człowieka, który stał się cieniem, to Khattam-Shud istotnie musiał władać potężną magią; nadał sobie bowiem postać tak dokładnie trójwymiarową, że widać było, jak rusza oczami. „Nigdy w życiu nie widziałem takiego cienia” — przyznał Harun; czuł coraz wyraźniej, że stoi oko w oko z Cienistym Sobowtórem Herezjarchy, przybyłym na Czarnym Statku do Starej Strefy.

Chupwala, który zabrał Dudkowi Allemu sztuczny mózg, wysunął się naprzód i z ukłonem wręczył zdobycz Khattam-Shudowi. Herezjarcha jął lekko podrzucać metalowy sześcianik, mrużąc:

— No, zaraz się dowiemy, na czym polegają te Działania Przez Swą Złożoność Niewy tłumaczalne. Już ja je wytłumaczę, jak tylko rozbierzemy tę skrzynkę na części. Nie ma obawy.

Harunowi mignęła myśl, od której zakręciło mu się w głowie. *Khattam-Shud* był do kogoś podobny. „Przecież ja go znam — z najwyższym zdumieniem pomyślał chłopiec. — Już go kiedyś spotkałem. To się wydaje niemożliwe, ale tak właśnie jest. Skądś go znam, i to bardzo dobrze”.

Herezjarcha podszedł do Haruna i spojrzał mu prosto w twarz.

— Co cię sprowadza tu do nas na górę? — spytał wciąż tym samym niezwykle płaskim tonem. — Pewnie pogoń za Opowieściami. — Wyraz „opowieści” wymówił tak, jakby to było najbrzydsze, najbardziej haniebne słowo w ludzkim języku. — No i popatrz, w co się przez nie wplątałeś — dodał. — Rozumiesz? Wszystko, co się zaczyna od opowieści, kończy się szpiegostwem, a to poważny zarzut, mój chłopcze, trudno o poważniejszy. Trzeba było stąpać obiema nogami po ziemi, ale ty wolałeś chodzić z głową w chmurach. Trzeba było trzymać się faktów, ale ty się nałykałeś opowieści. Trzeba było siedzieć w domu, ale ty się wybrałeś na księżyc. Opowieści czynią zamęt. Ocean Opowieści to Ocean Zamiętu. Wytlumacz mi, co komu po opowieściach, które nawet nie są prawdziwe?

— Znam cię — krzyknął Harun. — Ty i on to jedna i ta sama osoba. Nazywałeś się Sengupta, ukradłeś mi matkę, a tę grubą panią zostawiłeś samą. Jesteś zasmarkany, zapluty, nędzny, skąpy, lepki i śliski urzędas. Gdzie ją schowałeś? Może ją więzisz na tym statku! No, dalej! Oddaj mi ją.

Wodny Dżinn delikatnie przytrzymał go za ramiona. Harunem wstrząsał gniew i nie tylko gniew. Jeśli poczekał, aż chłopiec się uspokoi.

— Harunie, to nie ten facet — powiedział łagodnie. — Może i wygląda kubek w kubek tak samo, podobny do tamtego jak dwie krople wody, istny sobowtór; ale wierz mi, chłopcze, że stoisz przed *Khattam-Shudem*, Herezjarchą *Bezabana*.

Khattam-Shud zachowywał się jak typowy urzędnik: nic go nie wzruszało. Prawą ręką wciąż podrzucał roztargnionym gestem skrzynkę z mózgiem *Dudka*. Wreszcie przemówił tym samym monotonnym, usypiającym głosem, co zawsze.

— Opowieści wypaczyły umysł tego chłopca — oświadczył z powagą. — Śni na jawie i wygaduje bzdury. Niesforny, rozwydrzony dzieciaku. Czemu miałbym darzyć twoją matkę choćby najmniejszym zainteresowaniem? Opowieści sprawiły, że nie widzisz, kto naprawdę stoi przed tobą. Pod ich wpływem uwierzyłeś, że Osobistość tej miary co Herezjarcha *Khattam-Shud* powinna wyglądać... tak oto.

Harun i Jeśli krzyknęli ze strachu, kiedy *Khattam-Shud* zaczął zmieniać postać. Rósł na oczach przerażonych i zdumionych więźniów, aż ujrzeli, że ma sto jeden metrów wzrostu i sto jeden głów, a w każdej troje oczu i ognisty język; że setką rąk dzierży sto olbrzymich czarnych mieczy, a sto pierwszą podrzuca od niechcenia skrzynkę z mózgiem *Dudka Allego*... lecz po chwili *Khattam-Shud* westchnął z cicha i skurczył się, na powrót stając się urzędnikiem.

— Popisy i tyle — rzekł wzruszając ramionami. — Właśnie opowieści lubują się w takich pokazówkach, całkiem niepotrzebnych, a w dodatku nieskutecznych. Szpiedzy, szpiedzy — dodał z zadumą. — No cóż, musicie obejrzeć to, co wam

obejrzeć kazano. Chociaż z oczywistych powodów nie zdołacie złożyć raportu swoim mocodawcom.

Odwrócił się i chyłkiem ruszył w stronę czarnych wrót.

— Wprowadzić ich — rozkazał, po czym znikł. Uzbrojeni Chupwalowie otoczyli Haruna i Jesiego i pchnęli ich za próg. Jeńcy stanęli u szczytu szerokich czarnych schodów, które wiodły w dół, znikając w czarnej czeluści statku.

Rozdział 10.

Życzenie Haruna

Harun i Jesli stali u szczytu schodów. Wtem prysła absolutna ciemność płynąca z tysięcy „krokówek”, a zastąpił ją mętny półmrok. Khattam-Shud kazał sługom zrobić wielkie PSTRYK!, żeby jak na urągowisko odstłonić przed jeńcami cały bezmiar swej potęgi. Harun i Jesli nie musieli już iść po omacku. Zaczęli schodzić w głąb gigantycznego kadłuba. Mijani po drodze Chupwalowie wkładali ciemne okulary podobne do całkiem szykownych gogli, bo kiedy się nagle rozwidniło, zaczęli gorzej widzieć. „Teraz prezentują się jak urzędnicy przebrani za gwiazdorów rocka” — pomyślał Harun.

Zobaczył, że cała przestrzeń pod pokładem Czarnego Statku wygląda jak przegromna jaskinia, po której ścianach biegnie mnóstwo pomostów umieszczonych na siedmiu kondygnacjach, połączonych schodami i drabinkami; stało tam też pełno rozmaitych maszyn. I to jakich! „To maszyny Przez Swą Złożoność Nieopisywalne” — mruknął Jesli. Ach, jakże mieszały, a wieszadła wieszadły, turbiny turkotały, dźwigi dźwigały, jakież rozbrzmiewały zgiełk zgniatarek i zamęt zamrażarek! Khattam-Shud czekał na wysoko zawieszonym pomoście, niedbale przerzucając z ręki do ręki móżg Dudka Allego. Gdy Harun i Jesli (no i oczywiście strażnicy) do niego dołączyli, zaczął im wszystko beznamiętnie objaśniać.

Harun zmuszał się do słuchania, chociaż głos Herezjarchy tchnął taką nudą, że można było przy nim zasnąć w równe dziesięć sekund.

— Oto nasze Mieszalnie Jadów, czyli Jadaczki — mówił Khattam-Shud. — Musimy wytworzyć wiele rozmaitych trucizn, bo każdą opowieść z Oceanu niszczy się inaczej. Żeby zniszczyć opowieść radosną, należy ją zatruć smutkiem. Żeby zniszczyć utwór sceniczny, trzeba nadmiernie spowolnić akcję. Żeby zniszczyć kryminał, należy sprawić, że nawet najgłupsza publiczność z góry odgadnie, kto popełnił przestępstwo. Chcąc zniszczyć opowieść o miłości, trzeba ją przerobić na historię narodzin nienawiści. Chcąc zniszczyć tragedię, należy doprowadzić do tego, żeby budziła w odbiorcach przemożny śmiech.

— Chcąc zniszczyć Ocean Opowieści — mruknął Wodny Dżinn imieniem Jesli — należy go zaprawić Khattam-Shudem.

— Mów, co chcesz — odparł Herezjarcha. — Mów, póki masz czym.

Po tym wtręcie wrócił do swych przerażających objaśnień:

— Otóż stwierdziłem osobiście — rzekł — że do każdej opowieści przypisana jest antyopowieść. To znaczy każda opowieść, a zatem i każda Struga Opowieści, ma swój negatyw, więc jeśli opowieść zaprawi się antyopowieścią, wzajemnie się skasują i bęc! Koniec opowieści. Macie przed sobą jawny dowód, że znalazłem sposób syntetyzowania antyopowieści, czyli negatywów. Tak! Umiem je miksować na tym statku, w warunkach laboratoryjnych, produkując niezwykle skuteczną i skondensowaną truciznę, której nie oprze się żadna opowieść w tym waszym ulubionym Oceanie. I właśnie te jady kolejno do niego wlewamy. Widzieliście, jak stężona jest trucizna w kotłach — gęsta jak syrop. Musi być taka, bo upchnęliśmy w niej wszystkie negatywy. Stopniowo rozplyną się w nurtach Oceanu i każda antyopowieść odnajdzie swą ofiarę. Dzień w dzień syntetyzujemy i wlewamy do morza nowe jady! Dzień w dzień zabijamy nowe opowieści! Niedługo umrze cały Ocean. Będzie zimny i martwy. A kiedy jego powierzchnię zetnie czarny lód, uznam, że odniosłem zwycięstwo.

— Ale czemu właściwie nienawidzisz opowieści? — spytał Harun, nie panując już nad zdumieniem. — Przecież tak przyjemnie ich się słucha. . .

— Świat nie istnieje dla niczyjej przyjemności — odparł Khattam-Shud. — Świat istnieje po to, żeby nim Władac.

— Który świat? — zdołał spytać Harun.

— Twój, mój i każdy inny — padła odpowiedź. — Wszystkie istnieją po to, żeby nimi Władano. Tymczasem w każdej opowiastce, w każdej Strudze Oceanu kryje się osobny świat, baśniowa rzeczywistość, a ja nie mam nad nią żadnej Władzy. Teraz już wiesz.

Herezjarcha wskazał chłopcu zamrażarki, w których przechowywano trucizny, czyli antyopowieści. Pokazał mu też filtry usuwające z trucizn wszelkie brudy i zanieczyszczenia, żeby jady były stuprocentowo czyste, stuprocentowo zabójcze. Wyjaśnił też, czemu każda trucizna musi się odstać w kotle na pokładzie:

— Antyopowieści szlachetnieją jak dobre wino, jeśli da im się odetchnąć świeżym powietrzem, nim trafią do Oceanu.

Po jedenastu minutach tej gadaniny Harun przestał słuchać. Szedł za Khattam-Shudem i Jeslim po wysoko zawieszonym pomoście, aż wszyscy trzej dotarli tam, gdzie Chupwalowie montowali jakieś ogromne, zagadkowe elementy, które wyglądały, jakby je zrobiono z twardej czarnej gumy.

— Właśnie tutaj — powiedział Herezjarcha (a coś w jego głosie zwróciło uwagę Haruna, więc chłopiec nagle znów zaczął słuchać) — budujemy Korek.

— Jaki znowu Korek? — krzyknął Jesli, któremu raptem nasunął się przerażający domysł. — Nie chcesz chyba. . .

— Widzieliście ten wielki dźwig na pokładzie — wciąż tak samo monotonicznie rzekł Khattam-Shud. — Zauważyliście łańcuchy, których końce nikną w wodzie.

Otóż wisi na nich największy, najskuteczniejszy Korek, jaki kiedykolwiek skonstruowano. Nasi nurkowie montują go w szybkim tempie i powiem wam, moi mali szpiedzy, że jest już prawie gotowy, więc za kilka dni będziemy mogli zrobić z niego użytek. Zatkamy samą Krynice, Źródło Opowieści, które znajduje się na dnie Oceanu akurat pod statkiem. Póki jest otwarte, czyste, niezatrute, będą z niego tryskały coraz to nowe gejzery Wody Opowieści, a nasze dzieło pozostanie niedokończone. Ale kiedy zaszpuntujemy Krynice, Ocean straci wszelką odporność na moje antyopowieści i wkrótce nastąpi jego kres. A wtedy wy, Gupcy, uznacie zwycięstwo Bezabana, bo jakież będziecie mieli wyjście, Wodny Dżinnie?

— Nigdy go nie uznamy — rzekł Jesli, ale niezbyt przekonująco.

— Jakim cudem nurkom w zatrutej wodzie nie dzieje się nic złego? — spytał Harun. Na usta Khattam-Shuda wypełznął oschły uśmiezek.

— Znowu zacząłeś słuchać — powiedział Herezjarcha. — Rozumie się, że noszą odzież ochronną. O, właśnie w tej szafie trzymamy całe mnóstwo jadoodpornych kombinezonów.

Poprowadził ich dalej. Minąwszy strefę Korcienia, czyli montażu Korcka, stanęli przed największą maszyną na statku.

— Oto — rzekł Khattam-Shud, a w jego monotonnym, płaskim głosie nieomal zabrzmiała nutka dumy — nasz Generator.

— Do czego służy? — spytał Harun, którego nauki ściśle nigdy zbytnio nie pociągały.

— Jest to urządzenie, które drogą indukcji elektromagnetycznej przetwarza energię mechaniczną na elektryczną — wyjaśnił Khattam-Shud. — Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć.

Harun nie dał się zbić z tropu.

— Czyli właśnie to urządzenie dostarcza wam energii? — upewnił się.

— Trafieś w dziesiątkę — rzekł Herezjarcha. — Widzę, że na Ziemi nie całkiem jeszcze upadła edukacja.

W tym momencie stała się rzecz najzupełniej nieoczekiwana.

O kilka kroków od Khattam-Shuda przez otwarty iluminator zaczęły raptem wpełzać do wnętrza Czarnego Statku dziwaczne korzenne macki — bezkształtne kłębowisko, w którym tkwił jeden jedyny kwiat koloru lila. Harunowi z radości załomotało serce.

— M... — zaczął, lecz szybko ugryzł się w język.

Mali (o czym Harun później się dowiedział) uniknął niewoli, przemieniwszy się na powrót w kępę korzeni. Dryfując pomału dopłynął do Czarnego Statku i za pomocą przyssawek, w które wyposażone były jego macki, wdrapał się ni-by pnącze po burcie. Gdy w tak dramatyczny sposób wtargnął przez iluminator i w mgnieniu oka przybrał bardziej swojską postać Malego-Ogrodnika, Chupwalowie podnieśli alarm:

— Intruz! Uwaga! Intruz na pokładzie!

— Włączyć ciemność! — zaskrzeczał Khattam-Shud, w jednej chwili zrzucający maskę nijakości. Mali pomknął w stronę Generatora. Zanim włączono „krokówki”, dotarł do wielgachnej maszyny, wymknąwszy się całej zgrai Chupwalów, ci bowiem kiepsko widzieli w półmroku (choć przedtem włożyli te szykowne gogle). Pływający Ogrodnik w biegu dał susa wzwyż, w powietrzu rozsypał wszystkie swoje korzonki, macki oraz pędy i zarzucił je niby sieć na Generator, wnikając nimi w najdrobniejsze zakamarki maszyny.

Rozległa się cała seria huków i trzasków: przepalały się obwody elektryczne, pękały koła zębate, aż wreszcie Generator zdrzął i kompletnie odmówił posłuszeństwa. Cały statek natychmiast został pozbawiony prądu: mieszała przestała mieszać, wieszadła — wieszać, spawarki — spawać, stawiarki — stawiać, zamrażarki — mrozić, groźarki — grozić, zgładzarki — gładzić, jadaczki — jadzić. Wszystko stanęło!

— Brawo, Mali! — zawołał Harun. — Świetnie się spisaleś. Dobra robota, przyjacielu!

Chupwalowie hurmą rzucili się na Małego, szarpali Ogrodnika gołymi rękami, rąbali siekierami i mieczami, ale dla stwora odpornego na stężoną truciznę Khattam-Shuda było to tyle, co ukąszenia pcheł. Mali wisiał uczepony Generatora, póki się nie upewnił, że urządzenie jest unieszkodliwione i nie da się go szybko naprawić. A wtedy z kwiatu bzu, który zastępował mu usta, popłynęły słowa piosenki. Ogrodnik śpiewał chropawym głosem:

Z nieba siecze grad,
Wicher prosto w oczy tnie.
Wieśniak sieczkę siecze rad,
Lecz nikt nie rozsiecze mnie.

Rosą zboże kosić można,
A toporem rąbać pnie,
Ale żadna klinga groźna
Nie rozsiecze mnie.

„Dobra — powiedział sobie chłopiec, widząc, że Khattam-Shud bez reszty zaprzątnięty jest tym, co robi Pływający Ogrodnik. — Do dzieła, Harunie, Teraz twoja kolej, teraz albo nigdy”.

Wciąż trzymał schowany pod językiem „drobiażdżek na wszelki wypadek”, czyli Gryżarkę. Szybko wziął ją między zęby i odgryzł koniuszek.

Z ust trysnęło mu światło jasne jak słońce! Oślepieni Chupwalowie złamałi śluby milczenia: zaczęli wrzeszczeć i kłać, zasłaniając oczy. Gryżarka pałała takim blaskiem, że nawet Khattam-Shud zachwiał się na nogach.

Harun uwijał się jak nigdy w życiu. Wyjął z ust Gryżarkę i podniósł ją wysoko; światło popłynęło we wszystkie strony, rozjaśniając całe wnętrze kolosalnego

statku. „Ci Jajogłowcy z Gmachu D/SZ(n)W znają się na rzeczy” — pomyślał Harun, zadziwiony. Zerwał się jednak do biegu, bo czasu ubywało. Mijając Khattam-Shuda sięgnął wolną ręką i wyrwał mu z dłoni skrzyneczkę z mózgiem Dudka Allego. Biegł dalej, aż stanął przed szafą, w której Chupwalowie przechowywali kombinezony ochronne dla nurków. Tymczasem minęła pierwsza minuta.

Harun wepchnął skrzynkę z mózgiem Dudka do kieszeni nocnej koszuli i zaczął się wbijać w kombinezon. Gryżarkę położył tuż obok na balustradzie, żeby mieć wolne ręce.

— Jak to się w ogóle wkłada? — stęknął ze złością, bo kombinezon stawiał opór. (To, że Harun wciągał go na długą czerwoną koszulę w fioletowe łąty, też nie ułatwiało sprawy). Sekundy mijały.

Szamocząc się z kombinezonem chłopiec zdołał jednak zauważyć parę szczegółów: na przykład to, że Khattam-Shud własnoręcznie chwycił Jesliego za niebieskie wąsy. I to, że żaden z Chupwalów nie ma cienia! Wniosek mógł być tylko jeden: swoich najbardziej oddanych wyznawców ze Związku Zapieczętowanych Ust Khattam-Shud także nauczył sztuki oddzielania się od własnych cieni. „A więc wszystko tu jest cieniem — zrozumiał nagle Harun. — Statek, szajka spod znaku Zapieczętowanych Ust i nawet Khattam-Shud. Same Cienie, którym nadał Dotykliwość. Wszystko i wszyscy, z wyjątkiem Jesliego, Małego, Dudka Allego i mnie”.

Zauważył jeszcze jedno: gdy jasne światło Gryżarki wypełniło wnętrze kadłuba, Czarny Statek jakby zadrżał, stał się nieco mniej namacalny, bardziej cienisty; Chupwalowie także zadygotali, kontury ich postaci zmiękły, zaczęły tracić trzeci wymiar. . . „Gdyby wzeszło słońce, toby po prostu stopnieli — uświadomił sobie Harun. — Spłaszczyliby się i rozmyli jak cienie, którymi przecież są”.

Lecz ani jeden promyk słońca nie rozjaśniał mętnego półmroku; tymczasem sekundy mijały; dokładnie w tej samej chwili, gdy obiecane dwie minuty światła dobiegły końca, Harun zapiął kombinezon na suwak, włożył gogle i głową naprzód skoczył przez iluminator prosto do zatrutego Oceanu.

* * *

Kiedy wpadł do wody, ogarnęła go zupełna beznadzieja. „I co teraz poczniesz, Harunie? — zadał sobie pytanie. — Wrócisz wpływ do Miasta Gup?”

Bardzo długo opadał na dno, a im głębiej się zanurzał, tym czystsze i bardziej przejrzyste stawały się Strugi Opowieści.

Wtem Harun zobaczył Korek. Brygady Chupwalów nitowały kolejne elementy. Na szczęście nurkowie zaabsorbowani pracą nie zauważyli chłopca. . . Korek był mniej więcej rozmiarów stadionu piłkarskiego, kształtem zbliżony do owalu. Brzegi miał nieregularne, postrzępione, bo montowano go tak, żeby ściśle pasował

do Źródła Opowieści. Kontur Korka musiał więc dokładnie odpowiadać konturowi Krynicy.

Harun wciąż spadał... i wreszcie z najwyższym zdumieniem ujrzał samo Źródło.

Powiedzmy, że był to otwór, wyrwa albo krater w dnie Oceanu. Harun widział, jak z samego serca Kahani wypływa spieniony, pałający blaskiem strumień czystych, nieskalanych opowieści. Strug było tak wiele i w tylu kolorach, że gdy wszystkie naraz wylewały się ze Źródła, sprawiały wrażenie ogromnej podwodnej fontanny skrzącego się białego światła. Harun zrozumiał, że jeśli zdoła zapobiec temu, aby Źródło zatkało Korkiem, wszystko prędzej czy później samo się ułoży. Świeże Strugi Opowieści oczyszczą skażoną wodę, a plan Khattam-Shuda spali na panewce.

Uświadomił to sobie w chwili, gdy zanurkował najgłębiej jak potrafił; wkrótce potem znów zaczął się wznosić, powtarzając żarliwie: „Ach, gdybym mógł coś tu poradzić!”

W tej samej chwili na pozór przypadkiem zawadził ręką o własne udo i wyczuł w kieszeni nocnej koszuli coś twardego. „Dziwna sprawa — pomyślał. — Byłem pewien, że skrzynkę z mózgiem Dudka Allego schowałem do drugiej kieszeni”. I wtedy sobie przypomniał, co za przedmiot tam włożył tuż po wylądowaniu na Kahani, aby potem zupełnie o nim zapomnieć; nagle błysnęła mu myśl, że jednak nie jest całkiem bezradny.

* * *

Wyskoczył nad powierzchnię wody jak korek z butelki, zdjął gogle i zaczerpnął kilka haustów powietrza, uważając, żeby zatruta woda Oceanu nie ochlapała mu twarzy. Szczęśliwym trafem („a już najwyższy czas — pomyślał — żeby mi się trochę zaczęło szczęścić”) wynurzył się tuż obok okaleczonego Dudka, przycumowanego do trapu; tymczasem patrol, który Khattam-Shud wysłał za nim w pościg, właśnie zapuszczał się w dżungłę chwastów wyrąbanym w niej kanałem. Chupwalowie trzymali w rękach latarki z wkręconymi „krokówkami”, żeby lepiej widzieć, i przeczesywali chaszczę długimi promieniami absolutnej ciemności. „Dobra nasza — pomyślał Harun. — Mam nadzieję, że nieprędko przestaną tam szukać”. Wygramolił się z wody na trap, rozpiął suwak kombinezonu i wyjął skrzynkę z mózgiem Dudka Allego.

— Żaden ze mnie mechanik, Dudku — mruknął. — Ale spróbuję cię podłączyć.

Całe szczęście, że Chupwalowie nie przyśrubowali wieczka na głowie Dudka. Harun jak najostrożniej wspiął się Allemu na grzbiet, podniósł klapkę i zajrzał do środka.

W pustej puszczy mózgowej zobaczył trzy wolne końcówki. Szybko odnalazł odpowiadające im trzy gniazdzka w skrzynce z mózgiem. „Ale który kabel w które gniazdko? — zastanowił się. — Mniejsza o to. Nie mam nic do stracenia”. Z tą myślą wetknął wszystkie trzy wtyczki na chybił trafił.

Dudek Alle zaczął niepokojąco chichotać, kwakać i wydawać różne niesamowite odgłosy. Po chwili zaśpiewał dziwną piosenkę:

Musisz śpiewać w głąb, w głąb,
Aż zwabisz go w głębię.

„Zwariował, źle go podłączyłem” — z przerażeniem pomyślał chłopiec. — Cicho bądź, Dudku, bardzo cię proszę — powiedział.

— Patrz, patrz! Mysz. Tylko spokój! Wszystkiemu zaradzi ten kawałek smażonego sera — bełkotał Dudek Alle. — Żaden problem.

Harun czym prędzej odłączył wszystkie trzy kable i spróbował innej kombinacji. Tym razem Dudek Alle zaczął brykać i skakać jak dziki mustang, więc chłopiec znów wyszarpnął wtyczki z gniazdek, żeby nie wylądować w falach Oceanu. „Do trzech razy sztuka, mam nadzieję” — pomyślał i głęboko odetchnąwszy znów podłączył kable.

— Co się tak guzdrałeś? — spytał Alle swoim zwykłym tonem. — Wszystko w porządku. W drogę. Brrrrrrrrrr!

— Wolnego, Dudku — szepnął Harun. — Nie ruszaj się z miejsca. Udawaj, że dalej jesteś odmóżdżony. Mam tu jeszcze coś do załatwienia.

Sięgnął do drugiej kieszeni i wyjął kryształowy flakonik ze złotą zakrętką. Buteleczka do połowy napełniona była czarodziejskim złotym płynem. Harunowi wydawało się, że całe lata minęły, odkąd mu ją wręczył Wodny Dżinn. Naczynie zawierało Wodę Życzeń. „Im żarliwsze jest twoje życzenie, tym łatwiej się spełni” — powiedział chłopcu Jesli. „Weź się serio do roboty, to i Woda Życzeń serio cię potraktuje”.

— Może to potrwać dłużej niż jedenaście minut — szepnął Harun do Dudka — ale tym razem mi się uda. Patrz, co robię.

Zdjął złotą zakrętkę i wypił Wodę Życzeń do ostatniej kropli.

Cały świat przesłoniło mu światło, które spowiło go złotą chustą... „Niech księżyc Kahani znów zacznie się obracać — pomyślał Harun Khalifa, mocno zaciskając powieki i wkładając całe swoje jestestwo w to życzenie — żeby już nie był do połowy pogrążony w ciemności, a do połowy zalany światłem... Niech się natychmiast obróci, żeby Czarny Statek znalazł się w pełnym blasku słońca w zenicie”.

— To mi dopiero życzenie — z podziwem rzekł Dudek Alle. — Ciekawe, co weźmie górę: twoja siła woli czy Działania Przez Swą Zawilosc Niewytłumaczalne.

* * *

Mijały minuty: pierwsza, druga, trzecia, czwarta, piąta. Harun leżał jak długi na grzbiecie Dudka Allego, nieświadom upływu czasu, nieświadom wszystkiego oprócz swego życzenia. Tymczasem w dżungli chwastów Chupwalowie wysłani na patrol uznali, że szukają nie tam, gdzie trzeba, zawrócili więc w stronę Czarnego Statku. Z „krokówek” wkręconych w ich latarki były snopy gęstej ciemności, sondując półmrok. Tak się złożyło, że żadna z tych czarnych smug nie musnęła Dudka Allego. Minęły kolejne minuty: szósta, siódma, ósma, dziewiąta, dziesiąta.

Minęło jedenaście minut.

Harun wciąż leżał z zamkniętymi oczami, wyciągnięty na wznak, i skupiał się.

Wtem spoczął na nim snop ciemności padający z latarki któregoś zwiadowcy. Syki Chupwalów poniosły się jak piana po wodzie. Jeźdźcy pełnym galopem pomknęli na karych wierzchowcach w stronę Dudka Allego.

I wtedy nastąpił wielki wstrząs i cały Księżyc ruszył w płas, bo właśnie się spełniło życzenie Haruna Khalify.

Księżyc Kahani obrócił się, i to szybko, ponieważ chłopiec formułując życzenie wyraźnie zazaczył, że nie ma ani chwili do stracenia; słońce wzniosło się błyskawicznie i pikowało wzwyż po niebie, aż stanęło dokładnie w zenicie i tam już pozostało.

Gdyby Harun był wtedy w Mieście Gup, z przyjemnością zobaczyłby, jak się zdziwili Jajogłowcy z Gmachu D/SZ(n)W. Gigantyczne superkomputery i żyroskopy, które dotychczas wstrzymywały obroty Księżyca, żeby na jednej półkuli trwał Wieczny Dzień, na drugiej Wiekuista Ciemność, a między nimi ciągnęło się Pasma Zmierzchu, po prostu oszalały i w końcu rozpadły się w drobne kawałeczki.

— Nie znamy przyczyny tego zjawiska — zameldowali Sumowi skonsternowani Jajogłowcy — lecz kryje się za nim siła, której nie umiemy sobie nawet wyobrazić, nie mówiąc już o tym, żebyśmy ją mieli ujarzmić.

Ale Haruna nie było w Mieście Gup, gdy jego mieszkańcy z rozdziawionymi ustami wybiegli na ulice, bo oto po raz pierwszy od niepamiętnych czasów nad ich stolicą zapadła noc, a gwiazdy Drogi Mlecznej wypełniły niebo.

Chłopiec wciąż leżał na grzbiecie Dudka Allego, kiedy zaś otworzył oczy, ostre słońce prażyło fale Oceanu i Czarny Statek.

— Coś takiego! — powiedział. — Więc jednak to zrobiłem! Udało mi się!

— Ani przez chwilę w ciebie nie wątpiłem — rzekł Dudek Alle. — Siłą woli ruszyć z posad księżyc? Żaden problem, szefie, pomyślałem sobie.

Wokół nich zaczęły się dziać niezwykle rzeczy. Chupwalowie z patrolu mknęli na swych karych koniach morskich w stronę Haruna, wtem jednak zaczęli skrzeczeć i syczeć, bo ugodziły ich promienie słońca; po chwili sylwetki jeźdźców

i koni zatarły się i zaczęły topnieć, tonąc w zabójczych falach Oceanu, przestać się w zwykłe cienie, aż całkiem znikły.

— Patrz! — krzyknął Harun. — Patrz, co się dzieje ze statkiem!

Słońce unieszkodliwiło czarną magię Herezjarchy Khattam-Shuda. W jego blasku topniały cienie; nawet ogromny statek zaczął się rozpuszczać, tracić kształt niby góra lodów czekoladowych, które przez nieuwagę zostawiono na słońcu.

— Jesli! Mali! — zawołał Harun i chociaż Alle ostrzegwał, że to niebezpieczne, pobiegł po miękącym z minuty na minutę trapie na pokład, który falował, jakby ciężko dyszał.

* * *

Pokład był tak lepki i miękki, że szło się po nim jak po świeżo wylanej smo-
le albo po kleju. Chupwalowie wrzeszczeli i biegali tam i sam jak szaleni. Na
oczach Haruna rozpływali się w kałuże cienia i znikali, bo odkąd słońce unice-
stwiło czarnoksięską moc Khattam-Shuda, żaden cień nie mógł trwać samodziel-
nie. Herezjarchy, a właściwie jego Cienistego Sobowtóra, nigdzie nie było widać.

Z kotłów stojących na pokładzie ulatniała się trucizna; same kotły flaczały
i topniały jak masło kakaowe. Nawet olbrzymi dźwig, z którego na potężnych
łańcuchach zwisał Korek, przechylał się i kolebał w rażącym świetle dnia.

Wodny Dżinn i Pływający Ogrodnik dyndali nad dwoma kotłami z trucizną,
przewiązani w pasie linami i zawieszani na ramionach mniejszych dźwigów, które
stały przy jadaczkach. Zaledwie chłopiec ich spostrzegł, liny pękły, bo także uple-
cione były z cieni; Jesli i Mali wpadli do złowrogich kotłów, znikając Haranowi
z oczu. Chłopiec krzyknął boleśnie.

Ale słońce wyprażyło tymczasem truciznę do dna, a same kotły tak rozmięk-
czyły, że Jesli i Mali gołymi rękami wyrwali w ściankach wielkie dziury i bez
trudu przez nie przeszli. Kotły miały już konsystencję topionego sera, podobnie
zresztą jak cały pokład.

— Zjeżdżajmy stąd — powiedział Harun. Tamci dwaj ruszyli za nim po mięk-
jącym, gumiastym trapie; Jesli i Harun wskoczyli Dudkowi Allemu na grzbiet,
a Mali stanął na powierzchni wody.

— Zadanie wykonane! — radośnie zawołał chłopiec. — Dudku, cała naprzód!

— Brrrrrrmmmmmmmm! — zgodnie rzekł Dudek nie ruszając dziobem
i czym prędzej odbił od Czarnego Statku, kierując się w stronę kanału, który Mali
wyciął w dżungli chwastów; wtem rozległ się jakiś niezdrowy odgłos, z puszeki
mózgowej Dudka dobiegł śwąd spalenizny i mechaniczny ptak utknął w miejscu.

— Przepalił mu się bezpiecznik — stwierdził Jesli.

— Czyli jednak źle go podłączyłem — rzekł Harun, zdruzgotany. — A wyda-
wało mi się, że tak się świetnie spisałem. Zepsuł się raz na zawsze. Już po nim!

— Mechaniczny mózg ma tę wielką zaletę — pocieszył chłopca Jesli — że można go zreperować, wymienić mu części, a nawet wstawić na jego miejsce całkiem nowy egzemplarz. W Serwisie w Mieście Gup nigdy nie brak zapasowych mózgow. Gdyby nam się udało dotrzeć tam z Dudkiem, zaraz by wrócił do formy, stanął na nogi, złapał drugi oddech.

— Najpierw sami musielibyśmy gdzieś dotrzeć, obojętne gdzie — zauważył Harun. Dryfowali po wodach Starej Strefy, bez szans na jakąkolwiek pomoc. Chłopiec pomyślał, że po tym wszystkim, co ostatnio przeżyli, zasługują na lepszy los.

— Trochę was popcham — zaofiarował się Mali i właśnie zaczął spełniać obietnicę, gdy dało się słyszeć dziwnie smętne cmoknięcie i Czarny Statek Herezjarchy Khattam-Shuda stopniał do reszty. Niedokończony Korek spadł na dno Oceanu, ale nie wyrządził żadnej szkody: Krynica pozostała szeroko otwarta. Dalej będą z niej płynąć coraz to nowe opowieści, aż pewnego dnia Ocean całkiem się oczyści i nawet najstarsza legenda zacznie smakować, jakby dopiero co powstała.

* * *

Mali nie miał już sił popychać Dudka; padł mu na grzbiet, zupełnie wyczerpany. Zrobiło się późne popołudnie (księżyc Kahani wpadł tymczasem w równy, „normalny” rytm obrotów). Podróżnicy dryfowali po Oceanie w okolicy Bieguna Południowego, nie wiedząc, co począć.

Wtem woda tuż obok nich spieniła się i zabulgotała; Harun zobaczył z niezmierną ulgą, że wynurzają się z niej mnogie pyszczki Ryb Mnustych.

— Goopy! Bagha! — powitał je radośnie, a one odpowiedziały:

— Bądź spokojny! Nic się nie bój!

— Doholujemy was do brzegu!

— Dość już zdziałałeś! Rzuć nam lejce!

— Wdzięczne ci jesteśmy wielce!

Chwyciły pyszczkami lejce przymocowane do grzbietu Dudka Allego i wyholowały czwórkę przyjaciół ze Starej Strefy.

— Ciekawe, co się stało z Khattam-Shudem — powiedział Harun. Jesli z satysfakcją wzruszył ramionami.

— Jest skończony — rzekł. — Ręczę za to. Nie było dla niego ucieczki. Stopniał razem z całą resztą. Przeszedł do historii, koniec pieśni, można na nim postawić krzyżyk. Innymi słowy, *khattam-shud*.

— Pamiętaj, że to był tylko jego Cienisty Sobowtór — trzeźwo zauważył Harun. — „Prawdziwy” Herezjarcha pewnie walczy teraz z Generałem Kitabem i jego Stronnikami, z Mudrą, z moim ojcem, no i z Papłą.

„Ano właśnie, Papla — przyszła mu do głowy sekretna myśl. — Ciekawe, czy chociaż trochę za mną tęskniła?”

Dawne Pasma Zmierzchu kapało się w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. „Odtąd Kahani będzie rozsądnym księżycem — pomyślał Harun — o rozsądnych proporcjach między dniem a nocą”. Hen, na północnym wschodzie wybrzeże Krainy Chup po raz pierwszy od wielu stuleci stało w blasku wieczornej zorzy.

Rozdział 11.

Księżniczka Batcheat

Muszę wam teraz szybko opowiedzieć, co się wydarzyło, kiedy Harun był w Starej Strefie:

Zapewne pamiętacie, że Księżniczkę Batcheat, córkę Króla Cadasa, uwięziono w komnacie na ostatnim piętrze najwyższej wieży Cytadeli Chup. Ten wielgachny zamek, cały z czarnego lodu, majaczył nad Miastem Chup niczym gigantyczny pterodaktyl lub archeropteryks. Toteż właśnie w stronę Miasta Chup skierowała się Armia Gupców pod wodzą Generała Kitaba, Księcia Bok i Cienistego Wojownika imieniem Mudra.

Miasto Chup leżało w samym sercu krainy Wiekuistej Ciemności. Powietrze w tamtych stronach było tak zimne, że przymarzało ludziom do nosów, aż musieli sobie odłamywać sople. Właśnie dlatego tamtejsi Chupwalowie nosili ciepłe nanośniki w kształcie kulek, które nadawały im wygląd błaznów cyrkowych, tyle że były czarne.

Kiedy Stronnicy z Krainy Gup wmaszerowali w Ciemność, rozdano im podobne nanośniki, ale czerwone. „Ta wojna naprawdę zaczyna przypominać wojnę błaznów” — pomyślał gawędziarz Raszid, wkładając na nos czerwoną nasadkę. Książę Bolo wyraźnie czuł, że nanośnik uwłacza jego godności, lecz zmarznięty nochal z dyndającym soplem zhańbiłby go jeszcze bardziej. Okropnie więc się nadaśał, ale ostonił nos tak jak wszyscy.

Podobnie było z hełmami. Stronnikom z Krainy Gup wydano najdziwniejsze nakrycia głowy, jakie Raszid w życiu widział (wymyślił je Sum i Jajogłowcy z Gmachu D/SZ(n)W). Każdy hełm miał wzdłuż krawędzi obwódkę przypominającą wstążkę od kapelusza, która świeciła, kiedy ktoś go włożył. Stronnicy wyglądali więc jak hufiec aniołów albo świętych, bo każdy chodził w świetlistej aureoli. Wszystkie te aureole dawały w sumie dość kilowatów, żeby Gupcy zdołali dojrzeć przeciwników — nawet wśród Wiekuistej Ciemności; Chupwalów mógł ten blask trochę oślepić, i to pomimo szykownych gogli o ciemnych szklach.

„Oto prawdziwie nowoczesna wojna — zgryźliwie pomyślał Raszid. — Walczący nie będą się nawet dokładnie widzieć”.

Za Miastem Chup leżało pole bitwy — rozległa równina Bat-Mat-Karo z pagórkami na obu krańcach; dowódcy wrogich armii mogli rozbić na tych pagórkach namioty i śledzić przebieg walk. W namiocie stanowiącym kwatery główną Gupców do Generała Kitaba, Księcia Bola i Mudry dołączył gawędziarz Raszid (był niezbędny, bo tylko on rozumiał Język Gestów Cienistego Wojownika i mógł służyć za tłumacza) i oddział — czyli „Broszura” — Stronników, przydatnych jako łącznicy i wartownicy. Dowódcy Gupców wyglądali trochę głupawo, kiedy z czerwonymi kulkami na nosach zasiedli w namiocie do lekkiej kolacji, którą postanowili zjeść przed bitwą; w trakcie posiłku od strony obozu Chupwałów nadjechał emisariusz z białą flagą — niepozorny osobnik o powierzchowności urzędnika, ubrany w opanoczoną znaczoną Godłem Zapieczętowanych Ust.

— No i cóż, Chupwalo? — zuchowato-głupkowato zagadnął go Książę Bolo. — Z czym przybywasz? Ojej — dodał nieuprzejmie — ależ z ciebie zasmarkana, zapluta, lepka i śliska figura.

— Do stu tysięcy beczek kartaczy — zahuczał Generał Kitab. — Bolo, nie tak należy się zwracać do emisariusza, gdy przybywa z białą flagą.

Sam emisariusz odpowiedział wrednym uśmiechem, który miał znaczyć, że jest mu wszystko jedno, i przemówił:

— Wielki Herezjarcha Khattam-Shud udzielił mi specjalnej dyspensy, zawieszając mój ślub milczenia, żebym mógł przekazać niniejsze posłanie — rzekł cicho, a właściwie zasyczał. — Herezjarcha pozdrawia was i ostrzega, że bezprawnie depczecie świętą ziemię Krainy Chup. Nie będzie z wami pertraktował ani nie odda wam Batcheat, tej wścibskiej szpiegówki. A jaka z niej gaduła — dodał wyraźnie od siebie. — Zadręcza nas tymi swoimi piosenkami, po prostu uszy wiedznią! A ten jej nochał, te zębiska. . .

— Nie ma potrzeby się nad tym rozwodzić — przerwał mu Generał Kitab. — Do kroćset! Nie ciekawią nas twoje poglądy. Dokończ swoje przekłete poselstwo.

Emisariusz Chupwałów odchrząknął i rzekł:

— Khattam-Shud ostrzega zatem, że jeśli się natychmiast nie wycofacie, za ten bezprawny najazd czeka was zagłada; a Bolo, Książę Krainy Gup, zostanie przywiedziony w łańcuchach do Cytadeli, żeby mógł zobaczyć na własne oczy, jak Batcheat, córce Gadasa, pieczętuje się tę jej rozmiakotaną paszczkę.

— Łotrze, łajdaku, nędzniku, draniu, nicponiu! — zakrzyknął Książę Bolo. — Warto by obciąć ci uszy, kazać je przyprawić czosnkiem, usmażyć na maśle i rzucić psom!

— Nim jednak poniesiecie całkowitą klęskę — ciągnął emisariusz Chupwałów, nie zwróciwszy najmniejszej uwagi na obelgi Bola — mam rozkaz zabawić was przez chwilę, za waszym pozwoleniem. Jestem, wyznam nieskromnie, najlepszym żonglerem w Mieście Chup; kazano mi popisać się przed wami tym kunsztem, jeżeli sobie zażyczycie.

Papla, która stała za krzesłem Księcia Bola, wtrąciła gorączkowo:

— Nie wierzcie mu. To podstęp. . .

Generał Kitab uwielbiał dyskusje, gotów był więc omówić i tę ewentualność, ale Bolo po królewsku machnął ręką i zawołał:

— Milcz, Stronniku! Kodeks rycerski nakazuje nam wyrazić zgodę! — po czym zwracając się do emisariusza Chupwałów dodał najbardziej wyniosłym tonem, na jaki umiał się zdobyć:

— Raczmy popatrzeć, jak żonglujesz.

Emisariusz zaczął popis. Z czeluści swej opończy wydobyl oszalamiające mnóstwo rozmaitych przedmiotów — hebanowe kule, kręgle, figurki z jadeitu, porcelanowe filiżanki, żywe żółwie, dymiące papierosy, kapelusze — i cisnął je w powietrze, zataczając nimi hipnotyzujące pętle i wiry. Im szybciej żonglował, tym bardziej złożone kreślił figury; jego kunszt tak oczarował widzów, że tylko jedna osoba w namiocie zorientowała się, gdy do fruwającej kawalkady żongler dodał kolejny przedmiot: ciężkie prostokątne pudełeczko, z którego wystawał koniec płonącego lontu.

— Na miłość boską, może byście trochę uważali, co?! — wrzasnęła Papla. Skoczyła przed siebie i przewróciła na bok Księcia Bok wraz z krzesłem. — On ma odbezpieczoną bombę, zaraz będzie wybuch!

Dwoma susami dopadła emisariusza Chupwałów, wyteżyła wzrok, zmobilizowała cały swój talent żonglerski i w końcu udało jej się wyłowić bombę z roztańczonej karuzeli rekwizytów. Inni Stronnicy schwycili Chupwałę, a figurki, filiżanki i żółwie runęły na ziemię. . . Papla nie tracąc czasu popędziła co sił w nogach do urwiska, którym kończyło się wzgórze dowódców i cisnęła bombę w dół. Bomba wybuchła, przeistaczając się w ogromną (ale już nieszkodliwą) kulę czarnych płomieni.

Papli spadł z głowy hełm. Długie włosy spłynęły jej kaskadą na ramiona. Nie miała już nic do ukrycia.

Bolo, Generał, Mudra i Raszid wybiegli z namiotu, kiedy usłyszeli wybuch. Papla była okropnie zdyszana, ale uśmiechała się radośnie.

— No, zdążyliśmy w samą porę — rzekła. — Co za ścierwo z tego Chupwali. Gotów był popełnić samobójstwo, wylecieć razem z nami w powietrze. A nie mówiłem, że ten numer z żonglerką to podstęp?

Książę Bolo nie lubił, kiedy jego Stronnicy używali wyrażenia „a nie mówiłem?”, toteż warknął:

— Cóż widzę, Paplo? Jesteś dziewczyną?

— Więc wasza wysokość jednak zauważyła — odparła Papla. — Czyli nie mam po co dalej się kryć.

— Wyprowadziłaś nas w pole — rzekł Bolo, rumieniąc się. — Mnie, mnie samego wyprowadziłaś w pole.

Papla była oburzona jego niewdzięcznością.

— Wasza wysokość daruje, ale wyprowadzić ją w pole to żadna sztuka — zawołała. — Udaje się to żonglerom, więc czemu nie dziewczynie?

Twarz Bolą przybrała kolor czerwonego nanośnika.

— Zwalniam cię ze służby! — ryknął co sił w płucach.

— Bolo, tam do licha... — zaczął Generał Kitab.

— O, nie, szefie, nikt mnie tu nie będzie zwalniał! — krzyknęła z kolei Papla. — Sama wymawiam.

Cienisty Wojownik imieniem Mudra od początku przyglądał się tej scenie, a z jego zielonej twarzy nie sposób było cokolwiek wyczytać. Teraz jednak zaczął ruszać rękami i przybierać wymowne pozy, a mięśnie twarzy jęły mu drgać i falować. Raszid tak oto przetłumaczył tę pantomimę:

— Nie wolno się kłócić tuż przed bitwą. Jeśli Księżę Bolo nie potrzebuje już tak dzielnego Stronnika, to może panna Papla zechciałaby przejść do mnie na służbę?

Usłyszawszy te słowa Księżę Bolo zrobił minę zgnębną i zawstydzoną, za to Papla — wyjątkowo radosną.

* * *

No i wreszcie doszło do bitwy.

Obserwując działania wojenne ze wzgórza, na którym mieściła się kwatera główna Gupców, Raszid Khalifa początkowo się bał, że Stronnicy zostaną sromotnie pobici. „Choć może w ich przypadku należałoby raczej powiedzieć przeobieni na makulaturę albo spaleni” — pomyślał. Sam się zdumiał, że raptem naszły go tak okrutne myśli. „Widocznie na wojnie ludzie stają się gruboskórni” — wytłumaczył sobie.

Czarnonosi żołnierze Chupwalów, nad których hufcami złowrogie milczenie wisiało niczym mgła, wyglądali tak przerażająco, że ich porażki w nadchodzącej bitwie wręcz nie sposób było sobie wyobrazić. Tymczasem Gupcy dalej spierali się o najdrobniejsze szczegóły. Każdy rozkaz wysłany z kwatery głównej należało dokładnie przedyskutować, rozważając wszelkie za i przeciw, nawet jeśli pochodził od samego Generała Kitaba. „Jak w ogóle można stanąć do bitwy, kiedy wszyscy tak trajkoczą?” — zastanawiał się oszołomiony gawędziarz.

Wtem jednak wojska ruszyły i Raszid stwierdził z wielkim zdumieniem, że Chupwalowie nie dotrzymują pola Gupcom. Stronnicy wszystko gruntownie przedyskutowali i teraz walczyli zajadle, w zwartym szyku, w potrzebie spiesząc z pomocą towarzyszom broni. Sprawiali wrażenie armii zjednoczonej wspólnym celem, bo wszystkie te jawne debaty i spory dały im silne poczucie braterstwa. Natomiast wojsko Chupwalów okazało się niezgraną hałastrą. Tak jak przewidział Mudra, wielu żołnierzy musiało walczyć z własnymi cieniami, które ich zdradziły! W dodatku śluby milczenia i nawyk skrytości wyrobiły w nich wzajemną

podejrzliwość i nieufność. Nie dowierzali też swoim dowódcom. Skutek był taki, że Chupwalowie zamiast walczyć ramię w ramię dopuszczali się wiarołomstwa, dźgali w plecy towarzyszy broni, buntowali się, kryli i dezercerowali... i wreszcie po najkrótszym starciu, jakie można sobie wyobrazić, zwyczajnie cisnęli broń na ziemię i uciekli.

* * *

Po zwycięstwie pod Bat-Mat-Karo armia Krainy Gup, czyli „Biblioteka”, triumfalnie wkroczyła do Miasta Chup. Ujrawszy Mudrę wielu Chupwalów przeszło na stronę zwycięzców. Miejskowe panny w czarnych nanośnikach wyległy na skute lodem ulice i girlandami czarnych przebiśniegów zwieńczyły Gupców, którzy wciąż jeszcze mieli czerwone nanośniki, a na głowach aureole; całowały ich i nazywały „Wybawcami Krainy Chup”.

Papla, której bujnych włosów nie skrywał aksamitny beret ani hełm z aureolą, zwróciła na siebie uwagę kilku młodzieńców z Miasta Chup. Nie oddalała się jednak na krok od Mudry, podobnie zresztą jak Raszyd Khalifa; oboje co chwila przyłapywali się na tym, że krążą myślami wokół osoby Haruna. Gdzie się chłopiec podziewa? Czy nic mu nie grozi? Kiedy wróci?

Książę Bolo, który na roztańczonym mechanicznym rumaku przewodził marszerującym oddziałom, zaczął wykrzykiwać po swojemu, czyli zuchowato-głupkowato:

— Gdzie jesteś, Khattam-Shudzie? Wyjdź z ukrycia; twoi słudzy zostali pokonani, a teraz kolej na ciebie! Batcheat, niczego się nie lękaj; Bolo przed tobą klęka! Gdzie jesteś, Batcheat, moja złota, moja ukochana? Batcheat, Batcheat jedyna!

— Jakbyś się na chwilę uciszył, to zaraz byś się dowiedział, gdzie na ciebie czeka ta twoja Batcheat — krzyknął jakiś głos wśród tłumu Chupwalów, którzy wylegali na ulice, żeby powitać Gupców. (Wielu miejscowych zaczęło łamać Regułę Milczenia, wznosząc radosne okrzyki i w ogóle hałasując).

— Właśnie, słuchaj uchem, a nie brzuchem — przytaknęła jakaś kobieta. — Nic nie słyszysz? Te ryki doprowadzają nas do szału.

— To ona śpiewa? — zawołał Książę Bolo, przykładając do ucha stuloną dłoń. — Moja Batcheat śpiewa? Skoro tak, uciszcie się, przyjaciele, i wsłuchajcie w jej pieśń.

Podniósł rękę. Defilada Gupców stanęła w miejscu. Od strony Cytadeli słychać było pieśni miłosne śpiewane kobiecym głosem, ale tak okropnym, że Raszyd Khalifa nigdy w życiu nie słyszał gorszego. „Jeśli to Batcheat tak się wydziera — pomyślał, nie śmiać głośno tego powiedzieć — to już rozumiem, czemu Herezjarcha chce raz na zawsze ją uciszyć”.

Oooo, śpiewam o moim Bolu,
Na nic więcej nie mam czasu

— śpiewała Batcheat, a w wystawach sklepowych pękały szyby. „Jestem pewien, że znam tę piosenkę, ale słowa powinny chyba być inne” — dziwił się Raszyd.

Bolo to chłopak mój,
kocham się w nim na zabój

— śpiewała Batcheat, a w tłumie rozlegały się błagalne okrzyki:
— Dosyć! Już dosyć!

Raszyd zmarszczył brwi i pokręcił głową: „Owszem — pomyślał — brzmi to całkiem swojsko, chociaż niezupełnie tak, jak powinno”.

Nie chce grać w polo,
Nie tańczy solo,
Ale kocham go szczerze.
Nasza miłość wzbierze,
Gdy serce mu złożę w ofierze

— śpiewała Batcheat, a Księżę Bolo wołał:
— Pięknie! Ach, jak pięknie! — na co tłum Chupwałów odpowiadał:
— Brrrr! Litości, niech ktoś ją uciszy.

Nie ma na imię Tolo,
Zęby często go bołą,
Lecz kocham go z całej duszy.
Przejęty rolę
Odda się swawolom,
Gdy miłość serce me skruszy

— śpiewała Batcheat, a Księżę Bolo harcując na swoim rumaku tak się zachwycał, że prawie dostawał zawrotu głowy.

— Słuchajcie, słuchajcie — wołał z uniesieniem. — Czy to w ogóle ludzki głos?

— Chyba nie — odkrzyknął ktoś z tłumu. — Ludzkiego głosu ani trochę nie przypomina.

Księcia Bołą okropnie to rozsierdziło.

— Ci ludzie nie potrafią, docenić nowoczesnego śpiewu — rzekł do Generała Kitaba i do Mudry. — Myślę więc, że powinniśmy natychmiast przypuścić szturm do Cytadeli, jeśli nie macie panowie nic przeciwko temu.

I tu zdarzył się cud.

Ziemia zadrżała pod ludzkimi stopami: raz, drugi i trzeci. Domy Miasta Chup zadygotały; wielu Chupwalów (a także Gupców) krzyknęło ze zgrozy. Książę Bolo spadł z konia.

— Ziemia drży, ziemia drży! — wołano. Ale nie było to zwykłe trzęsienie ziemi. To cały księżyc Kahani chwyciły wstrząsy, aż ruszył w płąsy, obracając się wokół własnej osi...

— Spójrzcie w niebo! — wołano. — Patrzcie, co się dzieje na horyzoncie! ... ku słońcu.

Wschodziło ono nad Cytadelą i nad całym Miastem Chup. Wznosiło się błyskawicznie, aż stanęło w zenicie i tam już pozostało, wściekle pałając żarem południa. Wielu Chupwalów, a wśród nich Mudra, wyjęło z kieszeni całkiem sztywne gogle o ciemnych szklach.

Wzeszło słońce! Rozdarło chmury milczenia i mroku, które czarnoksiężska moc Khatam-Shuda zawiesiła nad Cytadelą. Fortecy z czarnego lodu zadało śmiertelną ranę. Zamki u bram Cytadeli stopniały. Książę Bolo z obnażonym mieczem w ręku wgalopował przez otwartą bramę, a za nim Mudra i Stronnicy w sile kilku Rozdziałów.

— Batcheat! — wołał Bolo, nacierając z impetem. Jego koń zarżał, słysząc znajome imię.

— Bolo! — dobiegła z daleka odpowiedź.

Książę zeskoczył z konia i wraz z Mudrą pognał schodami na górę, potem przez dziedzińce i znowu po schodach, a kolumny, na których wspierała się Cytadela Khatam-Shuda, chwiały się tymczasem i gięły, zmiękczone słonecznym żarem. Zapadały się łuki, topniały kopuły. Słudzy Herezjarchy, pozbawieni cieni członkowie Związku Zapieczętowanych Ust, biegali na oślep tędy i owędy, wpadając na ściany, zderzając się i przewracając wśród przeraźliwych wrzasków, bo strach kazał im zapomnieć o Regule Milczenia.

W tej właśnie chwili Khatam-Shud został ostatecznie unicestwiony. Bolo i Cienisty Wojownik biegli wielkimi susami w głąb topniejącej Cytadeli. Książę raz po raz wykrzykiwał imię ukochanej, aż od jego okrzyków runęły mury i wieże. I kiedy już zaczęli wątpić, że ją wyratują, Księżniczka Batcheat wyłoniła się skądś razem z tym swoim nochalem (w czarnym nanośniku a la Chupwala) i zębiskami... ale nie warto się nad tym rozwodzić. Dość powiedzieć, że była to Batcheat we własnej osobie, a za nią podążały dworki; wszystkie razem zjeżdżały ku rycerzom po poręczy wspaniałych schodów, których stopnie już się rozpuściły. Bolo czekał; Batcheat prosto z poręczy rzuciła mu się w ramiona. Zatonął w tył, ale ustał na nogach.

Nagle powietrze wypełnił straszliwy łoskot, jakby potworne sieknięcie. Batcheat i jej dworki oraz Bolo i Mudra czym prędzej pobiegli na dół, przemierzając grząskie dziedzińce i gąbczaste schody. Wtem obejrzel się za siebie i zobaczyli,

że hen, na szczycie Cytadeli chwieje się olbrzymia statua z lodu, gigantyczny bożek, uśmiechnięty, zębaty Bezaban bez języka. Kolos raz jeszcze zatoczył się jak pijany i runął w dół.

Było to tak, jakby waliła się góra. Wszystko, co jeszcze ocalało z komnat i dziedzińców Cytadeli Chup, padający Bezaban zgniół na miazgę. Gdy pękł mu kark, wielgachna głowa skacząc jak piłka z tarasu na taras poturlała się w stronę dolnego dziedzińca, gdzie Bolo i Mudra w towarzystwie dam stali u bram Cytadeli, przyglądając się tej scenie z mieszaniną fascynacji i grozy. Za ich plecami zgromadzili się Raszid Khalifa, Generał Kitab oraz wielka ciżba Gupców i Chupwałów.

Olbrzymia głowa spadała coraz niżej; ułamał jej się nos i uszy, wypadły zęby, a ona wciąż się toczyła. Wtem Raszid Khalifa wskazał palcem w jej stronę i zawołał:

— Patrzcie!

A w sekundę później:

— Uważaj!

Zobaczył, że na najniższy dziedziniec Cytadeli wykrada się chyłkiem niepozorna postać w opończy: cherlawy, szmatławy, zasmarkany, zapluty, nędzny, zrzedny, wątły, skąpy, lepki i śliski urzędas, pozbawiony cienia, za to sam przypominający raczej cień niż człowieka. Był to Herezjar-cha Khatam-Shud, który próbował salwować się ucieczką. Za późno usłyszał okrzyk Raszida; z potępieniem wrzaskiem obrócił się na pięcie — tylko po to, żeby ujrzeć ogromną głowę Kolosa Bezabana, nim walnęła go prosto w nos i starła na proch. Nie został po nim najmniejszy ślad. Głowa zaś legła na dziedzińcu i uśmiechając się bezzębną paszczką dalej topniała.

* * *

No i nastał pokój.

Nowy rząd Krainy Chup z Mudrą na czele obwieścił, że pragnie trwałego pokoju z Krainą Gup, tak aby Pasma Zmierzchu ani Ściany Mocy nie dzieliły już Milczenia od Mowy, Nocy od Dnia.

Mudra poprosił pannę Papłę, żeby z nim została, bo dzięki temu mogłaby opanować Abhinaje, czyli Język Gestów, i pośredniczyć w rozmowach między władzami krain Gup i Chup. Papla z ochotą przyjęła zaproszenie.

Tymczasem we wszystkie strony rozesłano Dżinnów Wodnych na mechanicznych ptakach, żeby uważnie zbadali powierzchnię Oceanu. Zwiadowcy wypatryli nieczynnego Dudka, którego holowały na północ Goopy i Bagha; na jego grzbiecie leżeli trzej wyczerpani, lecz szczęśliwi „szpiedzy”.

Harun wrócił do ojca — i do Papli, która była przy nim dziwnie skrępowana i onieśmielona, tak samo zresztą jak on przy niej. Spotkali się na wybrzeżu Krainy Chup, w dawnym Paśmie Zmierzchu, skąd wielce zadowoleni wyruszyli do Miasta Gup, należało bowiem poczynić przygotowania do ślubu.

Gdy dotarli na miejsce, Marszałek Magła ogłosił kilka awansów: Jesli został mianowany Naczelnikiem Wodnych Dzinnów; Mali — Szefem Pływających Ogrodników; Goopy i Bagha — Przywódcami Ryb Mnustych. Całej czwórce powierzono przeprowadzenie Wielkich Porządków; należało natychmiast oczyścić cały Ocean Strug Opowieści, wzdłuż i w szerz, a przede wszystkim Starą Strefę, żeby pradawne legendy jak najszybciej odzyskały świeży posmak.

Raszidowi Khalifie przywrócono abonament Wodoleja i przyznano najwyższe odznaczenie Krainy Gup — Order Otwartych Ust — w dowód uznania za niezwykle zasługi, jakie położył w czasie wojny. Nowo mianowany Naczelnik Wodnych Dzinnów zgodził się osobiście podłączyć mu kran z Wodą Opowieści.

Dudek Alle szybko wrócił do siebie; wystarczyło, że w Serwisie zainstalowano mu nowy mózg.

A Księżniczka Batcheat? W niewoli nie stało jej się nic złego, tylko ze strachu przed zapieczętowaniem ust raz na zawsze znienawidziła wszelkie pieczęcie, a nawet stemple na znaczkach pocztowych. W dniu ślubu ona i Księżę Bolo sprawiali wrażenie niebывale szczęśliwych i zakochanych, gdy stali na pałacowym balkonie i przyjaźnie machali zgromadzonemu w dole tłumowi Gupców i przyjezdnych Chupwalów, wszyscy postanowili więc zapomnieć, jak niewiarygodnym idiotyzmem było to, że Batcheat dała się pojmać; puścili także w niepamięć całą serię głupstw, które Bolo popełnił w czasie wojny.

— No bo tak naprawdę — szepnął do Haruna Jesli, czyli Naczelnik Wodnych Dzinnów, gdy obaj stali na balkonie o kilka kroków od szczęśliwej pary — to my tym naszym koronowanym głowom o niczym ważnym nie pozwalamy decydować.

— Odnieśliśmy walne zwycięstwo — mówił do tłumu Król Gadas. — Jest to zwycięstwo Oceanu nad jego Wrogiem, ale także zwycięstwo obecnej Przyjaźni i Szczerości nad dawną Wrogością i Nieufnością między Chupem a Gupem. Nawiązał się dialog; żeby go uczcić, a zarazem ufetować nowożeńców, niech wszyscy zaśpiewają.

— A jeszcze lepiej — zaproponował Bolo — niech Batcheat uraczy nas pieśnią. Niechaj popłynie jej złoty głos!

Nastąpiła chwila ciszy, po czym tłum ryknął jak jeden mąż:

— Nie, tylko nie to! Oszczędźcie nasze uszy!

Batcheat i Księżę Bolo zrobili tak urażone miny, że Król Gadas musiał załagodzić sytuację.

— Poddani chcą przez to powiedzieć, że w dniu twojego ślubu sami ci zaśpiewają, żeby pokazać, jak bardzo cię kochają — oświadczył.

Właściwie nie była to prawda, ale młodej parze trochę się poprawiły humory; niebawem po całym placu rozniosła się chóralna pieśń. Batcheat ani razu nie otworzyła ust i wszyscy byli ogromnie zadowoleni.

Kiedy Harun wraz z królewskim orszakiem schodził z balkonu, podszedł do niego jakiś Jajogłowiec.

— Masz się natychmiast zameldować w Gmachu D/SZ(n)W — rzekł. — Sum chce porozmawiać z tym, kto rozmyślnie zniszczył tyle niezastąpionych urzędzeń.

— Ale ja to zrobiłem w imię słusznej sprawy — zaprotestował Harun. Jajogłowiec wzruszył ramionami.

— Nic o tym nie wiem — powiedział na odchodnym. — Będziesz musiał to udowodnić, a Sum zdecyduje, czy istotnie tak było.

Rozdział 12.

Sprawka Suma?

— Potrzeba mi świadków — stwierdził Harun. — Sum zrozumie, dlaczego zniszczyłem jego urządzenie, kiedy Jesli i Mali mu wytłumaczą, czemu musiałem użyć Wody Życzeń.

W królewskim pałacu pomału się rozkręcała szalona zabawa, minęło więc kilka minut, nim w ciżbie zajętej przekłuwaniem balonów, rzucaniem garściami ryżu i serpentynami chłopiec odnalazł Naczelnika Wodnych Dżinnów. W końcu jednak wypatrzył Jesliego, który w nieco przekrzywionym turbanie tańczył jak szalony z młodą Dżinnką. Harun musiał przekrzyczeć muzykę i ogólny harmider, a kiedy wreszcie mu się to udało, zobaczył ze zgrozą, że Jesli sznuruje wargi i kręci głową na znak odmowy.

— Bardzo mi przykro — powiedział Naczelnik Wodnych Dżinnów. — Dyskutować z Sumem? Szkoda zachodu, ja się na to nie piszę, przegrana sprawa.

— Ależ Jesli, musisz mi pomóc! — rzekł Harun błagalnym tonem. — Ktoś musi mu przecież wyjaśnić!

— Wyjaśnianie nie należy do moich mocnych stron — odkrzyknął Jesli. — To zupełnie nie moja działka, jestem w tym do niczego, dwie lewe rące.

Harun z rozpacz i gniewu wznosił oczy do nieba i poszedł szukać Malego. Znalazł go, kiedy dotarł nad Lagunę, gdzie pod wodą i na wodzie odbywało się drugie wesele, urządzone z myślą o tych Gupcach, którzy tak jak Ryby Mnuste i Pływający Ogrodnicy unikali stałego lądu. Malego nietrudno było zauważyć: w kapeluszu z różnych zielsk zawadiacko włożonym na bakier stał na grzbiecie Dudka Allego i budząc zachwyty publiczności, czyli Ryb i Ogródników, śpiewał z wielkim zapałem następującą piosenkę:

To, co czarne, musi stopnieć
Kiedy słońce żarem tchnie,
Kiedy praży najokropniej.
Lecz nic nie roztopi mnie!

— Mali! — zawołał Harun. — Pomóż mi!

Szef Pływających Ogrodników urwał w pół słowa, zdjął kapelusz, podrapał się po głowie i rzekł kwiecistymi wargami:

— Do Suma na dywanik. Masz iść. Wszystko wiem. Trudna sprawa. Nic nie poradzę. Szkoda.

— Co was wszystkich napadło? — krzyknął Harun. — Przecież ten wasz Sum wcale nie jest taki straszny. Kiedy z nim rozmawiałem, sprawiał wrażenie całkiem równego faceta, chociaż te jego wąsy nie są tak całkiem sumiaste.

Mali ze smutkiem pokręcił głową.

— Sum. Ważna figura. Nie chcę mu podpaść. Rozumiesz.

— Słowo daję — z urazą zawołał Harun. — Będę musiał sam sobie poradzić. Też mi przyjaciele!

— Mnie prosić nie warto, ale też nie poprosiłeś! — nie poruszając dziobem zawołał w ślad za odchodzącym chłopcem Dudek Alle. — Jestem przecież tylko maszyną.

Kiedy Harun wszedł przez ogromne wrota do Gmachu D/SZ(n)W, zupełnie upadł na duchu. Znalazł się w olbrzymiej sali pełnej ech. Jajogłowcy w białych kitlach mijali go szybkim krokiem. Chłopcu wydawało się, że wszyscy patrzą na niego z mieszaniną gniewu, pogardy i litości. Musiał kolejno spytać o drogę trzech Jajogłowców, nim wreszcie trafił do gabinetu Suma, i to dopiero po długim błędzeniu w labiryncie korytarzy. Przypomniawszy sobie, jak chodził w ślad za Paplą po królewskim pałacu. W końcu stanął przed złoconymi drzwiami, na których widniał napis: GŁÓWNY KOORDYNATOR DZIAŁAŃ PRZEZ SWA ZAWIŁOŚĆ NIEWYTLUMACZALNYCH. JEGO DOSTOJNOŚĆ SUM. PUKAĆ I CZEKAĆ.

„Właściwie przyleciałem na Kahani głównie po to, żeby porozmawiać z Sumem, no i wreszcie się doczekałem — pomyślał zdenerwowany chłopiec. — Ale miała to być zupełnie inna rozmowa niż ta, która mnie czeka”. Odetchnął głęboko i zapukał.

— Proszę wejść — powiedział Sum zza zamkniętych drzwi.

Harun znowu głęboko odetchnął i nacisnął klamkę.

Przede wszystkim zobaczył Suma, który siedział na lśniącym białym krześle za lśniącym żółtym biurkiem. Jego głowa — wielka, łysa i jajowata — lśniła tak samo jak meble, a wąsik porastający górną wargę drgał nerwowo, może nawet gniewnie.

Wtem Harun zdał sobie sprawę, że Sum nie jest sam w gabinecie.

Był tam też Król Gadas, Księżę Bolo, Księżniczka Batcheat, Marszałek Magła, Prezydent Krainy Chup, czyli Mudra, Papla w roli jego adiutantki, Generał Kitab, Jesli, Mali i Raszid Khalifa, a wszyscy uśmiechali się od ucha do ucha. Na ścianie wisiał monitor, a z jego ekranu Goopy i Bagha uśmiechały się do Haruna z głębi Laguny wszystkimi pyszczkami. Z drugiego monitora patrzył na chłopca Dudek Alle.

Haruna kompletnie zatkało.

— No to jestem w opałach, czy nie jestem? — zdołał wykrztusić pytanie. Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

— Musisz nam wybaczyć — rzekł Sum. Otarł oczy załzawione od śmiechu i dodał chichocząc z lekka:

— Po prostu troszeczkę cię podpuściliśmy. Mieliśmy wielką ochotę zrobić cię w jajo. W jajo! — powtórzył i znów parsknął śmiechem.

— O co tu w ogóle chodzi? — spytał Harun. Sum zmitygował się, zrobił najpoważniejszą ze swoich min i byłby ją nawet utrzymał, gdyby nie to, że spojrzał w stronę Jeslego, a kiedy napotkał jego wzrok, znów dostał napadu śmiechu. Jeśli też się roześmiał, a za jego przykładem wszyscy pozostali. Minęło kilka minut, nim zapanował spokój.

— Harunie Khalifo — rzekł Sum wstając z miejsca. Wciąż jeszcze był trochę zdyszany i trzymał się za obolałe boki. — Chcemy ci się odwdzińczyć za nieoszacowane usługi, które oddałeś ludowi Kahani i Oceanowi Strug Opowieści, więc przyznajemy ci ten przywilej, że możesz nas poprosić, o co tylko zechcesz, i obiecujemy w miarę naszych możliwości spełnić tę prośbę, choćby trzeba było wynaleźć w tym celu całkiem nowe Działanie Przez Swą Zawilłość Niewytłumaczalne.

Harun milczał.

— No, Harunie — powiedział Raszid. — Masz jakiś pomysł?

Harun nie tylko milczał, ale też nagle posmutniał. Z całego grona właśnie Papla wyczuła jego nastrój. Podeszła do chłopca, wzięła go za rękę i spytała:

— O co chodzi? Co ci jest?

— Nie warto o nic prosić — rzekł Harun półgłosem — bo tego, czego naprawdę pragnę, nikt z was nie może mi dać.

— Bzdura — odparł Sum. — Doskonale wiem, czego pragniesz. Przeżyłeś wielką przygodę, a gdy taka wielka przygoda się kończy, wszyscy pragną tego samego.

— No? Czego mianowicie? — spytał Harun nieco wojowniczym tonem.

— Szczęśliwego zakończenia — wyjaśnił Sum. Na to Harun nie miał już odpowiedzi. — Czyżbym się mylił? — naciskał tamten.

— Właściwie chyba ma pan rację — przyznał ze skrepowaniem. — Ale tego szczęśliwego zakończenia, o którym myślę, nie znajdzie się w żadnym Morzu. Nawet jeśli pływają w nim Ryby Mnuste.

Sum wolno i rozważnie pokiwał głową, równe siedem razy. Zetknął dłonie czubkami palców i siadł za biurkiem, dając znak Harunowi i innym, żeby też zajęli miejsca. Chłopiec usiadł w lśniącym białym fotelu naprzeciw Suma, po drugiej stronie biurka; pozostali usadowili się w podobnych fotelach, stojących rzędami wzdłuż ścian.

— Hm — zaczął Sum. — Szczęśliwe zakończenia w opowieściach, a także w życiu, zdarzają się dużo rzadziej, niż się ludziom wydaje. Można by właściwie powiedzieć, że szczęśliwe zakończenie to wyjątek, a nie reguła.

— A więc zgadza się pan ze mną — rzekł Harun. — Czyli nie ma o czym mówić.

— I właśnie dlatego, że szczęśliwe zakończenia są taką rzadkością — ciągnął Sum — opracowaliśmy w Gmachu D/SZ(n)W metodę sztucznej syntezy takich zakończeń. Mówiąc prościej, umiemy je fabrykować.

— Niemożliwe — zaprotestował Harun. — Przecież to nie jest coś, co da się przechowywać w butelce. — Ale zaraz potem dodał niepewnym tonem:

— A może jednak się da?

— Skoro Khattam-Shud syntetyzował antyopowieści — odparł Sum z nutką zranionej dumy — to chyba powinno ci się zmieścić w głowie, że i my niejedno umiemy syntetyzować. A co do spraw niemożliwych, to większość ludzi powiedziała by, że wszystko, co ci się ostatnio przytrafiło, jest zupełnie, ale to zupełnie niemożliwe. Czemu więc tak się straszysz na myśl o tej akurat niemożliwości?

Po raz kolejny odpowiedziało mu milczenie.

— Doskonale — śmiało rzekł Harun. — Zażyczę sobie czegoś naprawdę wielkiego, skoro mi wolno. Miasto, z którego pochodzę, jest smutne, tak smutne, że już nawet zapomniało własnej nazwy. Chcę, żebyście ułożyli szczęśliwe zakończenie, i to nie tylko do mojej przygody, ale do dziejów całego miasta.

— Żeby nastąpiło szczęśliwe zakończenie, najpierw coś musi się skończyć — zwrócił mu uwagę Sum. — Jeśli takie zakończenie zdarza się w połowie opowieści, przygody czy czegoś w tym rodzaju, na chwilę poprawia wszystkim humory i nic więcej.

— To wystarczy — rzekł Harun. Pora była wracać do domu.

* * *

Odjazd nastąpił szybko, bo Harun nie cierpiał długich pożegnań. Szczególnie trudno było mu rozstać się z Paplą. Gdyby nie pochylili się ku niemu znielubowieni i nie dali mu całusa, chłopiec pewnie nigdy nie zdecydowałby się jej pocałować; ale kiedy sama to zrobiła, ani trochę się nie zawstydzili, tylko niesłychanie ucieszyli — tym ciężiej więc było mu odjeżdżać.

Stojąc u stóp wzgórza, na którym leżał Ogród Rozkoszy, Harun i Raszid pomachali przyjaciółom na pożegnanie i przy pomocy Jesiego wdrapali się Dudkowi Allemu na grzbiety. Dopiero wtedy sobie uświadomili, że na pewno minął już umówiony termin, kiedy to Raszid miał wystąpić przed publicznością w K, więc wróciwszy nad Jezioro Nudne narażają się na gniew Dętego Lecza.

— Ale ale ale mniejsza z tym — nie ruszając dziobem rzekł Dudek Alle.
— Gdy cię wiezie Dudek Alle, zegar pracuje dla ciebie. Wyruszasz spóźniony, przybywasz przed czasem. Jazda! Brrrrrummmmm!

Nad Jeziorem Nudnym zapadł tymczasem mrok. Na spokojnej tafli wody widać było w świetle księżycy zakotwiczoną „Noc tysiąc drugą”. Dudek osiadł na falach tuż przy otwartym oknie sypialni, a gdy Harun się przez nie wgramolił, poczuł takie znużenie, że natychmiast rzucił się na pawie łóżko i zasnął.

Obudził się w jasny, słoneczny ranek. Na pozór wszystko wyglądało po staremu; nigdzie nie było śladu mechanicznych Dudków ani Dżinnów Wodnych.

Chłopiec wstał, przetaił oczy i zobaczył, że Raszid Khalifa w niebieskiej koszuli nocnej siedzi na balkoniku wieńczącym dziób barki i popija herbatę z filiżanki. Po jeziorze płynęła ku nim łódź w kształcie łabędzia.

— Miałem bardzo dziwny sen. . . — zaczął Raszid Khalifa, ale przerwał mu Dęty Lecz, który wołał ze zbliżającej się łodzi, energicznie machając ręką:

— Hooo! Halooo!

„Boże — pomyślał Harun. — Znów zaczną się wrzaski i krzyki, a w dodatku będziemy musieli zapłacić za podróż i nocleg”.

— Hooo, ależ śpioch z pana Raszida! — zawołał Lecz. — Czy to możliwe, że pan i pański syn siedzicie jeszcze w nocnych koszulach, kiedy przybywam, żeby was zabrać na występ? Tłumy czekają, spóźnialiście się panie Raszidzie! Wierzę, że nie sprawi pan zawodu.

Czyżby wszystkie ich przygody na księżycu Kahani zajęły mniej niż jedną noc? „Przecież to niemożliwe” — pomyślał Harun; zaraz jednak przypomniał sobie słowa Suma: „Czemu tak się straszysz na myśl o tej akurat niemożliwości?” Obrócił się więc raptownie w stronę ojca i spytał:

— Pamiętasz, co ci się śniło?

— Nie w tej chwili, Harunie — powiedział Raszid Khalifa i zawołał do pana Lecza, który podpływał coraz bliżej:

— Po co te nerwy, drogi panie? Prosimy do nas na herbatę. Zaraz się ubierzemy i będziemy mogli wyruszyć.

A do Haruna rzekł:

— Uważaj, synu. Mistrz Wodolejstwa nigdy się nie spóźnia. Ocean Pomysłów słynie z punktualności i musi zachować tę reputację.

— Właśnie, Ocean — z naciskiem powiedział Harun. Tymczasem łódź Lecza znów się trochę zbliżyła. — Proszę, przypomnij sobie. To bardzo ważne.

Ale Raszid w ogóle go nie słuchał.

Chłopiec poszedł się ubrać, trochę przygnębiony; wtem zauważył obok poduszki złożoną kopertkę. W niektórych luksusowych hotelach jest zwyczaj, żeby w takich właśnie kopertkach zostawiać gościom na noc miętowe czekoladki. W środku Harun znalazł kartkę od Papli, podpisaną przez nią samą i przez wszyst-

kich przyjaciół z księżycy Kahani. (Goopy i Bagha nie umiały pisać, ale przytknęły do papieru rybie pyszczki, przesyłając całusy zamiast podpisów).

— „Przyjeżdżaj w każdej chwili — przeczytał chłopiec. — Na tak długo, na ile tylko zechcesz. Pamiętaj: kiedy cię wiezie Dudek Alle, zegar pracuje dla ciebie”.

W złoconej kopertce było coś jeszcze: małe ptaszki, odrobiony w każdym szczególe, zadzierał łebek, zerkając na Haruna. Był to oczywiście Dudek Alle.

— Świetnie ci to zrobiło, że się umyłeś i uczesałeś — stwierdził Raszid, kiedy Harun wyszedł ze swojego pokoju. — Od miesiący nie widziałem, żebyś był taki zadowolony z życia.

* * *

Jak zapewne pamiętacie, pan Lecz spodziewał się, że dzięki „pogodnym legendom” Raszida Khalify, który powstrzyma się od opowiadania „pogrzebowych sag”, on i jego niepopularny rząd zyskają poparcie miejscowej ludności. W wielkim parku udekorowanym na wesoło różnymi planszami, wstęgami i flagami porostawiano megafony na wysokich słupkach, żeby każdy mógł posłuchać, jak Mistrz Wodolejstwa snuje swoją gawędę. Scenę oblepiono kolorowymi afiszami, na których napis GŁOSUJ NA LECZA przeplatał się z hasłem LECZ ULECZY TWOJE TROSKI! Rzeczywiście zgromadził się ogromny tłum, ale wszyscy mieli chmurne miny, więc Harun się domyślił, że miejscowi wcale nie przepadają za Leczem.

— No, jazda — warknął pan Lecz. — Tylko niech się sławny pan Raszid dobrze spisze, bo jak nie, to inaczej pogadamy.

Stojąc z boku sceny Harun patrzył na Raszida, który wśród burzy oklasków podszedł z uśmiechem do mikrofonu. I tu zaszokował chłopca, bo jego pierwsze słowa brzmiały:

— Panie i panowie, dzisiejsza gawęda nosi tytuł *Harun i Morze Opowieści*.

„Więc nie zapomniałeś” — pomyślał chłopiec i uśmiechnął się.

Raszid Khalifa, Ocean Pomysłów, Mistrz Wodolejstwa, spojrzał na syna i mrugnął do niego, jakby pytał: „Naprawdę myślałeś, że mógłbym zapomnieć taką opowieść?” Po czym zaczął:

— Było sobie raz w kraju Alifbaj smutne miasto, najsmutniejsze z miast — tak katastrofalnie smutne, że zapomniało nawet własnej nazwy.

* * *

Jak już zapewne odgadliście, Raszid przedstawił tłumowi w parku tę samą historię, którą wam właśnie opowiedziałem. Harun się domyślił, że skoro ojciec tak dokładnie zdał sprawę z wydarzeń, w których sam nie brał udziału, to pewnie

o nie wypytał Jesiego i innych. Od razu było widać, że znowu jest w formie — że odzyskał Swadę; od pierwszych słów miał słuchaczy w garści. Kiedy śpiewał piosenki Malego, wszyscy powtarzali wraz z nim: „Wieśniak sieczkę siecze rad, lecz nikt nie rozsiecze mnie”, a przy piosenkach Batcheat błagali o zmiłowanie.

Ilekróć Raszid wspominał o Khattam-Shudzie i o jego zbirach ze Związku Zapieczętowanych Ust, słuchacze miotali twarde spojrzenia na Dętego Lecza i jego własnych zbirów, którzy siedzieli na scenie za plecami Raszida i w miarę rozwoju opowieści coraz bardziej posępnieli. Kiedy gawędziarz powiedział, że prawie wszyscy Chupwałowie od początku nienawidzili Herezjarchy, tylko bali się przyznać, w tłumie rozległ się głośny pomruk zrozumienia. „Właśnie — szeptano — doskonale wiemy, jak to jest”. A gdy doszło do upadku obu Khattam-Shudów, ktoś zaintonował refren: „Dęty Lecz to żaden cud, z Dętym Leczem *khattam-shud*” i cała publiczność podchwyciła te słowa. Dęty Lecz zrozumiał, że już po zabawie, i wraz ze swoimi zbirami zszedł chyłkiem ze sceny. Zebrani pozwolili mu odejść, ale po drodze obrzucili go śmieciami. Pana Lecza nigdy więcej nie ujrano w Dolinie K, a jej mieszkańcy wybierali sobie odtąd takich przywódców, jakich chcieli.

— Oczywiście nie dostaliśmy honorarium — radośnie rzekł Raszid do Haruna, kiedy Karetką Pocztową wyjeżdżali z Doliny. — Ale mniejsza z tym; świat nie kończy się na pieniądzach.

— Ale ale ale — odezwał się znajomy głos zza kierownicy — bez pieniędzy niczego się nie da zacząć.

* * *

Kiedy wrócili do swojego miasta, wciąż lało jak z cebra. Na wielu ulicach wezbrała istna powódź.

— A co to szkodzi? — wesoło zawołał Raszid Khalifa. — Od lat porządnie nie przemokłem.

Harun się bał, że Raszidowi smutno będzie wracać do mieszkania, w którym stoi pełno zepsutych zegarów, a nie ma Sorai, więc podejrzliwie spojrzał na ojca. Ten jednak w podskokach wybiegł z Karetki prosto w ulewę, a im bardziej mókł, brnąc w wodzie po łydki, tym bardziej tryskał chłopięcą radością. Harunowi udzielił się ten pogodny nastrój i już wkrótce obaj chlapali się i uganiali jak dzieci.

Ale po chwili Harun zauważył, że na ulicach pełno jest ludzi, którzy wygłupiają się tak samo jak oni: biegają, skaczą, chlapią się w wodzie i przewracają, a przede wszystkim śmieją się do rozpuku.

— Wygląda na to, że nasze stare miasto wreszcie nauczyło się bawić — z uśmiechem stwierdził Raszid.

— Ale dlaczego? — spytał Harun. — Przecież nic się właściwie nie zmieniło. Patrz, fabryki smutku dalej pracują. Widzisz chyba, jak dymią. I prawie wszyscy są tak samo biedni jak dawniej. . .

— Hej, smutasie — krzyknął jakiś starszy pan, który musiał mieć co najmniej siedemdziesiąt lat, ale tańczył na zalanej ulicy, wymachując wśród deszczu zwiniętym parasolem niby mieczem. — Nie waż się nam tu wyśpiewywać tych żałobnych trenów.

Raszid Khalifa podszedł do starszego pana.

— Wie pan, nie było nas ostatnio w mieście — wyjaśnił. — Czy pod naszą nieobecność coś się stało? Na przykład cud?

— Tylko tyle, że deszcz spadł — odparł stary wróbel. — To on tak wszystkich uszczęśliwił. Nawet mnie. Hip, hip, hura! — zawołał i w podskokach ruszył dalej.

„To Sum — uświadomił sobie nagle Harun. — To Sum spełnia moje życzenie. Widocznie Jajogłowcy zaprawili deszcz szczęśliwymi zakończeniami”.

— Jeżeli to istotnie sprawka Suma — rzekł Raszid tańcząc w kałuży — miasto powinno ci solennie podziękować.

— Przestań, tato — powiedział chłopiec, od razu tracąc dobry humor. — Nie rozumiesz? Przecież to się nie dzieje naprawdę. Jajogłowcy wylali coś z butelki i tyle. Wszystko na niby. Ludzie powinni się cieszyć wtedy, kiedy jest powód, a nie tylko dlatego, że ktoś polał ich z nieba zabutelkowanym szczęściem.

— Powiem wam, z czego macie się cieszyć — wtrącił policjant, który właśnie przepływał obok nich na odwróconym parasolu. — Przypomnieliśmy sobie, jak się nazywa nasze miasto.

— No to wal pan, ale szybko — rzekł Raszid, ogromnie podekscytowany.

— Kahani — pogodnie odparł policjant i dalej popłynął ulicą zamienioną w rzekę. — Czy to nie piękna nazwa? *Kahani* znaczy „opowieść”.

* * *

Skreśli w zaułek i zobaczyli swój dom, który przypominał tort rozmokły na deszczu. Raszid wciąż tańczył i podskakiwał, ale Harun z każdym krokiem coraz bardziej powłóczył nogami; wesołość ojca wydawała mu się nieznośna. Winił za nią Suma, tak samo jak za wszystko, co było złe, udawane i nie takie jak trzeba na całym tym wielkim świecie bez matki.

Na balkon wyszła pani Anita.

— Świetnie, że wróciliście! — zawołała. — Chodźcie, chodźcie, będziemy się zajadać słodyczami i świętować!

Z radości klaskała w dłonie, cała się kołysała i prawie wylewała z sukienki.

— A co tu jest do świętowania? — spytał Harun, gdy pani Anita w te pędy zbiegła po schodach i stanęła wraz z nimi na deszczu.

— Mój osobisty powód jest taki — odparła — że wreszcie dałam sobie spokój z panem Senguptą. Poza tym znalazłam posadę w fabryce czekolady i mogę za darmo jeść tyle czekoladek, ile zechcę. Mam też paru wielbicieli... ale cóż ze mnie za bezwstydnica, że wam o tym opowiadam!

— Cieszę się w pani imieniu — rzekł Harun — ale nam życie wcale nie płynie po różach.

Pani Anita zrobiła tajemniczą minę.

— Może za długo byliście poza domem — powiedziała. — Czas wszystko zmienia.

Tu Raszid zmarszczył brwi.

— Anito, o czym pani właściwie mówi? — spytał. — Jeżeli ma pani dla nas jakąś wiadomość...

Drzwi mieszkania Khalifów otwarty się i stanęła w nich Soraja, najprawdziwsza i najpiękniejsza na świecie. Harun i Raszid zamarli w bezruchu. Stali na deszczu jak posągi z rozdziawionymi ustami.

— Czy to też sprawka Suma? — mruknął Raszid, ale Harun tylko pokręcił głową. Jego ojciec sam sobie odpowiedział:

— Kto wie? Może tak, a może nie, jak mawia nasz przyjaciel Pocztylion.

Soraja wyszła na dwór i razem z nimi stanęła wśród ulewy.

— Co to za jeden, ten Sum? — spytała. — Nic nie wiem o żadnym Sumie, wiem za to, że popełniłam błąd. Odeszłam, nie przeczę. Odeszłam, ale jeśli chcesz, to znowu jestem.

Harun popatrzył na ojca. Raszid nie mógł słowa wykrztusić.

— Słowo daje, udał się ten Sengupta — ciągnęła Soraja. — Mówię wam, co to za cherlawy, szmatławy, zasmarkany, zapluty, nędzny, zrzędny, wątpy, skąpy, lepki i śliski urzędas! Jeśli o mnie idzie, to już go nie ma, koniec z nim, raz na zawsze.

— *Khattam-shud* — cicho rzekł Harun.

— Właśnie — przytaknęła jego matka. — Obiecuję. *Khattam-shud* z panem Senguptą.

— Witaj w domu — powiedział Raszid i troje Khalifów (a z nimi pani Anita) padło sobie w ramiona.

— Wejdźcie do domu — rzekła Soraja. — Nie można bez końca cieszyć się deszczem.

* * *

Kładąc się tej nocy do łóżka Harun wyjął ze złoconej kopertki miniaturkę Dudka Allego i położył ją sobie na lewej dłoni.

— Zrozum, proszę — zwrócił się do ptaka. — To dobrze, że w razie czego będę wiedział, gdzie cię szukać. Ale tak jak teraz wszystko się układa, naprawdę donikąd nie muszę podróżować.

— Ale ale ale żaden problem — miniaturowym głosikiem odparła miniaturka Dudka (nie ruszając dziobem).

Harun schował Dudka Allego z powrotem do koperty, kopertę ułożył pod poduszką, a głowę na poduszce, no i zasnął.

Kiedy się obudził, w nogach łóżka leżało nowe ubranie, a na szafce nocnej stał nowy, czynny zegar i wskazywał dokładny czas. „Prezenty? — zdziwił się chłopiec. — Co to wszystko znaczy?”

Wtem sobie przypomniał, że to jego własne urodziny. Słyszał, jak rodzice chodzą po mieszkaniu, czekając, aż on wreszcie wyjdzie ze swojego pokoju. Wstał, włożył nowe ubranie i uważnie obejrzał nowy zegar.

— Tak — rzekł kiwając głową. — W tym domu czas najwyraźniej znów ruszył z miejsca.

W salonie jego matka zaczęła śpiewać.

To i owo o różnych słowach

Wiele imion ludzkich i nazw geograficznych użytych w tej książce pochodzi z języka hindustani.

Abhinaja to nazwa mowy gestów stosowanej w indyjskim tańcu klasycznym.

Alifbaj to zmyślona kraina. Jej nazwa pochodzi od słowa, które w języku hindustani znaczy „alfabet”.

Batcheat pochodzi od „baat-cheet”, czyli „trajkotać”.

Bat-Mat-Karo znaczy „nie mów”.

Bezaban znaczy „bez języka”.

Bolo pochodzi od czasownika „bolna”, który znaczy „mówić”. „Bolo!” to tryb rozkazujący: „mów!”

Chup znaczy „cichy”. „Chupwala” to mniej więcej to samo, co „milczek”.

Jezioro Nudne (po angielsku „Dull Lake”) nie istnieje, a swą nazwę zawdzięcza położonemu w Kaszmirze jezioru Dal.

„**Goopy**” i „**Bagha**” to imiona, które nic specjalnego nie znaczą, lecz tak samo nazywają się dwie pokraczne i zabawne postaci z filmu Satyajita Raya. Nie są to wprawdzie ryby, ale mimo to śliskie osobniki.

Gup znaczy „plotka”. Może też znaczyć „bzdura” albo „kłamstewko”.

Harun i **Raszid** zawdzięczają swe imiona legendarnemu Kalifowi Bagdadu, Harunowi al-Raszidowi, który wielokrotnie pojawia się w *Baśniach z tysiąca i jednej nocy*. Ich nazwisko „Khalifa” znaczy po prostu „kalif”.

Kahani znaczy „opowieść”.

Khamosh znaczy „milczący”.

Khattam-Shud znaczy „kompletnie skończony”, „załatwiony raz na zawsze”.

Kitab znaczy „księga”.

Mali znaczy oczywiście „ogrodnik”.

Mudra, który porozumiewa się w języku Abhinaja, czyli w mowie gestów (patrz wyżej), swoje imię też poniekąd zawdzięcza temu językowi, bo „mudra” to każdy z gestów składających się na Abhinaje.